

Krystyna Siesicka

Jeziro Osobliwości

Rozdział I

Wiktor nie znosił kompromisów i połowicznych rozwiązań. Był mężczyzną wyjątkowo odpornym psychicznie, nigdy nie lękał się trudów, które trzeba czasami ponieść, aby wyjaśnić jakąś szczególnie zaciemnioną czy pełną niedomówień sytuację. A jednak, kiedy pewnego dnia stanął przed drzwiami separatki, w której leżała Marta, ogarnęło go uczucie zniechęcenia i obawy.

W przeciągu ostatnich godzin wyczerpał już cały zapas swojej cierpliwości. Długie rozmowy z synem, zamiast naświetlić okoliczności tragicznego wypadku, komplikowały jedynie cały obraz sprawy, bo Michał opowiadał chaotycznie, nerwowo i każde jego wyjaśnienie utrzymywało Wiktora w przekonaniu, że relacja ta zawiera znikomą część tego, co Michał wie. Nie miał także nadziei, że rozmowa z Martą ułatwi mu odtworzenie w wyobraźni toku

wydarzeń rozegranych nad brzegiem jeziora na kilka godzin przed alarmującym telefonem, którym Komenda Ośrodka wezwała Wiktora do natychmiastowego przyjazdu.

Koszmar tamtej podróży, dramatyczna sytuacja na miejscu, a zwłaszcza świadomość, że jego syn jest tak bezwzględnie odpowiedzialny za jej powstanie, odebrała Wiktorowi nie tylko umiejętność, ale i ochotę dochodzenia prawdy.

Obiecał sobie, że nie zapyta Marty o nic. Nie przychodził tu pytać; przychodził, ponieważ Marta chciała go widzieć możliwie jak najszybciej. Lekarz dyżurny, z którym rozmawiał przed chwilą, zastrzegł, że pacjentka nie jest jeszcze zdolna do udzielania wyjaśnień. Wiktora

5

zabolała ta uwaga. Sam wiedział, w jak złym stanie przywiózł Martę do Warszawy, sam rozumiał, że jego uparta chęć znalezienia wspólnego z nią języka narażona jest na kolejną próbę. Trudniejszą zapewne od tych wszystkich, które miał już poza sobą. Jeżeli wahał się przed otwarciem drzwi separatki, to tylko z obawy, że poniesie jeszcze jedną klęskę.

Marta leżała z zamkniętymi oczyma. Wiktor zbliżył się do jej łóżka i usiadł obok.

— Śpisz? — zapytał cicho.

— Skąd... — odpowiedziała nie unosząc powiek. — Słyszałam, jak wchodziłeś... poznałam twoje kroki...

Mówiła wolno, jej twarz wyglądała tak łagodnie, jakby woda jeziora zmyła z niej wszystko, co zawsze wydawało się Wiktorowi ostre i nieprzyjazne.

— Dopiero dziś rano odzyskałam przytomność, wiesz o tym, Wiktorze? — zapytała.

— Oczywiście, że wiem. Mama była przy tobie i natychmiast dała mi znać.

— A teraz jest wieczór...

— Wieczór, Marto.

— Miałam cały dzień na myślenie. To nie jest dużo, ale czasami wystarcza. Mama twierdzi, że Michał jest w domu. Ale ja muszę to wiedzieć z całą pewnością! Boję się, że mama kłamie, Wiktorze. Daj mi słowo, że Michał jest w domu!

Marta otworzyła oczy i dopiero teraz Wiktor dostrzegł, że przymknięte powieki ukrywały przed nim jej wzrok pełen najgorszych obaw i przeczuc.

— Ależ daję ci słowo! Z całą pewnością Michał jest w domu. Uspokoila się i przez chwilę leżała w milczeniu.

— Powiedz Michałowi... — zaczęła — albo nie! Przede wszystkim ty sam musisz wiedzieć...

— Daj spokój, Marto! — przerwał jej. — Będziemy mieli czas na rozmowy. Teraz daj spokój...

Pogładził ją po ręku.

— Gdzie jest mój plecak? — zapytała nagle.

— Przywieźliśmy wszystkie twoje rzeczy, plecak też.

6

— Otwieraliście?

— Nie. Nie było czasu.

— Wiktor... — zaczęła niepewnie — rozpakuj mój plecak sam. Nikomu nie pozwól go ruszyć, dobrze?

— Jeżeli ci na tym zależy...

— Zależy mi. Ciuchy nieważne. Obojętne, co z nimi zrobisz. Ale tam są cztery granatowe bruliony...

— Mam je schować?

— Tak! Schowaj u siebie.

— Dobrze, zrobię to jeszcze dziś — zapewnił. — Możesz być spokojna, nikt do nich nie zajrzy!

Marta potrząsnęła głową.

— Nawet nie o to chodzi! Wiesz, o czym myślałam przez cały dzień? O tym, że niedługo wrócę do domu i że po tym wszystkim będzie nam jeszcze trudniej... Weź moje bruliony do siebie i przeczytaj je... Początek możesz opuścić, bo wszystko zaczęło się w październiku tamtego roku, musisz znaleźć datę, chyba trzeciego. Tak, to będzie trzeci października. Zrobisz to dla mnie?

— Liczysz na to, że cię zrozumiem?

— Tak.

— Dobrze! Ale zrobię to także dla siebie. Ja też chciałbym cię zrozumieć, Marto. Zawsze chciałem.

Odwróciła głowę.

— Wiem... — powiedziała i zamknęła oczy.

Wiktor siedział przy niej jeszcze chwilę. Potem z niedowierzaniem spostrzegł, że usnęła.

— Marto! — szepnął zdumiony. Spała.

W korytarzu lekarz dyżurny rozmawiał z wysokim mężczyzną, który na widok zbliżającego się Wiktora przywołująco skinął ręką.

— Pan pozwoli, że się przedstawię — powiedział, kiedy Wiktor podszedł do nich. — Jestem kapitan Ligota.

— Soroko! — Wiktor uścisnął wyciągniętą dłoń.

— Doktor powiedział mi, że jest pan u jego pacjentki, dlatego czekałem — wyjaśnił kapitan.

— Prowadzę dochodzenie w sprawie tego wypadku i właśnie dziś wieczorem zamierzałem skontaktować się z panem.

7

Wiktor pochylił lekko głowę.

— Jestem do pana dyspozycji — powiedział.

— Jak ona pana przyjęła? — zapytał lekarz dyżurny, ruchem głowy wskazując drzwi separatki. — Pytała o coś?

— Tego właśnie nie mogę zrozumieć — przyznał Wiktor pocierając czoło ręką — bo ona pytała mnie tylko o Michała! Tylko o Michała! Zupełnie tak, jakby zapomniała, że Patryk też tam był.

* * *

3 października

Dziś Wanda przyszła do szkoły z niesłychanie tajemniczą miną.

— Marta! Mam dla ciebie list! — zawołała i pomachała mi przed nosem białą kopertą.

— Od kogo?

— Od młodego człowieka, który marzy o tym, żeby cię poznać!

— Pleciesz!

— Nie plotę! Jak mi dasz odpisać matkę, dostaniesz dowód rzeczowy w postaci tej oto koperty!

Zaintrygowała mnie, przyznaję. Rzuciłam jej zeszyt.

— Proszę cię bardzo! — podała mi list. — Jeszcze tylko mały komentarz: zostało mi to wręczone przez mojego brata, Adama, z prośbą, abym oddała do twoich i tylko twoich rąk. Rzecz pochodzi od kolegi Adama. Zaklejone, nie czytane. Pokwitowanie zbyteczne!

Przez chwilę oglądałam kopertę, bo wydawało mi się, że Wanda robi kawał. Adres pisany był obcą ręką, ale to niczego jeszcze nie dowodziło. W środku był list. Krótki i wyglądający dość autentycznie:

Marto! Jestem dobrym kolegą Adama Goździkiewicza, niech to będzie moją legitymacją. Chciałbym bardzo, żebyśmy się jakoś poznali, i dlatego w ten sposób proszę Cię o naznaczenie spotkania. Dostosuję się do Twoich propozycji.

Michał Soroko

Nigdy nie słyszałam o żadnym Michale Soroce. Adama też mało znałam. Zostawała mi tylko Wanda jako źródło ewentualnych informacji.

8

— Co to za jeden? Wanda wzruszyła ramionami.

— Mało go znam. Wygląda owszem, owszem! Jedno ci tylko mogę powiedzieć, żaden kawał. On naprawdę chce się z tobą spotkać! Pewnie miłość od pierwszego wejrzenia. To się zdarza nawet w epoce atomowej. Odpowiedź będzie na piśmie?

— A czy ja wiem? Ja w ogóle nie wiem, co mam z tym zrobić...

— Zastanów się! — poradziła mi. — Możecie się spotkać u nas albo na mieście. Adam prosił, żebym cię przyduśiła — przyznała się.

— Co to szkodzi zresztą? Nie będzie ci się podobał, to... sama wiesz! Korona ci z głowy nie spadnie, jak się z nim raz umówisz.

— Pewnie, że mi nie spadnie!

— No więc? — nagliła mnie Wanda.

— Albo wcale, albo dziś — zdecydowałam.

— Jak dziś, to nie u nas, bo ojca urodziny. Umów się z nim w Antycznej. Nawet chyba lepiej tak na neutralnym gruncie i bez świadków, co?

Nie wiedziałam, czy lepiej, ale czułam, że nie mogę tego odwlekać. Jestem zbyt ciekawa na to, żeby odwlekać sprawy, które mnie intrygują.

— Niech Adam mu powie, że ja będę w Antycznej dziś o piątej

— zdecydowałam. — Ale jak my się poznamy?

— O to się nie martw! To już jego rzecz! Wie zresztą, jak wyglądasz.

Założywszy szczerłość na początku tego dziennika, muszę pozostać jej wierna. Przyznaję zatem, że długo tkwiłam przed lustrem dziś po południu. Rezultaty? Czy ja wiem... Nie

miałam dobrego dnia. Czasami człowiek od razu wygląda dobrze, bez żadnych starań. A czasami, żebyś na głowie stanęła, coś jest nie tak. W końcu udrapowałam na sobie mamy sweter, który mi wielkodusznie pożyczyła, a także i spódnicę, już swoją własną. Nie spowiadałam się mamie ze wszystkich szczegółów zaplanowanego spotkania, powiedziałam tylko ot tak sobie, że idę na ciastka, a Michała Sorokę przeobraziłam w Wandę. Kiedy weszłam do Antycznej, zajęłam pierwszy wolny stolik i pilnowałam własnych oczu, żeby mi nie latały po sali. Postanowiłam czekać tylko piętnaście minut. Nie czekałam ani chwili, bo od strony bufetu zbliżył się ów protegowany Goździkiewicza.

9

— To ja jestem Michał Soroko — powiedział. Przywitaliśmy się i usiadł na wprost mnie.

— Bardzo ci dziękuję, że zgodziłaś się przyjść! Bałem się, że może i ta forma nie będzie ci odpowiadać... — Zauważyłam, że przygląda mi się badawczo. — Nie miałem, niestety, żadnych innych możliwości, a zależało mi na tym, żeby cię poznać.

— Dlaczego? — zapytałam i zbyt późno spostrzegłam, że wypadło to prowokująco.

Roześmiał się.

— Powinienem teraz powiedzieć, że... no, że oczarował mnie twój wdzięk albo twoje spojrzenie, tak? Ale, widzisz, to byłaby nieprawda! Ja po prostu chciałem cię poznać. Słyszałem o tobie i pomyślałem, że byłoby niezłe, gdybyśmy się spotkali. Tyś o mnie nigdy nie słyszała?

— Nie...

— Tak sądziłem. Na pewno się zdziwiłaś? Michał zamówił dwie kawy.

— Może miałaś ochotę na ciastko? A ja... tak tylko te kawy?

— Nie przepadam za ciastkami.

— O, widzisz! To już pierwsza rzecz, którą o tobie wiem — ucieszył się.

Siedzieliśmy w Antycznej około godziny. Później Michał odprowadził mnie do domu.

Właściwie dopiero teraz orientuję się, że przez cały ten czas, który spędziliśmy razem, mówiłam o sobie. Ależ tak!

On ze mnie wyciągnął masę rzeczy! A co ja o nim wiem?

Tylko to, że jest bardzo miły, że ma w sobie coś niesłychanie pociągającego i że umówiłam się z nim na całe niedzielne przedpołudnie. Tyle wiem o Michale Soroce.

4 października

Jestem dziś w podłym nastroju i dochodzę do wniosku, że zamęcza mnie ciasnota. Oddałabym tydzień życia za własny kąt, ale myślę, że mama oddałaby bez wahania dwa tygodnie! W małym metrażu małe problemy urastają do gigantycznych rozmiarów. To nie ma nic wspólnego z proporcjami matematycznymi, to jest życie. I pośpiech tak mnie męczy. Nie, nie mój pośpiech, tylko mamy. Ona jest wiecznie

spóźniona, na nic nie ma czasu, a już na pewno nie ma go dla mnie. Wciąga mnie w ten rytm, a raczej w tę swoją arytmii, bo na piętnastu metrach naszej powierzchni nie ma dla mnie ucieczki przed jej nerwowością. Wolałabym mieć matkę, która mniej dba o swój wygląd zewnętrzny. A mama porywa się na kilka prac zleconych jednocześnie tylko po to, żeby osiągnąć swój aktualny ideał: moherowy szal, zamszową kurtkę czy jakieś tam pantofle. Wmawia we mnie, że są to rzeczy bardzo istotne, i chwilami jej wierzę. Mama mówi, że kobieta ubiera się dla siebie, Wanda twierdzi, że dla mężczyzn. A ja nie wiem. I nie wiem, w co się ubiorę, kiedy w niedzielę będę gnała na plac Teatralny, żeby spotkać się tam z Michałem. Rozpatrzmy tę rzecz po kolei: nie włożę jesionki, bo jest mi fatalnie w rudym kolorze, i nie włożę ortalionowej kurtki, bo ma plamę na plecach. Włożę chyba spódnicę w czerwono-czarną kratę, chociaż na pewno będzie mi w niej zimno. I włożę ten biały sweter z puszystej wełny, chociaż będę musiała wiecznie uważać, żeby go czymś nie zabrudzić. Wniosek z tego jasny, że Wanda ma rację. Ubiorę się nie dla siebie, ale dla Michała Soroki.

Pani Alicja oddała dziś wypracowania z polskiego.

— O ciebie, Marta, nie muszę się martwić — powiedziała. Właściwie — żałuję. Bardzo bym chciała, żeby ktoś wreszcie zaczął

się o mnie martwić.

7 października

Dzień rozpoczął się fatalnie. Rano mama zapytała:

- Dokąd się wybierasz?
- Na plac Teatralny — odpowiadam.
- Czemu raptem?
- Umówiłam się!
- Z kim?

Seria pytań. Powiedziałam, ale dość ogólnie, bez nazwiska, bez imienia. Mama nie nalegała, obydwie miałyśmy w pamięci tę historię z Januszem. Pewnie, że wtedy niepotrzebnie nakręciłam, ale też i mama niepotrzebnie zabawiła się w te telefony do jego rodziców. Więc teraz nie nalegała, bo wiedziała, że skłamię. I tak by było.

10

11

— Tylko nie wpakuj się znowu w jakąś kabałę! — przestrzegła mnie.

— Znowu? Dlaczego mówisz, mamó, znowu? Przecież upewniłaś się chyba dostatecznie, że żadnej kabały nie było!

— Bo w porę interweniowałam! — odparła tryumfalnie.

To może i racja. Jak z daleka patrzę na tę sprawę i staram się obiektywnie ocenić Janusza, muszę przyznać, że nie był to ciekawy typ. Właściwie nie żałuję, że mama wtrąciła się w to wszystko, ale za nic nie powiem tego głośno. A poza tym nie chcę, żeby wtrącała się nadal w moje sprawy.

Następnie mamie zginęły klipsy. Cudowne klipsy z Cepelii, które kupiła sobie niedawno.

— Brałaś?

— Nie brałam.

— Musiałaś brać, Marto, bo nie ma! — Mama wyrzuciła wnętrzności wszystkich szufladek.

— Może są w torebce? — podsunęłam. W torebce ich nie było.

— Rusz się i pomóż mi szukać! Siedzisz-tylko i patrzysz, jak ja się miotam!

Znalazłam wreszcie te klipsy, które, wydaje mi się, stanowiły sens maminej nadziei. Wsunęte do białej, papierowej torebeczki wylądowały między lekarstwami.

— Mamó, to chyba jest samokrytyka z twojej strony! — roześmiałam się. — Nie gniewaj się, ale ty jesteś na pewno większą bałaganiarą niż ja.

Stała przed lustrem i wkładała te klipsy z ogromną uwagą.

— Winna jest ciasnota — stwierdziła. Przechyliła głowę i przyglądała się swojemu odbiciu.

— W takiej ciasnocie wszystko musi ginąć. Trzeba jednak pomyśleć o zmianie mieszkania — powiedziała. — Czy dobrze jest mi w tych klipsach, Marto?

— Bardzo dobrze, mamusiu! — przyznałam szczerze. — Jesteś śliczna! Czy wiesz, że uważają cię za najładniejszą z matek w naszej klasie?

— Och, nie mów takich rzeczy...

12

Mama jest naprawdę bardzo ładna. Jeszcze teraz, jak te swoje pyszne, ciemne włosy rozjaśniła kilkoma pasmami jasnoblond, wygląda doskonale. Kiedy jesteśmy gdzieś razem, w cukierni czy na ulicy, widzę, że mężczyźni zwracają na nią uwagę. Mama pracuje w redakcji tygodnika „Wiadomości Literackie” i mam wszelkie podstawy, aby sądzić, że redaktor naczelny mocno się nią interesuje. Kwiaty przy każdej okazji i bez okazji. Prywatne kawy w Nowym Świecie. Rozumiem to i nie mam za złe. Ona ma dopiero trzydzieści sześć lat i nie wygląda nawet na to.

— Znowu za późno wstałam! — jęknęła. — Nie widziałaś mojej pomadki, Marto? Umówiłam się na dziesiątą, mam pięć minut!

Znowu ten nerwowy pośpiech. I wtedy powiedziałam nieoględnie:

— Boże święty, że też zawsze musisz się tak spieszyć, mammo! Zupełnie nie umiesz zaplanować sobie czasu!

No i bomba.

— Jak ja się mam nie spieszyć? Wszystko na mojej głowie! Praca, dom, ty! Nie mogę się przecież rozdzielić! Zapominasz, że jestem sama! A jednak ty wszystko masz, prawda? I ubranie, i pieniądze, i całą masę drobiazków, o których inne dziewczęta mogą tylko marzyć.

Miałam na to gotową odpowiedź, ale zdusiłam ją w sobie. Rzeczywiście, wszystko mam, z wyjątkiem prawdziwego domu i matki, która ma dla mnie czas.

Wyszłam rozgoryczona. Kocham mamę i ona mnie kocha, ale zrozumieć to my się chyba nigdy nie zrozumiemy!

Michał czekał już na mnie.

— Piękny dzień, prawda? Fantastyczny dzień!

— Rzeczywiście — odpowiedziałam ironicznie — szalowy!

— Co ci się stało? — zapytał niespokojnie.

— Ach — machnęłam ręką — nawet mi się nie chce mówić. Mój dom przypomina garnek z gotującym mlekiem. Ciągle czekam, aż zacznie kipieć.

— I kipiało dziś rano? — domyślił się.

— Tak. Mama jest bardzo nierówna, wiesz? I nigdy nie wiadomo, czym ją można wyprowadzić z równowagi. Nie mam z nią wspólnego języka. A ty? Ty się potrafisz dogadać ze swoją?

13

— Tak — powiedział z wahaniem — raczej tak.

- I masz taki prawdziwy, dobry dom?
 - W ogóle nie mam domu. Skończył się kilka miesięcy temu. Ale kiedyś miałem.
 - Rozleciał się? — zrozumiałam.
 - Rozleciał.
 - Z czyjej winy?
 - Właściwie z winy ojca. Mówię: właściwie, bo mama... mama była strasznie bierna, rozumiesz? Nic nie robiła, żeby uratować nasz dom! Nazywała to ambicją. I ta ambicja skłoniła ją do paradoksalnych decyzji. Po sprawie rozwodowej zabrała swoje osobiste rzeczy i przeniosła się pod Warszawę. Ojciec chciał jej zostawić mieszkanie, meble... nic nie przyjęła!
- Przez chwilę szliśmy obok siebie bez słowa. Myślałam o matce Michała. Musi być wspaniałą kobietą.
- Nie, Michał, nie nazywaj tego biernością. To chyba jest właśnie najprawdziwsza ambicja i duma!
 - A mnie się wydaje, że człowiek powinien walczyć o swoje! Nie mam na myśli tych gratów, którymi pogardziła, tylko jej stanowisko przedtem.
 - Może nie kochała twojego ojca? Michał uśmiechnął się.
 - Kochała! — powiedział z przekonaniem. — Mojego ojca... nie umiem ci tego wytłumaczyć... jego się kocha automatycznie! Po prostu nie można inaczej! To jest wspaniały człowiek i pomimo wszystko fenomenalnie uczciwy. Wiem, że kiedy spotkał tamtą kobietę i coś go opętało, natychmiast powiedział o tym mojej mamie. Żadnej dwulicowości, rozumiesz? Żadnej! Żadnych kompromisów! Ale mama powinna walczyć. Ja bym walczył, gdyby mi ktoś chciał poderwać dziewczynę.

Szliśmy w stronę Saskiego Ogrodu. Bardzo lubię jesienne pejzaże i te wszystkie odcienie, te plamy rude, złociste, czerwone. Rozmawiałam z Michałem bez wysiłku i bardzo płynnie, ani razu nie musiałam szukać tematu, ani razu nie potykaliśmy się o chwile pustego milczenia. On jest naprawdę ogromnie sympatyczny i wcale nie żałuję, że Wanda namówiła mnie na spotkanie w Antycznej. Nie

14

straciła na to zbyt wiele czasu, to fakt. Ale nie bardzo rozumiem o co Michałowi chodzi w tym wszystkim? W najmniejszym stopniu nie dał mi odczuć, że mu się podobam, i właściwie ta cała nasza znajomość nie ma zupełnie charakteru. Żadnego charakteru! A przecież chciał się ze mną spotkać. Zaproponował to sam i włożył pewien wysiłek w zaaranżowanie wszystkiego. Więc?

Kiedy rozstawaliśmy się przed naszym domem, przyjrzał mi się niepewnie i zapytał:

- No co? Umówimy się jakoś? Nie odpowiedziałam.
- Przecież to zależy od ciebie! — uśmiechnął się i patrzył na mnie wyczekująco.
- W takim razie czekam na propozycje — powiedziałam. Zastanowił się.
- Może chciałabyś zobaczyć mnie w roli florecisty? Pokiwałam głową.
- W takim razie zapraszam cię na trening do mojego klubu. W najbliższy czwartek.

Jest niedziela. Do czwartku daleko. Michał jest oszczędny... Nie rozumiem. Spędziliśmy dziś ze sobą cztery godziny i zastanawiam się teraz, czy w jakiś sposób uzupełniłam swoje wiadomości o Michale Soroce? Tak! Wiem, że chce pójść na architekturę, że przepada za historią starożytną, szermierką i Pojezierzem Mazurskim. Wiem także, że ma piękny, mocno niebieski kolor oczu i przyjemny, dość ostry w rysach profil. I także wiem, że walczyłby o swoją dziewczynę, gdyby ktoś chciał mu ją poderwać. Nie wiem natomiast, czy sama chciałabym zostać tą właśnie dziewczyną.

8 października

Dziś po południu usnęłam nad historią. Autentyczne! Położyłam się na tapczanie i usiłowałam wbić sobie do głowy kolejny rozdział. Albo to było potwornie nudne, albo mi się chciało spać — Bóg raczy wiedzieć. Sądzę jednak, że ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna. Chociaż wczoraj wieczorem dość wcześnie wskoczyłam w bety, długo jeszcze zabawiałam się w myślenie. Miałam za sobą tak jałowy dzień, że pod datą 6 października mogłabym napisać

15

jedynie wielkimi literami: PUSTKA. A w tej chwili — wyspana i rześka — tkwię przy swoim stoliku i stwarzam pozory, że pisza wypracowanie z polskiego. Mama chodzi na palcach, żebym nia zgubiła wątku. A tymczasem odpajkowałam wypracowanie zaraz pd szkole i obecnie nie mam już żadnego wątku do zgubienia. Wczorajsze! myślenie nie poszło mi na zdrowie, bo dziś chandra męczy mnie od rana. Wanda twierdzi, że on jest pewnie nieśmiały i dlatego nasza znajomość ma taki niesprecyzowany charakter. Analizowanie jej przypuszczenia zabrało mi połowę nocy. Wnioski? Owszem, są wnioski. Jestem idiotką. To jest wniosek główny. Widziałam tegoi Michała raptem dwa razy. I z punktu domagam się sprecyzowania,! deklarq*i, uwielbienia. Tak jest zawsze. Ilekroć poznaję jakiegoś chłopca, rozpatruję go natychmiast jako potencjalnego kandydata naj sympatię. I odwrotnie, sprawdzam, jakie ja zrobiłam na nim wrażenie.! Ale ja — to znaczy: moje oczy, moje nogi, moja figura. Bo właśnie według tego oni stawiają najczęściej oceny. A czyż, do diabła, składam się tylko z samego ciała? Michał wie, jak wyglądam, ale nie wie, jakaj jestem. Stąd może jego rezerwa? Może chce mnie poznać i dopiero1 wtedy... No, proszę! Napisałam już,

że jestem idiotką, a teraz muszę przyznać, że jestem idiotką niepoprawną! Wszystkie moje drogi prowadzą do Rzymu. Szukam miłości i stąd to wszystko. Nie szukam człowieka, szukam uczucia. To jest chyba najprawdziwsza rzecz, którą o sobie wiem. Rozumiem tę nieprawidłowość, ale nie umiem jej się przeciwstawić i pewnie dlatego mam chandrę.

Za moimi plecami dzieją się potworne rzeczy. Mama robi po rządę w szafie. Kątem oka widzę stertę ciuchów leżącą na moim tapczanie. Mama upłynnia remanenty. Odziedziczę po niej te szaty, które jej już zbrzydły.

Musiałam przerwać pisanie, żeby otworzyć drzwi.

— To na pewno w sprawie stołu! — zawołała mama.

— Jakiego znowu stołu? — zdziwiłam się.

— Naszego. Chcę sprzedać ten stół, Marto.

— Stół? — nie rozumiałam.

— No, otwórz, otwórz! — przynaglała. Jakies dwie grube babki oglądały potem stół jak rasowego konia.

Nogi były najważniejsze. Dyskusja na temat ceny i znowu oględziny

16

Jutro rano jakiś facet ma przyjechać po nasz historyczny mebel i powieźć go w siną dal. Szaleństwo!

— Cóż tak stoisz jak słup soli? — roześmiała się mama, kiedy babki wyszły. — Będziesz miała nowe meble. Chcę ci kupić segmenty. Jutro pójdziemy na Przeskok i wybierzesz sobie.

— Obrabowałeś bank?

— Nie!

— Na pewno obrabowałeś bank, tylko nie chcesz się przyznać, mamo!

— Głuptasie! Powiedz lepiej, czy chcesz coś z tych rzeczy, które tam odłożyłam.

Mętlik w głowie! Mam zupełny mętlik w głowie! Mama jest nieobliczalna. Meble z Przeskoku? I znowu nie wyjdzie z długów przez rok.

9 października

Muszę zdobyć się na maksimum cierpliwości, żeby opisać tę rzecz od początku, a nie od końca. Mama kazała mi przyjść po siebie do redakcji. Przyszłam punktualnie, ale czekałam jeszcze chwilę. Wreszcie mama wypadła z pokoju zapędzona, jakbyśmy się miały spóźnić na samolot do Honolulu.

- Prędzej, prędzej — poganiała mnie — już po czwartej!
 - Przecież tam jest otwarte do siódmej — tłumaczyłam zapinając jesionkę.
- Spojrzała na mnie i nagle jakby oprzytomniała.
- Jak tyś się ubrała? Dlaczego włożyłaś to stare dorobajło?
 - Bo najwygodniejsze.
 - Oszalałaś chyba! Wyrosłaś z tej jesionki dwa lata temu! Wróć do domu i ubierz się przyzwoicie!
 - Mamo, to nie ma sensu! Znowu spojrzała na zegarek.
 - Pewnie, że nie ma sensu — przyznała — już jesteśmy spóźnione!
 - Przecież ci mówię, że tam do siódmej otwarte! Ale nie ma sensu, żebym...
 - Nie wyobrażasz sobie chyba, że pójdziemy same kupować meble? Ani ja się na tym nie znam, ani ty! Zajdziemy po jednego pana,

17

mojego znajomego inżyniera, który pomoże nam coś wyszukać] I właśnie z nim umówiłam się na czwartą. No, trudno... musisz iść w tym łażu... Wstyd mi, doprawdy!

- Dokąd właściwie idziemy? — zapytałam, kiedy wyszłyśmy na ulicę.
 - Na Baczyńskiego, wiesz, gdzie to jest? Niedaleko Przeskoku Na Baczyńskiego miałyśmy blisko. Miła to uliczka, bo nieruchliwi
- i cicha.

- Może ja zostanę przed domem? — zaproponowałam.
 - Skąd! On na pewno czeka z jakąś kawą! Wie, że mamy przyjść. Weszłyśmy na drugie piętro. Mama skierowała się w stronę drzwi
- z numerem dwadzieścia pięć i zadzwoniła. Stałam za nią i czułam si trochę głupio, bo nie lubię ceremonii przedstawiania. Nagle dostrzegłam na drzwiach małą wizytówkę. Przechyliłam się przez ramię mamy i przeczytałam:

WIKTOR SOROKO

Zanim zdążyłam zapytać o cokolwiek, Michał otworzył nam drzwi. Ale na jego twarzy nie było zaskoczenia.

- Proszę bardzo — powiedział. — Zaraz poproszę tatusia.

— I poszedł w głąb mieszkania.

— Mamo... mamo... — powtarzałam cicho. — Mamo...

Nie słyszała, wpatrzona w drzwi, za którymi zniknął Michał. A potem zjawił się ten Wiktor Soroko. Bezgranicznie rozradowany

— No! No, nareszcie! — zawołał tak, jakbyśmy w końcu wrócili do domu z bardzo długiej podróży.

— Zatrzymali mnie w redakcji, wiesz? — mówiła mama głośniej jakoś niż zwykle. — Siedziałam jak na szpilkach, ale nie mogłam si^e wcześniej wyrwać! Pozwól, Wiktorze, to właśnie jest moja córka.

— Ależ pani jest ogromnie podobna do mamusi! — zawołał ściskając mi rękę. — Ogromnie! Rozbierajcie się, moje drogie!

— Troskliwie zajął się płaszczem mamy. Michał szybko wszedł do przedpokoju. Przywitał się z mamą

i pomógł mi zdjąć jesionkę. Inżynier Soroko klepnął go po ramieniu i pchnął lekko w moją stronę.

18

— Poznajcie się.

Podaliśmy sobie ręce i Michał głośno powiedział swoje nazwisko. Zrozumiałam to jako sygnał do zachowania milczenia na temat naszej znajomości. Ale tylko to zrozumiałam, nic więcej. Mieszkanie na Baczyńskiego jest przestronne i jasne. W porównaniu z naszą klitką wydaje się pałacem. Stałam niepewnie pośrodku pokoju. Widać inżynier zauważył to, bo polecił Michałowi, żeby się mną zajął.

— Lubisz płyty? — zapytał Michał sucho. — Mam dobry jazz. Wiedział przecież, że lubię. Wyciągnął to ze mnie zaraz, jeszcze

w Antycznej.

— Bardzo lubię! — potwierdziłam.

— To może przejdziemy do mojego pokoju — zaproponował — tam jest adapter.

Jego pokój był po drugiej stronie korytarza. Tu mogliśmy rozmawiać zupełnie swobodnie.

— Przepraszam cię — powiedział z punktu Michał — to wyszło nie tak, jak chciałem. Oni się pospieszyli... nie zdążyłem ci niczego wyjaśnić ani uprzedzić cię, że dziś tu będziesz...

— Przede wszystkim, mów z sensem! — zażądałam. — Powiedz, co to wszystko znaczy? Czy to moja matka... moja matka...? — ciągle nie mogłam w to uwierzyć.

— Tak! Dowiedziałem się od ojca kilka dni temu i... no, chciałem poznać ciebie i dowiedzieć się, jak to wszystko wygląda od waszej strony, jakie jesteście. Myślałem, że ci to wyjaśnię przy pierwszym naszym spotkaniu. Nie wyszło mi. Zorientowałem się, że ty nic nie wiesz! Że nawet się nie domyślasz! W Saskim Ogrodzie też chciałem ci powiedzieć i znowu zabrakło mi odwagi. Odłożyłem na czwartek. Chciałem pójść z tobą na jakąś kawę po treningu i tam, słowo daję, Marta, tam powiedziałbym ci wszystko! Tymczasem dziś po południu ojciec uprzedził mnie, że macie tu przyjść i już nie miałem sposobu, żeby cię zawiadomić.

— Kiedy poznałeś moją mamę?

— Wczoraj. Spotkałem ich na mieście i ojciec przedstawił mnie. To widocznie przyspieszyło ich decyzję, żeby zorganizować spotkanie we czwórkę: wy i my.

— Może raczej: oni i my! — sprostowałam. S t.

19

?

Michał nastawił adapter.)

— Szkoda jednak, że mi nie powiedziałeś od razu! Roześmiał się sceptycznie.

— Im bardziej narzekałaś na swoją matkę, tym mniej mi zostawało energii. Czy masz do mnie żal?

Zastanowiłam się.

— Nie. Żal to ja mam do mamy. Nawet dwa żale. Jeden o to, że niczego nie wyjaśniła mi sama. A drugi o to, że rozbiła twój dom. Czy wiesz, kiedy chcą się pobrać?

— Nie. Tego tata mi nie mówił. Ale myślę, że szybko. Dziś mają kupować meble do twojego pokoju.

— Do mojego pokoju... — powtórzyłam. Michał rozejrzał się.

— Tu będzie twój pokój. — Postukał palcem w biurko.

— Jak to? A ty? Co oni chcą z tobą zrobić?

— Ja tu nie będę mieszkał! — powiedział Michał twardo.

— Nie będziesz mieszkał? — krzyknęłam. — To ja mam mieszkać \ z nimi, a ty nie? Dlaczego? Przecież to jest twój dom! Przede wszystkim twój!

— Nie krzycz tak, bo usłyszą!

— A niech słyszą! Nie rozumiem, gdzie ty będziesz mieszkał?

Z mamą?

)

— Będę mieszkał u ciotki. Wiesz, że mama tkwi teraz w takiej dziurze pod Warszawą, z której musiałbym dojeżdżać do budy czterdzieści pięć minut? Półtorej godziny dziennie na drogę! A ja mam w tym roku maturę.

Wyłączyłam adapter. Jazz nie działa uspokajająco. Usiadłam na tapczanie Michała.

— Muszę się pozbierać... Coś w tym wszystkim nie gra...

— Wszystko gra — odparł Michał spokojnie. — Twoja mama) zwyciężyła walkowerem, bo moja nie stawiała się na ringu. A jeżeli

o nich idzie, chcą sobie ułożyć życie. Nie są jeszcze starzy!

— A jeżeli o nas idzie? — zapytałam. — O ciebie i o mnie? Zwłaszcza o ciebie?

— Cóż my? Za kilka lat pójdziemy swoimi drogami.

— Ale jeżeli chciałeś mnie poznać, zorientować się, jakie jesteśmy obie z mamą, to co właściwie tobą kierowało?

— Lęk - powiedział otwarcie. — Lęk o tatę.

— Tak bardzo go kochasz?

Odwrócił się gwałtownie w stronę okna i zasunął kolorowe zasłony. Inżynier Soroko zajrzał do pokoju.

— Idziemy obejrzyć meble! A ty, Michał... — urwał nagle i niepewnie popatrzył w kierunku okna.

Michał odwrócił się i powiedział swobodnie:

— Weźcie mnie ze sobą, tato!

Podszedł do ojca. Inżynier Soroko objął go ramieniem. Są już jednego wzrostu. Obydwaj tak samo wysmukli, zgrabni. Mają podobne rysy twarzy, nieduże głowy, ciemne włosy. Rozumiem mamę. Można się zakochać w Wiktorze. Ale kiedy płacąc za moje segmenty wyjęła z torebki portfel, którego nigdy przedtem u niej nie widziałam, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jednak obrabowała bank.

— Kiedy państwo odbiorą ten zestaw? — zapytała kasjerka.

— Jutro — powiedział inżynier Soroko.

Po powrocie do domu mama zdobyła się na szczerość. Ślub jestznaczony na dwudziestego października. Dwudziestego pierwszego mamy się przenieść. Moje segmenty pojedą od razu na Baczyńskiego. I co ja na to?

— No, nie wiem, mamo... jestem zaskoczona, zrozum... — bąkałam. — Mogłaś mnie jakoś uprzedzić!

— Zamierzaliśmy czekać z tym wszystkim do matury Michała. Ale ja już jestem bardzo zmęczona tą naszą ciasnotą i Wiktor namówił mnie na wcześniejszy termin.

— Dlaczego Michał nie może mieszkać z nami? Chociażby do matury?

— Nie chce! Pewnie ze względu na matkę czy coś w tym sensie. Jest uparty, Wiktor nie potrafi go przekonać. Ale jemu będzie dobrze u tej ciotki! — dorzuciła. — Dostanie tam mały pokój przy kuchni.

Widać zauważyła, że ciągle zastanawiam się nad tą sprawą, bo wyjaśniała dalej:

— Michał jest zadowolony, ten pokój bardzo mu się podoba. Zabierze wszystkie swoje rzeczy, do których przywykł, będzie do nas przychodził. Długo rozważaliśmy tę sytuację i doszliśmy do wniosku, że jest korzystna.

21

Mama mówiła dalej, ale ja prawie nie słuchałam. Tego dnia wszyscy dołożyli starań, aby mój świat stanął na głowie. Z tej pozycji nie można trzeźwo oceniać faktów. Może jak uda mi się odzyskać równowagę, jak poczuje grunt pod nogami, potrafię zdobyć się na coś w rodzaju obiektywizmu. Na razie — nie.

— ... jeżeli to cię ciekawi, oczywiście! — usłyszałam głos mamy.

— Tak — odpowiedziałam machinalnie — ciekawi mnie. Zsunęła z nóg pantofle i usiadła w rogu tapczanu.

— Więc poznałam Wiktora dwa lata temu. Na imieninach u pani Róży. Kiedy przyszłam, on był. I wiesz, Marta, już wtedy zrobił na mnie wrażenie.

Opowiadała z dużym zaangażowaniem, z przejęciem, gestykulowała rękoma w powietrzu, jakby chciała nadać swoim słowom realny jakiś kształt. Przypominała mi Wandę, Jolkę, Grażynę. Wyglądała jak każda z nas, kiedy opowiadamy o swoich przeżyciach.

— I wtedy zauważyłam, że mi się przygląda — mówiła.

Jej głos mógłby być równie dobrze moim głosem, jak Irki czy Marleny. Ile razy wysłuchiwałam już podobnych relacji! Czy przez całe życie te sprawy interpretuje się podobnie? Chyba nie. Jest przecież pewna granica zwierzeń, której mama nie przekroczy. Promieniuje szczęściem,

chce, żebym uległa jej nastrojowi. Nie mogę. Kolację jadłyśmy siedząc w kucki na moim tapczanie, bo stół zabrali dziś rano.

10 października

Dziś Jadwisia wyrwała mnie do odpowiedzi. Fizyka. Patrzyłam na nią jak baran na wodę.

— No — poganiała mnie — przypomnij sobie!

A ja nawet nie wiedziałam, co mam sobie przypomnieć.

— Nie wiem, pani profesor! — przyznałam się wreszcie.

— Co się z tobą dzieje, Marto? Jest mi strasznie przykro, ale muszę postawić ci minus. To było bardzo proste pytanie! Czy wszystkie wiadomości z zeszłego roku tak dokładnie wywietrzały ci z głowy?

Jadwisia jest bardzo równa babka, więc przyznałam otwarcie:

— Ja w ogóle nie wiem, o co pani mnie pytała.

22

— Nie uważałaś? Wiecznie nabijacie sobie łepetyny jakimiś głupstwami! — rozgniewała się nagle. — Dopiero pod koniec roku popłoch! Ciekawa jestem, o czym ty myślisz na fizyce? O nowej sukience, co?

— Nie, pani profesor — odpowiedziałam patrząc Jadwisi prosto w oczy. — Myślałam o swoim nowym domu, nowym ojcu i nowym bracie.

— Co ty mówisz? — zdumiała się Jadwisia. — Nie wiedziałam nawet, że twoja mama spodziewa się dziecka!

— Ja też nie wiedziałam, pani profesor! — wysiliłam się na dowcip. — Mój nowy brat będzie starszy ode mnie.

W klasie było cicho. Jolka tylko parsknęła i zakryła usta ręką. Jadwisia była bystra.

— Aha... — mruknęła. — No dobrze, siadaj! Demonstracyjnie wymazała minus z dziennika. I to w jakiś sposób,

w sposób, którego nie potrafię w ogóle pojąć, wyzwoliło we mnie setki ^ uczuć.

Usiadłam i zaczęłam beczeć. Najpierw trochę, a później coraz

bardziej. Wanda objęła mnie ramieniem.

— Uspokój się, Marta, nie rób kina! — złościła się. Nie miałam chustki i rozmazywałam łzy po policzkach.

» Jadwisia podeszła, wsunęła mi swoją chusteczkę do ręki.

— Cicho, Marta — powiedziała głaszcząc mnie po włosach. Ale ze mną było coraz gorzej. Zauważyła to. Podała książkę Mirce.

— Zadanie czterdzieste! Zrobisz je na tablicy, a wy uważajcie 1 i bądźcie cicho! Chodź ze mną, Marto.

Stanęliśmy w korytarzu przy oknie. Jadwisia nie pytała mnie o nic.

— Przepraszam! — powiedziałam wreszcie. — Widzi pani... nie mogę się wziąć w garść...

— Widzę. Ale nie bardzo rozumiem, dlaczego tak przeżywasz to wszystko. Nie jesteś przecież dzieckiem, które boi się ojczyma. Jesteś prawie dorosła i rozsądna, Marto! Nie możesz mieć za złe swojej

' mamie, że chce sobie ułożyć życie.

— Ale dlaczego tak? Dlaczego zaraz rozbijać czyjś dom?

— Ja także rozbiłam czyjś dom... — odpowiedziała Jadwisia cicho — i jestem szczęśliwa, a tamta kobieta jest chyba jeszcze szczęśliwsza ode mnie, wiesz? Wyszła powtórnie za męża, znalazła człowieka, który

^

23

niezwykle jej odpowiada. To może paradoksalnie brzmi, ale są dramaty, które kończą się happy endem.

— Ale nie wszystkie.

— Nie wszystkie — musiała przyznać Jadwisia.

— Mnie jest żal tamtej kobiety! I Michałami żal! — powiedziałam szczerze.

— Rozumiem! — Jadwisia westchnęła.

Jej próba pocieszenia mnie okazała się niewypałem. Nie była zresztą przekonująca i Jadwisia na pewno wiedziała o tym. Przez chwilę wygładzała zagięcie na mojej bluzce.

— Musisz się jakoś dostosować — poradziła mi.

— Właśnie próbuję i widzi pani, jak to wygląda! Syn tego inżyniera, za którego mama wychodzi za męża, potrafił ustawić się w tym wszystkim. On jest sobą! A ja? Ja jestem jak mebel, który zostanie przesunięty z jednego mieszkania do drugiego!

— Są meble, które przeszkadzają i są meble niezbędne! — Jadwisia wsunęła ręce do kieszeni swetra i przyglądała mi się uważnie. — To tylko od ciebie zależy, jakim meblem się staniesz. Wymazałam ci ten minus, Marto, ale pamiętaj, że każdy człowiek ma swój własny rejestr uczynków, z których nie daje się nic wymazać. Musisz pilnować swojego rejestru.

Tyle Jadwisia. Pewnie bardzo mądrze sfiniszowała, ale niestety nie umiała zdusić we mnie żalu i buntu. Choć prawdę mówiąc, nie pozostaje mi nic innego, jak dać się przesunąć do mieszkania Wiktora.

Teraz przerywam pisanie. Dochodzi piąta. O piątej Michał ma czekać na mnie na Kruczej. Umówiliśmy się pod moim ukochanym neonem, najpiękniejszym chyba ze wszystkich neonów Warszawy, tam gdzie śliczna kobietka w krynolinie pilnuje sklepu cukierniczego pod nazwą „Bombonierka”!

11 października

Jestem śpiąca. Wczoraj wróciłam do domu o siódmej i potem musiałam dość długo siedzieć, żeby przygotować się jako tako do sprawdzianu z geografii. Jadwisia też zadała nielicho! Było mi bardzo trudno wyłączyć się z tych spraw, które ostatnio toczą się wokół mnie w oszalałym tempie! Dziś uporałam się z lekcjami zaraz po szkole

24

i teraz mogę pisać bez wyrzutów sumienia. Mamy nie ma. Poszła na Baczyńskiego, dopilnować malarzy.

— Wiktor pyta, jaki chcesz mieć kolor ścian u siebie w pokoju, Marto? — zakomunikowała mi przy obiedzie.

Sznycel cielecy stanął mi w gardle jak kołek.

— W gruncie rzeczy jest mi to obojętne!

— Nie może ci być obojętne! — zakwestionowała. — A malarze właśnie tam będą dziś malować!

— Popielaty.

— Taki gołębi?

— Może być gołębi.

— Taki jak ten mój szal?

— Może być taki jak szal.

— Wiktor się ucieszy. On też uważał, że najlepszy byłby popielaty! Ale decyzję pozostawił tobie! - podkreśliła.

— Dziękuję — powiedziałam sztywno. Ucieszyła się wyraźnie.

— Powtórzę mu.

A więc pewnie właśnie w tej chwili malarze pokrywają ściany „mojego pokoju” popielatą farbą.

Michał był punktualnie, ja też. Miał ze sobą granatową torbę z brezentu.

— Co tam dźwigasz? — zapytałam.

— Tu jest mój sprzęt — wyjaśnił. — Floret, maska.

— Mówisz, że to jest taki cudowny sport? — nie dowierzałam.

— Widziałam kilka razy w telewizji i jakoś mnie to nie chwyciło!

— To jest cudowny sport, Marto! — zapewnił mnie. — Wymaga niesłychanej precyzji, refleksu, inteligencji...

— I ty to wszystko masz? I refleks, i precyzję, i inteligencję? Roześmiał się.

— Nie wiem, w pewnym stopniu na pewno. Wygrałem mistrzostwa juniorów.

Do klubu jechaliśmy trolejbusem zapchany jak nieszczęście. Michał osłaniał mnie przed naporem innych ludzi.

— Więc może się zdarzyć i tak, że pojedziesz na olimpiadę

— zauważyłam.

25

Uniósł brwi.

— Potrzebny mi jest regularny trening! — wyjaśnił. — Każdy sport wymaga żelaznej woli, samo chcenie nie wystarcza. Do niczego samo chcenie nie wystarcza — dorzucił.

— A w ogóle, to ty jesteś strasznie bojowy! — zauważyłam, kiedy wysiedliśmy z trolejbusu.

— Dlaczego tak sądzisz?

Nie odpowiedziałam mu na to pytanie. A sądzę tak dlatego, że ciągle mam w pamięci zdanie, które powiedział mówiąc o bierności swojej mamy: „Ja bym walczył, gdyby ktoś chciał poderwać mi dziewczynę.” Nie wiem, dlaczego właśnie to sformułowanie Michała tak głęboko utkwilo mi w pamięci. Potem usadowił mnie na długiej ławce pod ścianą, a sam pobię się przebrać. Zobaczyłam go dopiero na planszy. W pierwszej chwili nie mogłam się zupełnie zorientować, o co chodzi w tym machaniu floretami, ale później zafascynowała mnie czujność, która jest chyba czymś decydującym w szermierce. Nieostrzegalne niemal

pchnięcia przeważały punktację raz na rzecz Michała, raz na stronę jego przeciwnika. Cisza, która panowała na sali, podkreślała wyraźną nerwowość ich obydwóch, wybuchającą od czasu do czasu ostrym, urywanym okrzykiem. Początkowo obojętna, już po chwili nie mogłam oprzeć się emocji! Kiedy Michał zadał decydujące pchnięcie i trener z zadowoleniem poklepał go po ramieniu, odetchnęłam z ulgą. Podszedł do mnie, zadyszany, z kroplami potu na czole.

— No jak? Podobało się?

— Szalenie!

— No widzisz! A ja, wiesz, bałem się, że nie dam mu rady. To byłoby paskudne, bo przecież chciałem się popisać przed tobą — przyznał otwarcie.

Jego przeciwnik zeskoczył z planszy i zbliżył się do nas.

— Pozwól, Marta — powiedział Michał — to jest mój przyjaciel Patryk.

Zabawny ten Patryk! Pochylił się nisko, a kiedy podałam mu rękę, pocałował ją z udanym nabożeństwem i powiedział:

— W ten sposób samą Afrodytę poznałem osobiście o godzinie siedemnastej czterdzieści pięć...

26

Nie wiem, czy zmęczyłam się dziś na wuefie, czy zaziębiłam wczoraj, kiedy tak pomału wkleiśmy się z Michałem wracając z klubu, dość że czuję się fatalnie. Zrezygnuję chyba z dalszego pisania.

14 października

Zrezygnowałam i to na całe cztery dni! Mam grypę i chociaż gorączka spadła mi już, to ciągle czuję w kościach nieprzyjemne łamanie. Powodzi mi się znakomicie. Mama znosi książki, cytryny, aspirynę Bayera. Autorem tych luksusów jest Wiktor.

— Wiktor przysyła ci pozdrowienia — komunikuje mi mama, kiedy po pracy wraca do domu.
— Spójrz, postarał się o cytrynki dla ciebie.

Postarał się i o aspirynkę, i o Opowieści biblijne Kosidowskiego, których już od dawna nie można nigdzie dostać. Czytam, łykam, zjadam, a mama jest szczęśliwa. Niech będzie i tak, chociaż równie szybko wyzdrowiałabym po rodzinnym asprocolu i witaminie C w pastylkach.

Dziś w południe mama zajrzała do mnie w godzinach pracy.

— Wiktor mi mówił, że Michał się pyta, czy może do ciebie wpaść przed wieczorem.

To nagromadzenie imion! Wiktor mówił, że Michał się pyta... Jakąż rozległą mamy rodzinę! My, które przez dziesięć lat wiodłyśmy egzystencję w skromnym duecie!

— Powiedziałam, że tak, Marto! To miłe ze strony Michała, prawda?

— Bardzo miłe — przyznałam.

— Zwłaszcza że wieczór będę miała znowu zajęty i siedziałabyś sama.

— Kiedy skończysz tę robotę, mamusiu?

— Myślę, że za jakieś dwa, trzy dni.

Wykańcza na gwałt pnać zleconą. Chce się uporać z tym jak najszybciej, żeby się móc zająć bez reszty zlikwidowaniem naszego obecnego domu. Zastanawiam się, jak to będzie?

Wyglądam przez okno. Zaczyna się zmierzch, światło latarni rozprasza się jeszcze, dopiero zupełny mrok skoncentruje jej blask. Po przeciwnej stronie ulicy szara ściana domu z rozrzuconymi cętkami okien, w których

27

palą się już lampy. Dwie skrzynki pocztowe na rogu i duże, jasne wystawy Samu. I klon, który rósł tutaj razem ze mną. On zostanie, a ja? To będzie trochę tak, jakbym urodziła się na nowo! Czekam na Michała. Michał stanie się elementem tego nowego życia i może to jedyna radość. Wszyscy chłopcy, którymi zainteresowałam się do tej pory, zjawiali się i odchodzili, nawet nie wiem, co się z nimi dzieje. A Michał zostanie już na zawsze. „Brat” — powiedziałam Jadwisi. A przecież nie brat. Na szczęście! Kiedy wracaliśmy z klubu i szedł obok mnie z workiem szermierczym przewieszonym przez ramię, chciałam, żeby ta droga ciągnęła się jak najdłużej. Z nikim nie jest mi tak zwyczajnie, jak z Michałem, i to właśnie jest wyjątkowe. Przeczytałam to zdanie jeszcze raz, bo wydawało mi się, że nie ma sensu i że muszę je skreślić. Nie skreślam. Ma sens.

Był. Zastał mnie nad tymi notatkami i zapytał, co piszę. Śmiał się, kiedy powiedziałam:

— Pamiętnik!

— Poważnie?

— Poważnie. W ósmej klasie miałam trudności ze stylem i polonistka kazała mi pisać dziennik. Sprawdzała moje notatki co tydzień, po jakimś czasie przestała i pozwoliła mi przerwać. Ale ja już przywykłam.

Przez chwilę przyglądał się mojemu brulionowi ze sceptycznym uśmieszkiem.

— Jest tam coś o mnie? — zapytał.

— Jest!

— A co?

— O, jaki ciekawy! Wzruszył ramionami.

— Pewnie coś złego, jeżeli nie chcesz powiedzieć. Mniejsza z tym! Marta, tu w jakimś garnuszku ma być zupa z obiadu. Mam ci ją odgrzać i dopilnować, żebyś wszystko zjadła.

— Ho, ho! — zawołałam ironicznie. — Dopilnować, żebym wszystko zjadła!

— Żadne: ho, ho!

Podszedł do kuchenki gazowej, którą mamy we wnęce pokoju, i podnosząc pokrywki ze stojących na niej garnuszków szukał mojej zupy pomidorowej.

28

— Trochę tego mało — zdecydował. — Trzeba ci zrobić jeszcze jajecznicę.

— Mama kazała?

— Nie, ja sam doszedłem do tego wniosku — odparł zapalając gaz.

— Ho, ho! — powiedziałam znowu. Michał sięgnął po patelnię.

— Gdzie masło? — zapytał.

— Nie używamy masła. Margaryna jest między oknami — odparłam potulnie.

Muszę przyznać, że krzątania Michała sprawiała mi niebotyczną frajdę.

— Dlaczego nie używacie masła? — zapytał wyjmując kostkę margaryny.

— Margaryna też jest zdrowa! Jest nawet zdrowsza niż masło. Przez chwilę stał i uderzał nożem w kostkę. Zauważyłam, że

ściągnął brwi i intensywnie zastanawiał się nad czymś.

— A wy używacie masła? — spytałam.

— Tak. Ojciec nie znosi margaryny! — powiedział sucho.

— No, to... no, to chyba teraz zacnie się kupować masło

— powiedziałam niepewnie, bo skąd mogłam wiedzieć, jak mama ustosunkuje się do problemu tłuszczowego.

— Albo ojciec będzie się musiał przyzwyczaić do margaryny

— zauważył Michał. — Mniejsza z tym!

Już drugi raz używał tego zwrotu. Wybił jajka na patelnię, rozmieszał, przyniósł mi talerz z zupą i szybko wrócił do kuchenki.

- Robisz to wszystko bardzo fachowo — stwierdziłam.
- Ma się tę wprawę! W naszej drużynie każdy potrafi przygotować podstawowe żarcie.
- Należysz do harcerstwa?
- Należę.
- Strasznie jesteś pozytywny.
- Uważasz, że to wada?
- Ależ skąd! Gorąca zupa, genialna jajecznica, postawiona woda na herbatę. Jesteś tak pozytywny, że chyba aż nieprawdziwy!

Uśmiechnął się lekko.

29

- Uważasz, że prawdziwymi ludźmi mogą być tylko cwaniacy, podrywacze i nieroby?
- Nic podobnego! — obruszyłam się. — Uważam natomiast, że każdy człowiek ma jakieś swoje wady, mniejsze lub większe, i zastanawiam się, co zrobiłeś ze swoimi, że ich nie widać? Wytępiłeś czy co?
- Nie! Jestem tylko znakomity aktorsko! W gruncie rzeczy tkwi we mnie człowiek zepsuty do szpiku kości, sadysta i zboczeniec! Uwodzę nieletnie dziewczęta, wyrwam kotom ogony i dręcę starców! Boisz się mnie? — zapytał, ostrożnie niosąc przez pokój dwie szklanki herbaty. — No, powiedz prawdę, boisz się mnie?
- Strasznie! — odpowiedziałam.

Nagle postawił szklanki na podłodze, podbiegł do radia i zawołał entuzjastycznie:

- A teraz bądź cicho, Marta! Dukla — Górnik Zabrze!

Radio wyło, herbata stygła, dojadłam resztki jajecznicy. Tomaszewski wyrzucał z siebie dziesięć słów na sekundę, Pol strzelał, Lubański faulował, druha Michał Soroko wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i szukając zapalek krzyczał:

- Chryste Panie! Jeszcze jeden gol!

Tylko ja leżałam cicho. Czułam, że zaczynają palić mnie policzki. Ale to nie była gorączka. Wydaje mi się, że jestem zakochana.

17 października

Już wstałam, ale nie mam czasu na pisanie. Odrabiam szkolne zaległości, pakuję nasze drobiazgi, latam z mamą do krawcowej, która tworzy dla niej cudny kostium w stylu Chanel. Mama skończyła już swoją pracę zleconą i szykuje się do skoku w przyszłość. Nasze mieszkanie przypomina bazar Różyckiego; mama sprzedaje minione życie. Nie trzeba mi tłumaczyć, wiem, że są to rzeczy, które nie będą nam teraz potrzebne. A jednak jest mi przykro. Zawsze sądziłam, że nie lubię naszego pokoju ani starych zużytych sprzętów. Dopiero teraz widzę, jak były mi bliskie!

Nigdy nie myślałam o mamie tak dużo, jak obecnie. Kiedy pakowałyśmy rzeczy z jej biurka, wpadła mi w ręce duża, brązowa koperta, której zawartość nieraz przeglądaliśmy wspólnie. Mama rzuciła mi pudełko po czekoladkach.

30

i

— Przełóż te rzeczy, Marta, i zawiąż sznurkiem! Otworzyłam kopertę i wyjmowałam kolejno mamine muzeum

historyczne: biało-czerwona opaskę z nadrukiem: Wojskowa Służba Kobiet, zgniecioną przepustkę, jedyny list, który w czasie powstania dostała od mojego ojca. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że kiedyś wyjdzie za niego za męża. List zaczynał się od słów: „Kochany Wróbelku!” Wyjęłam z tej koperty czerniałego orzełka, numer powstańczej gazety

r i mamy zdjęcie przy barykadzie na Wspólnej. Przekładałam to wszystko

do pudełka po czekoladkach i w głowie mi się wprost nie mogło pomieścić, że dziewczyna z tamtych czasów i moja mama — to jedna i ta sama osoba. Patrzyłam teraz na jej paznokcie ozdobione pastelowym

* lakierem, na uczesane starannie włosy, przypomniałam sobie kostium

Chanel. Dziwne jest to wszystko. Zawiązałam pudełko sznurkiem.

— Daj mi to, mamó — poprosiłam.

Odwróciła się gwałtownie i wyciągnęła rękę po swoje rekwizyty.

— Nie, skąd! — oburzyła się — To moje!

Przez chwilę patrzyła na pudełko. Potem powiedziała spokojnie:

— Lubię rysunki Uniechowskiego.

Wierzch pudełka ozdobiony był reprodukcją. Chciałam już powiedzieć, że w takim razie zostawię jej pudełko, a samą tylko zawartość

i schowam u siebie. Ale w porę spostrzegłam, że położyła je na samym

spodzie walizki, a potem szybko podeszła do okna, na którym stała jej torebka, wyjęła chusteczkę i wycierając nos pokasływała nienaturalnie. Za chwilę wróciła do przerwanego pakowania. Nagle roześmiała się

i bardzo głośno.

— Wiktor powiedział, że przeprowadzamy się jak dwie stare ciotki! Wiktor uważa, że powinniśmy sobie sprawić pudła na kapelusze. Ale Marta, czekaj, faktycznie! W co ja mam zapakować kapelusze?

22 października

Muszę przyznać, że wyglądali bardzo ładnie. Mama w popielatym

i kostiumie, Wiktor w czarnym garniturze. W Urzędzie Stanu Cywil-

nego było masę osób, wszyscy odnosili się do nich z olbrzymią serdecznością. Kwiaty, gratulacje. Wiktor przejęty, mama roześmiana. Staliśmy z Michałem pośród obcych ludzi i było nam głupio. Kiedy przypominam sobie to wszystko, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że cała ta ceremonia jest...

Rozdział II

Wiktor odłożył fajkę i dotknął ręką szklanki. Herbata już dawno wystygła. Nie lubił zimnej herbaty. Przeczytał poprzednie zdanie jeszcze raz:

— „...Staliśmy z Michałem pośród obcych ludzi i było nam głupio...”

Wiktor odłożył brulion. Tak, pamiętał to. Dostrzegł ich. Stali obok siebie. Marta z bladą buzią, Michał z oczyma poszarzałymi troską. Tak, dostrzegł ich i pomyślał wtedy, że dołoży wszelkich starań, aby przełamać opory Michała, jego niechęć do Anny. Tak, tak... obok Marta, z kącikami ust opuszczonymi ku dołowi. Uśmiechnął się do niej, bo rozumiał, że tylko on sam spośród wszystkich zebranych tu ludzi .może dodać jej odwagi. Marta uniosła niewysoko rękę i poruszała palcami jak dziecko, które dopiero uczy się machania. Ale kąciki jej ust opadły jeszcze niżej. Odwrócił się, bo obiecał sobie solennie, że ten dzień będzie należał wyłącznie do Anny. Okazuje się jednak, że nie ma dnia, który można ofiarować tylko jednemu człowiekowi. Wiktor położył rękę na granatowym brulionie i miarowo przebierał palcami. Zza okna dobiegł aż tu przenikliwy, ostry gwizd. Wiktor odwrócił głowę. Zobaczył tylko ciemny prostokąt nieba i wyraźne punkty gwiazd. Wszedł na balkon i spojrzął w dół. Michał stał obok trawnika i patrzył, jak Shimmy kotłuje się między niskimi krzewami.

Znowu gwizdnął, ale pies był głuchy na wszystko. Michał stanął na wąziutkim krawężniku i szedł po nim pewnie, bez trudu utrzymując równowagę. Shimmy podbiegł, zębami szarpał mu spodnie, szczekał, potem znowu potoczył się na trawę jak mała, czarna piłka. Wiktor jeszcze przez chwilę obserwował szczupłą sylwetkę syna. „Te elastyczne ruchy, proste plecy, wysoko noszona głowa — to rezultaty treningu — pomyślał. — Przedtem trzymał się zupełnie inaczej! Cechy nabyte, a jednak Michał przywykł do nich tak dalece, że nic teraz nie potrafiło go przygarbić ani skłonić do pochylecia głowy.” Wiktor zauważył to już wcześniej, kiedy przed kilkoma godzinami był świadkiem rozmowy Michała z kapitanem Ligotą. Michał ani na chwilę nie opuścił głowy. Wtedy Wiktor myślał, że jest to albo bezczelność z jego strony, albo idealnie czyste sumienie. Ani jedno, ani drugie nie wydawało się na miejscu i Wiktora gniewała postawa Michała, ta głowa lekko uniesiona do góry i to spojrzenie prosto w oczy Ligoty. Ale teraz, kiedy obserwował Michała idącego po krawężniku, uczeplił się myśli, że wszystko to było rezultatem treningu.

Wiktor cofnął się w głąb pokoju, usiadł na fotelu i sięgnął po fajkę. „Gdyby Michał nie był taki skryty! — pomyślał. — Ale on zachowuje się, jakby nauczono go tylko dwóch słów: tak i nie. Dlaczego? Czy coś się za tym kryje? Czy Michał zna jakieś szczegóły, których nie chce wyjawić? Przecież to niemożliwe, aby domysł Ligoty był prawdziwy! Nie, to niemożliwe...”

— Ja muszę zakładać i taką ewentualność — tłumaczył Wiktorowi Ligota, kiedy zostali sami.
— Nie można prowadzić śledztwa tylko w jednym kierunku. Założeń musi być kilka i drogą eliminacji dochodzi się do prawdy, inaczej nie można, panie inżynierze.

— Ale przecież Michał ma ślad na rękę, wyraźny wylew po uderzeniu! I jest także opinia lekarza.

Wtedy Ligota uśmiechnął się i powiedział z zakłopotaniem i żalem:

— Człowiek nie tylko atakuje, człowiek się także broni. Ja nie wiem, co kierowało Patrykiem... A może działał w obronie własnej? Naoczny świadek jest tylko jeden, Marta! Ale ich zeznania mogą być uzgodnione.

— Nie kontaktowali się ze sobą, panie kapitanie! Zgodnie z pana poleceniem zresztą.

33

i

— Przykro mi panie inżynierze, ale te sprawy mogły być omówione poprzez pana, pańską żonę...

— Pan z tego robi kryminał! — oburzył się Wiktor.

— Robię kryminał? O nie! Spełniam tylko swój obowiązek!

— Zapewniam pana, że ani ja, ani moja żona nie rozmawialiśmy z Martą. Ona w ogóle nie wie jeszcze o tym wszystkim! Panie kapitanie, zapewniam pana...

Kapitan Ligota poważnie skinął głową.

— Jestem skłonny wierzyć panu — powiedział. — Z Martą będę rozmawiał już jutro i chyba pozwoli mi to zorientować się w całokształcie sytuacji. Lekarz twierdzi, że Marta czuje się dostatecznie dobrze na to, by udzielić mi obszerniejszych wyjaśnień.

— Więc jutro?

— Tak!

— Bardzo się o nią boję — powiedział wtedy Wiktor. I tak jak teraz, nerwowymi, szybkimi ruchami szukał po kieszeniach zapalek.

Michał otworzył drzwi, Shimmy przebiegł przez korytarz i wpadł do pokoju. Stał przed Wiktorem, podniósł łeb i patrzył wyczekująco. Czarne oczy błyszczały, przysłonięte nieco długą, kudłatą sierścią.

— Dobry pies — powiedział Wiktor i podrapał go za uchem. Shimmy pomerdał ogonem i oparł łapy o kolana Wiktora.

W drzwiach stanął Michał. Pomimo opalenizny widać było na jego twarzy ogromne zmęczenie: ciemne sińce pod oczami, zapadłymi głęboko, dziwnie martwymi. Wiktora ogarnęło współczucie i wielka tklivość.

— Jak się czujesz? — zapytał miękko.

— Pochyło — odparł Michał z nieruchomą twarzą. — Pochyło, tato.

* * *

23 grudnia

I znowu wracam do mojego dziennika. Po dwóch miesiącach przerwy. Dlaczego nie pisałam? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Przypuszczam, że najistotniejszą przyczyną była ta ogromna zmiana stylu życia! Zmiana sięgająca aż po moje upodobania i nawyki. Nie

34

sposób opisać, nawet w najbardziej lapidarnym skrócie, wydarzeń, które obserwowałam ostatnio. Obserwowałam — to jest jedyne określenie, bo życie w naszym domu toczy się ciągle obok mnie. Nie umiem włączyć się do nowego rytmu, oddychać w nowym klimacie. Wiktor uważa, że przechodzę okres asymilacji. Chociaż rozumiem to słowo, sprawdziłam jego znaczenie w encyklopedii. Proszę bardzo: „asymilacja — przyswojenie sobie cech i kultury narodu przez obcych przybyszów”. Voila! Żywcem przepisane. Wniosek z tego jasny, że

Wiktor uważa mnie za obcego przybysza. Sądzi, że powinnam przyswoić sobie jego kulturę. Przyswajam, przyswajam i przyswoić nie mogę. Wiktor w stosunku do mnie jest poprawny, ale za moimi plecami ustawia mamę. Mama coraz częściej wygłasza mowy, poucza mnie i potrząsa moim sumieniem. Nigdy tego nie było.

— Mamo! Ty wszystko to bardzo pięknie ujmujesz i jesteś święcie przekonana o swoich racjach, i może nawet je masz! Ale mnie drażni jedna rzecz: to Wiktor jest twoim natchnieniem! — nie wytrzymałam kiedyś.

Popatrzyła na mnie osłupiała.

— Moja droga — powiedziała po chwili — nic podobnego! Ale ja dopiero teraz widzę, że masz ogromne luki w wychowaniu. Dopiero teraz je dostrzegam, zrozum! I jest mi wstyd, mówię ci otwarcie, jest mi wstyd przed Wiktorem, że nie umiałam tobą pokierować.

Nie odpowiedziałam na to nic, no bo co odpowiedzieć na takie dictum? W stosunku do mnie w Wiktorze obudził się pedagog tylko raz. A było to tego dnia, kiedy ze strachu przed repetycją z chemii symulowałam ból głowy. Mama przyszła mnie budzić, więc rozmazanym głosem jęknęłam:

— Boli mnie głowa, mamuś... i tak się strasznie źle czuję! Niezawodny instynkt córki pokierował mną prawidłowo. Mama

zakrzętnęła się żywo: herbata, proszek, przysłonięte okno.

— W takim razie, moje dziecko, poleżysz dziś w łóżku. Gdybyś się gorzej czuła, zadzwoń do mnie. Wiktorze, podaj mi termometr! Marta jest chora!

Wiktor przyleciał natychmiast. W jednej ręce trzymał termometr, w drugiej elektryczną maszynkę do golenia.

— No? — zapytał. — Marto, co ci jest?

35

— Boli mnie głowa i w ogóle bardzo się podle czuję.

— Zmierz gorączkę — podał mi termometr — zobaczymy, może trzeba wezwać lekarza. Pozwolisz, że się tu ogolę? — Włączył maszynkę do kontaktu przy moim łóżku i siedział przy mnie twardo przez dziesięć minut.

— Boisz się, że natrę termometr? — zapytałam wreszcie.

— Tak — powiedział i roześmiał się — chcę znać prawdę. No i zobaczył. Trzydzieści sześć i sześć.

— Przy bólu głowy nie ma gorączki — zauważyłam. — Czy nigdy cię nie bolała głowa, Wiktorze?

— Często mnie boli — przyznał. — A na przyszłość umówimy się tak: ilekroć nie będziesz chciała iść do szkoły, przyjdiesz do mnie i wyjaśnisz po prostu: nie mogę pójść, bo to czy tamto! I sprawa załatwiona. Ty zostajesz, a my nie umieramy z niepokoju, że coś ci jest. Zgoda?

— Zgoda! — powiedziałam, kiwnęłam głową i natychmiast złapałam się za czoło, bo było mi teraz głupio przyznawać się do błagi.

Wiktor umierający z niepokoju o moje zdrowie! Tak jakby nie miał innych powodów do zmartwień. Ale muszę przyznać, że był konsekwentny i w ciągu dnia dzwonił aż dwa razy, żeby dowiedzieć się o moje samopoczucie.

Samopoczucie uległo rzeczywiście znakomitej poprawie, bo leżąc w łóżku przerobiłam rzetelnie całą chemię i na następnej lekcji zgłosiłam się do odpowiedzi. Od tamtej pory unikam tego rodzaju sytuacji, bo nie mam najmniejszej ochoty zwierzać się Wiktorowi ze swoich kłopotów.

Mama w ogóle nie przechodziła okresu asymilacji. Załadowała Wiktorową szafę swoimi ciuchami, ustawiła w łazience nasze szczotki do zębów i w ten sposób zapuściła korzenie w tym domu. Przyjęła się jak dobrze posadzona roślina. Sytuacja materialna Wiktora nie uwolniła jej całkowicie od prac zleconych. Bierze coś od czasu do czasu, chociaż Wiktor się wścieka.

— Wolę, żebyśmy nie mieli tego czy owego, ale żebyś nie siedziała nad tymi korektami! Na życie jest, na ubranie jest i jeszcze na urlop da się odłożyć. Nasze dwie pensje i moja dodatkowa robota swobodnie nam wystarczą.

36

Ale mama śmieje się tylko i często przynosi korektę, której Wiktor nienawidzi. Żeby prędkiej wypchnąć z domu sterty szczotkowych odbitek, Wiktor siedzi razem z mamą do późnej nocy, a potem łązi wściekły i niewyspany. Właśnie po takiej przepracowanej nocy, w samym początku listopada, mama po obiedzie zaparzyła kawę. Wiktor usiadł na fotelu i czytał gazetę. Zgasła mu fajka. Sprzątałam ze stołu.

— Michał, podaj mi zapałki — powiedział tak, jakby wygłaszał odwieczną formułkę.

Wzięłam ze stołu zapałki i podałam mu natychmiast. Spojrzał na mnie zza gazety nieprzytomnie zdumiony. A przecież ja z księżycą nie spadłam! Sam chciał, żebym zajęła w tym domu miejsce Michała!

Byłam rozżalona i powiedziałam o tym mamie.

— Jesteś bardzo nieczuła — odparła oschle. ?— Jestem nieczuła?

— Tak.

— Jestem nieczuła! Uważasz może, że to ja wygoniłam stąd Michała? No, wiesz, mamó! A Wiktor nawet nie zauważa różnicy między nami! Po prostu jest mu potrzebny człowiek do podawania zapalek!

— Po pierwsze, Michała nikt nie wyganiał. Sam zaproponował to mieszkanie u ciotki. Uparł się jak osioł, rozumiesz? Jak osioł! Nie było siły na to, żeby mu przetłumaczyć! A po drugie, powiedzenie Wiktora świadczy o tym, jak bardzo... jak bardzo Wiktor... jak on strasznie... to tylko ja o tym wiem.

Obawiam się, że mama mocno przecenia ciężar gatunkowy uczuć Wiktora. No, ale teraz będzie szczęśliwy! Michał spędzi u nas całe, całutkie święta! Jego matka wyjeżdża do siostry, która stale mieszka w Londynie. Kiedy Wiktor dowiedział się o tym, oświadczył w czasie niedzielnego obiadu, na który Michał najczęściej do nas przychodzi:

— Nie wyobrażam sobie świąt bez ciebie, Michał. Mama wyjeżdża, więc możesz się chyba tu przenieść na te kilka dni. Cioci Hani przyda się twój pokój, bo przecież Celinka z dziećmi będzie u niej przez cały tydzień.

— Oczywiście! — poparła go mama. — Święta bez ciebie straciłyby dla nas cały urok.

37

A ja nic nie powiedziałam. Bo Michał chyba wie, że dla mnie każdy dzień bez niego traci sens.

23 grudnia

Co za dzień! Co za wspaniały dzień! Rano obudziła mnie krzątająca mainy i Wiktora. Spieszyli się, latali po mieszkaniu w poszukiwaniu mamy paska od sukienki, nie dopilnowali mleka i dopiero zapach spalenizny przywrócił im przytomność. A ja leżałam sobie w łóżku, mnie dziś nie obejmowały żadne rygory, żadne godziny!

Wreszcie zostałam sama i jako całe towarzystwo miałam tylko mięso na pasztet, które musiałam przekręcić przez maszynkę, żeby mama mogła zaraz po powrocie z biura zabrać się do dzieła. Ale miałam czas! Przyniosłam sobie śniadanie do łóżka i wskoczyłam pod kołdrę, uprzednio obłożwszy się książkami. Wylegiwałam się do jedenastej. Później szybko sprzątnęłam, ubrałam się i właśnie miałam nawiązać bliższą znajomość z mięsem, kiedy rozległ się dzwonek. Myślałam, że to poczta. Otworzyłam. Za drzwiami stał Michał. Plecak przewieszony przez jedno ramię, goła głowa, kołnierz postawiony wysoko. A miał przyjść dopiero wieczorem!

— Przyholowałem się wcześniej — wyjaśnił mi otrzepując kurtkę ze śniegu — bo odwiozłem mamę na lotnisko i właściwie nie miałem co ze sobą zrobić. Pomyślałem sobie, że wyciągnę cię na miasto, Marta. Nie mam jeszcze prezentów dla nikogo. Pójdiesz?

— Jasne, że pójde! Sama muszę dokupić coś niecoś. Bądź moim objawieniem i powiedz: co dla twojego taty?

— Znajdziemy, spokojna głowa! Teraz to tylko jeść! Przeszliśmy do kuchni.

— Co tu tak pachnie? Bogowie! — zawołał zaglądając do szafki. — Anna upiekła ciasto?

Upiekła. Nie żałowałam Michałowi świątecznej babki. Potem pomógł mi szybciotko uporać się z mięsem. Za oknem sypał śnieg.

— Boję się, że mama nie będzie miała dobrej drogi. Wzięła aviomarin, ale w ogóle źle znosi podróż samolotem. Wydaje mi się, że te wszystkie jej dolegliwości polegają na zwyczajnym strachu. Mama po prostu nie cierpi odrywać nóg od ziemi.

— Jak ona wygląda, Michał? I co to jest za imię: Nika?

38

1

— Weronika. Mama jest niewysoka, drobna. Ciemne włosy, jasne oczy... Spójrz zresztą, tu mam jej zdjęcie.

Wyjął z kieszeni portfel, a z niego zdjęcie robione do legitymacji. , — Musi być strasznie miła! Wygląda na bardzo wesołą.

— Bo jest wesoła.

— Co robi w tej zapadłej dziurze?

— W Rudziankach jest stacja doświadczalna. Mama prowadzi > kultury niektórych roślin. Jest bardzo zdolna! — zaakcentował

z dumą. — Jest najlepszym pracownikiem w całym zakładzie. Jeżdżę do niej w każdą sobotę. I czasem w ciągu tygodnia. Sama rozumiesz, muszę jej przynieść węgiel, bo tam nie ma centralnego, załatwić to czy owo. W tej chwili właściwie ja jestem za nią odpowiedzialny.

Zabrzmiało to trochę zadziornie, ale rozumiałam, o co Michałowi chodzi. Po prostu przejął na siebie odpowiedzialność ojca. No, tak! Wiktor urządził się wygodnie.

Włożyłam botki, Michał podał mi płaszcz. [— Nie będzie ci zimno? Jest mróz i wiatr. Radziłbym ci włożyć

sweter pod płaszcz.

Ustępowanie Michałowi przychodzi mi bez trudu. Przeciwnie nawet — podoba mi się. Kiedy znaleźliśmy się na Szpitalnej, Michał 1 zatrzymał się.

— Dokąd pójdziemy? Do Cedetu?

— Och, nie! Nie lubię kupować w Cedecie! I w ogóle trzeba się zastanowić, Michał, co będziemy kupować? Ja nie mam nic dla

1 Wiktora.

— Z ojcem jest łatwo. Gubi tak niesamowitą ilość spinek do mankietów, że nawet jeżeli ma je w tej chwili, jest to sytuacja przejściowa. Za kilka dni nie będzie miał. Kup mu spinki. Trzeba na to około trzydziestu złotych, masz?

— Mam.

— Ze mną jest gorzej — westchną) Michał — bo ja nie mam nic ani dla ojca, ani dla Anny. Dla ciebie też nic nie mam — przyznał się.

A ja miałam już prezent dla niego. Kalendarz z notesem oprawny w piękny, czarny plastik.

— Mnie możesz nic nie kupować, Michał. Bardzo się cieszę, że będziesz z nami w święta. To tak jak prezent ta twoja obecność.

39

Zajrzał mi w oczy.

— Naprawdę cieszysz się? — zapytał ciepło.

Nie odpowiedziałam, tylko na chwilę mocno zamknęłam oczy i zmarszczyłam nos. Była to dawna jakaś moja mina, która rozbawiała zawsze mojego ojca, kiedy byłam mała. Zapomniałam już o niej, a teraz wyciągnęłam z lamusa, specjalnie dla Michała.

Roześmiał się.

— Śmieszna jesteś! — powiedział. — Ale prezent musi być! Co byś chciała? — zapytał, biorąc mnie pod rękę. — Miałem zamiar kupić ci coś, co zawsze mogłabyś nosić przy sobie. Jakiś bibelot do zegarka na przykład.

— Dobrze! — ucieszyłam się. — Widziałam takie drobiazgi u Nowakowskiej, wiesz, w tym sklepie na Brackiej. Chodźmy tam, od razu kupimy spinki dla Wiktora i może coś od ciebie dla mojej mamy.

— Swoją drogą to wszystko jest idiotyczne — zauważył Michał, kiedy staliśmy przed wystawą Nowakowskiej. — Robimy im prezenty za ich własne pieniądze. Mnie ojciec dofinansował w tym miesiącu tylko po to, żebym mógł załatwić te sprawunki.

— Ja też dostałam ekstra — przyznałam się.

W końcu dokonaliśmy zakupów. Michał kazał mi zamknąć oczy, kiedy wybierał dla mnie bibelocik.

— Przecież jakąś niespodziankę musisz mieć! — denerwował się.

To wszystko są może fakty bez znaczenia. Opisuję je tak szczegółowo, bo chciałabym ten dzień utrwalić. Zawsze będę mogła odwrócić kilka kartek wstecz i przeżyć go jeszcze raz. Jaka szkoda, że nie ma

' autentycznego powrotu do minionych chwil! Kiedy wracaliśmy do domu, spoglądałam w okna każdej wystawy. Ale nie patrzyłam na przedmioty wyłożone w świątecznych witrynach, lecz jedynie na odbicie naszych sylwetek w wystawowych szybach.

Na rogu Chmielnej spotkaliśmy Patryka. Zatrzymał się, żeby ustalić z Michałem, kiedy rozpoczną trening, ale przy okazji obejrzał sobie Martę. Zastanawiał się długo nad datą i godziną spotkania, oglądając przy tym dokładnie poszczególne elementy mojej garderoby. Przyklepał mi na głowie puchatą czapkę, poprawił kołnierz płaszcza, nachylił się, uważnie taksował moje nogi i futrzane botki.

40

— No, no, no — powiedział wreszcie — wyglądasz jak babka z „Vogue'a"! Gratuluję, Michał! Marta ci spadła jak manna z nieba.

Kiedy odszedł, Michał na chwilę objął mnie ramieniem i powiedział:

— Zapraszam cię na kawę, moja manna z nieba! Zawróciliśmy. Zaczął padać gęsty śnieg o ogromnych, puszystych

płatkach. Oddzielał nas od szarzyzny kamienic, od ludzi, od świata. Teraz mama szykuje kolację, a Wiktor i Michał gadają o czymś siedząc w sąsiednim pokoju. Ten dom ma dla mnie tylko wtedy jakąś wartość, kiedy Michał w nim jest. A kiedy go nie ma...

24 grudnia

Jaka ta mama jest szczęśliwa! Jak ona umie się cieszyć! Ten wieczór, który spędziliśmy dziś we czwórkę, był najszczęśliwszym dniem jej życia. Tak powiedziała. Nawet Michał się rozkręcił i wysilił na serdeczność w stosunku do niej: chwalił jej rybę i sukienkę. Wiktor i ja to oddzielny rozdział. Muszę przyznać, że ujął mnie prezentem, który przyniesiono do domu tuż przed centralnymi uroczystościami, zaplanowanymi przez mamę na szóstą. Nawet nie wyszłam na korytarz, bo akurat przebierałam się bardziej świątecznie. Słyszałam tylko entuzjastyczne okrzyki mamy i Michała. Potem Wiktor zamknął się u siebie w pokoju i wyszedł stamtąd dopiero, kiedy mama zawołała, że jesteśmy już gotowi. Pięknie nakryty stół

i zapalone światełka na choince robiły nastrój. Wiktor stanął w progu trzymając coś pod marynarką.

— Nie gniewaj się, Anno, ale ze względów technicznych Marta będzie pierwszą osobą, której złożę życzenia.

Podszedł do mnie i chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie pod jego marynarką rozpoczęło się szaleńcze jakieś wiercenie i Wiktor, rad nierad, wyciągnął stamtąd cudownego, czarnego pudelka.

— Halo, mój drogi! — zawołał. — Pozwól, że ci przedstawię twoją panią!

I podał mi tego rozkosznego czworonoga. Ucieszyłam się tak strasznie, że trzymając szczeniaka pod pachą, entuzjastycznie wyściskałam Wiktora.

— Mamo, jaki cudowny piesio, popatrz! — Podbiegłam do niej.

41

Stała obok stołu, uśmiechnięta, ale usta jej drżały lekko i oczy miała pełne łez. Patrzyła raz na mnie, raz na Wiktora, obrzuciła spojrzeniem Michała i wtedy właśnie powiedziała ze wzruszeniem:

— To jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu!

— Będziesz miała teraz kłopot z wyprowadzaniem psa, Marto! — uprzedził mnie Wiktor.

— Ach, będę z nim wychodziła, możesz być spokojny. Popatrzcie, jaki jest ruchliwy! Czy może mieć na imię Shimmy?

To imię podobało się wszystkim, nawet Wiktorowi.

— Nigdy bym nie wpadł na ten pomysł, gdyby nie Michał. To on powiedział mi, że marzysz o pudlu, i kupiliśmy go wczoraj wieczorem.

Popatrzcie, jaki dyskretny! Nawet nic nie pisnął!

Od mamy dostałam mięciutki szalik w kolorową kratę, od Michała maleńką koniczynkę, którą zaraz przymocował mi do zegarka. Wiktor był zadowolony ze swoich spinek, założył je natychmiast. Michał dostał od niego piękne rękawice na futrze, a od mamy skórzany portfel.

Ale nie obyło się bez przykrości. Zgrzyty pomiędzy mną a Wiktorem doprowadzić mogą do szału! Ale to on zaczyna!

— Marto, mama bardzo się napracowała przy tym wszystkim. Widzisz, ile tu tego: ryby smażone, gotowane, faszerowane! Kapusta, frytki, ciasta... Trzeba, żeby odpoczęła. Ty musisz pozmywać po kolacji, Michał ci pomoże.

Miałam najszczerzy zamiar zmywać i zrobiłabym to bez uwagi Wiktora. To jego: „musisz!” doprowadziło mnie do wściekłości. Pozmywałam, owszem, ale zbiłam dwie szklanki, bo trzęsła mną furia i wszystko leciało mi z rąk. Dlaczego Wiktor zawsze coś musi zepsuć? Nawet dobry nastrój?

Byłam strasznie najeżona, ale Michał ugłaskał moje kolce. Wieczorem Shimmy poszedł z nami na spacer. Latał po śniegu i popiskiwał. Marżyły mu łapy. Staliśmy w drzwiach od klatki schodowej, bo zerwał się zimny wiatr. Nie chciało mi się gadać, „musisz” Wiktora odebrało mi mowę. I wtedy Michał wziął mnie pod rękę, przyciągnął do siebie i powiedział cichutko w samo ucho:

— Nie złość się.

Michał jest dobry. Nawet tego psa zawdzięczam jemu, a nie Wiktorowi. Wiktor sam przyznał, że nigdy by nie wpadł na pomysł

42

kupienia psa. Właściwie to jest tak, jakbym Shimmy'ego dostała od Michała. To mnie uspokoiło, nie chcę mieć nic do zawdzięczania Wiktorowi. Zostawiam mamie te doznania. Kiedy wróciliśmy na górę, wzięłam się w garść i rozmawiałam z Wiktorem tak, jakby mi wcale nie nadepnął na odcisk.

A teraz? Przez radio „Mazowsze” śpiewa kolędy, mama i Wiktor czytają do spółki świąteczny numer „Przekroju”, Michał parzy kawę » w kuchni, Shimmy śpi na poduszce obok mojego tapczanu. I byłoby

zupełnie przyjemnie, gdyby nie obrzydliwe „musisz” Wiktora!

26 grudnia

Nie wiedziałam, że Michał jest taki porywczy! Dziś jechaliśmy do kina tramwajem i na pomoście było piekielnie zimno. Jakiś facet stał w przejściu i nie mogłam dostać się do środka wozu.

— Może pan się przesunie? — poprosił Michał. Gość łypnął na Michała, wionęło alkoholem.

I — Nie mam życzenia! — warknął.

— Ale ja mam życzenie, żeby ta pani nie marzyła tutaj! — odpowiedział Michał ostro.

Szarpnęłam go za rękaw, bo nie znoszę awantur typu „tramwajowe”. Ale to chyba tylko dołało oliwy do ognia.

— Proszę tę panią przepuścić! — zażądał Michał i wsunął rękę między faceta a framugę drzwi, żeby zrobić mi przejście.

— Panie! Tylko bez rękoczynów! — krzyknął tamten zaczepnie.

— To proszę się przesunąć! — powtórzył Michał uparcie. Tamten stał jak drąg i Michał oparł się o niego całą siłą. Facet

stracił równowagę i potoczył się na ludzi stojących przed nim. Zrobiło się zamieszanie, jakiś pan sklął Michała:

— Co jest, do cholery! Przyjdzie tu taki i jeszcze się pcha!

— Jaki? — zapytał Michał — Jaki przyjdzie? Taki sam przyszedł, jak pan! A że temu nie chciało się zrobić dwóch kroków do przodu, to zaraz na pomoście trzeba marznąć, tak?

— No, no, kolego — odpowiedział ten, który stanął w obronie pijanego — tylko spokojnie!

— Ja jestem spokojny — odparł Michał — ale nie znoszę takiego podejścia do sprawy!

43

Kiedy wysiedliśmy z tramwaju, napadłam na Michała.

— Po co ci to było? Po co jakieś awantury?

— Nie chciałem, żebyś zmarła.

— Nic by mi się nie stało! Wolalabym zmarznąć, niż słyszeć, jak się awanturujesz!

— Ja się nie awanturowałem. Nie chciałem, żebyś zmarła.

— Wielka rzecz by się stała, rzeczywiście!

Byłam zła na Michała, bo szczerze nie lubię takich historii, ale z drugiej strony... ta jego przesadna dbałość o moją osobę może coś znaczyć? Dlaczego jednak Michał nigdy nie mówi mi, co myśli o nas? Jesteśmy przecież na stopniu dość dużej zażyłości, jak na dwoje obcych sobie ludzi. Jest mi bardzo dobrze z Michałem, ale chciałabym wiedzieć, kim właściwie dla niego jestem: siostrą? przyjacielem? czy kochaną dziewczyną? Nieraz przychodziło mi na myśl, żeby zapytać go o to. Ale ponieważ na te pytania chciałabym usłyszeć tylko jedną odpowiedź, wolę nie pytać wcale.

4 stycznia

Michał już nie mieszka u nas. Wrócił do swojej cioci Hani. Prawdę mówiąc, dość już mam tych ferii i chciałabym, żeby zaczęła się szkoła. Znowu scysja z Wiktorem. Byli z mamą u siebie w pokoju, kiedy weszłam tam po książkę. Mama płakała. Na mój widok podniosła się i szybko przeszła do łazienki, usłyszałam, jak zamyka drzwi na klucz. Wiktor siedział na fotelu i palił fajkę. Był zupełnie spokojny.

— Mama płacze — powiedziałam, bo ogarnął mnie dziwny lęk.

— Wiem! — odparł Wiktor krótko. Roztrząsłabym go za ten spokój.

— To na pewno przez ciebie! — nie wytrzymałam.

— Tak, przeze mnie — powiedział Wiktor i westchnął. — A czy przez ciebie nigdy nie płakała?

Nie odpowiedziałam.

— A przecież ją kochasz.

Wzięłam książkę i bez słowa wyszłam z pokoju. Najchętniej zabrałabym teraz mamę, nasze osobiste rzeczy i poszła stąd w czorty! Potem słyszałam, jak Wiktor prowadził konferencję z mamą stojąc pod drzwiami łazienki. Później mama wyszła i siedzieli długo u siebie

44

w pokoju. Chodził we mnie każdy nerw! Oczywiście, że i przeze mnie płakała nieraz! Aleja to co innego, a Wiktor co innego! Wiktor nie ma prawa robić jej żadnych przykrości. Och, nie znaczy to, że ja mam prawo, ale... no, jakoś tak jest, że Wiktor nie ma prawa!

Po godzinie przyszła do mnie do pokoju, jak gdyby nigdy nic. Wesoła, szczygieł po prostu! Wiktor wyszedł i wrócił po kwadransie, dzierżąc w dłoni trzy długie, czerwone goździki, zawinięte w przezroczysty celofan. I mama znowu dała się złapać na te goździki, na umowny ich kolor, na Wiktor owy gest! Zachowywała się nie jak szczygieł, ale jak dwa szczygły. W całym domu słyhać było jej świergot. Wszystko to... nie wiem zresztą, ale mam, mam... czy przypadkiem nie było nam lepiej w naszej poprzedniej ciasnocie, której szarzyzny nikt nie zakłócał trzema czerwonymi goździkami?

5 stycznia

Już jutro szkoła. Nareszcie! Znowu będę miała swoje sprawy, swoje kłopoty, swoje zajęcia! Dziś mama zachwalała przede mną Wiktora jak przekupka rzodkiewki. Michał nie pokazał się ani razu przez cały tydzień. On pewnie też ma po swojemu dosyć tego wszystkiego.

7 stycznia

Dziś po fizyce Jadwisia zatrzymała mnie przy wyjściu z klasy i powiedziała:

— Marta, na dużej przerwie przyjdź do pokoju nauczycielskiego. Mamy do ciebie sprawę.

— Jaką, proszę powiedzieć, bo oszaleję ze zdenerwowania! — błagałam.

— Nie, nie — roześmiała się — nic strasznego!

Przez całą historię siedziałam jak na fajercie. Zaraz po dzwonku zjawiłam się w nauczycielskim.

— O, dobrze, że jesteś! — ucieszyła się pani Alicja, nasza polonistka.

Stałam jak na cenzurowanym, wreszcie podeszły do mnie we trzy: pani Alicja, matematyczka Rumiankowska i Jadwisia.

— Słuchaj, my byśmy chciały, żebyś się zajęła trochę Pataczkówną.

45

— Chryste Panie! Nikt sobie z nią nie może poradzić, a ja mam tego dokonać?

— Właśnie — zachęciła mnie Rumiankowska — masz pole do popisu!

Jadwisia zaczęła z innej beczki:

— To jest bardzo biedna dziewczyna. Nie ma za grosz wiary we własne siły. Jeżeli ktoś będzie ją chociaż trochę kontrolował, zaraz się lepiej, biedactwo, poczuje. Zajmij się tym, Marto, ty jesteś taka energiczna.

Energia, to by mi była potrzebna, gdyby szło o wklepienie Pataczkównie kilku klapsów, a do kontroli jej postępów w nauce to jest potrzebna przede wszystkim cierpliwość, którą nie grzeszę. Ubrałam to wszystko w piękne słówka i elegancko wykręciłam się sianem. Były zawiedzione.

— Szkoda, Marto — westchnęła Alicja. — Bardzo żałujemy... No, to już idź, zaraz będzie dzwonek.

Na geografii, pech chciał, Pataczkówna poszła do tablicy. Osioł kompletny! Dostała dwóję i siedziała potem dwie ławki przede mną osowiała i nieszczęśliwa. Wyrwałam kartkę z brulionu i napisałam do niej romantyczny liścik:

Idiotko! Przyjdę do ciebie dziś około piątej, bo patrzeć nie mogę na to co robisz z nerwami naszego ciała pedagogicznego! Zmiłuj się, przecież oni nam muszą wystarczyć do matury! Jeżeli chcesz, będę ci pomagać.

Wstrząśnięta Violetta

Pataczkówna, która poza wszystkim ma na imię Marysia, poznała mnie po charakterze pisma, bo niejednokrotnie demonstrowano moje zeszyty, jako godziwy przykład niegodziwego bazgrania. Na następnej przerwie ruszyłam do nauczycielskiego. Wsunęłam głowę w szparę drzwi, zapytałam stojącej niedaleko Jadwisi:

— Mogę?

— Wejść. Co chciałaś? — powiedziała, kiedy się zbliżyłam. Rumiankowska i Alicja przerwały rozmowę.

— Wezmę tę Pataczkównę! — bąknęłam.

— Sumienie cię ruszyło? — zakpiła Jadwisia, ale minę miała zadowoloną.

46

Rumiankowska podeszła do mnie i wysuwając zabawnie głowę do przodu cmoknęła mnie w policzek.

— Jesteś fajna dziewczuszka!

— Ale czy ona się z tego wygrzebie, to ja już nie wiem — zastrzegłam się.

Kiedy wychodziłam, Jadwisia zawołała mnie z powrotem.

— Marta, słuchaj, ta bluzka nie jest odpowiednia do szkoły. Miałam na sobie czerwoną bluzkę z anilany.

— Odziedziczyłam ją po mamie, proszę pani, nie była kupowana specjalnie dla mnie.

— To obojętne. Przydałaby ci się zwykła granatowa sukienka i myślę, że mama może ci ją sprawić. A ty chodzisz do szkoły ubrana jak na prywatkę. To wszystkich nas razi i nieraz zwracałam ci już uwagę. Jeżeli rygory szkolne nie trafiają ci do przekonania, bardzo mi przykro, ale musisz się w takim razie zachować wbrew przekonaniu i skończyć z tym domem mody — mówiła serdecznie i nie chciała mi robić przykrości, bo dodała: — Ta bluzeczka jest bardzo ładna, rzeczywiście, ale pomyśl i o innych dziewczętach, które ubrane są gorzej. Może tym cię wreszcie przekonam?

Gadanie. Jadwisia ma rację, ale ja nie przywiązuję specjalnej wagi j do ciuchów i nie bardzo myślę o tym, co na siebie wbijam.

— Dobrze, proszę pani! Powiem mamusi o tej sukience. Powiedziałam przy obiedzie.

— Mamo, proszę mi kupić granatową sukienkę.

\ — Jeszcze masz mało kiecek — zdziwił się Wiktor.

— Kiecek mam dosyć, ale dziś w szkole zwrócono mi uwagę, że chodzę nieodpowiednio ubrana. Ale mogę powiedzieć, że ojczym zakwestionował ten wydatek — wyrwało mi się.

j Przysięgam, że mi się wyrwało. Zapadła grobowa cisza.

Mama przyglądała mi się zimno.

— Jutro odbiorę pieniądze za korektę i kupię ci dżersejową) granatową sukienkę! — powiedziała po chwili. — A teraz przeprosisz

Wiktora.

— Wolałabym zwykłą, tanią sukienkę z zerówki — odparłam.

— Dobrze, kupię ci z zerówki — zgodziła się mama. — A teraz *• przeprosisz Wiktora.

47

i

Wiktor jadł zupę z kamiennym wyrazem twarzy.

— Widziałam takie sukienki w Cedecie — powiedziałam.

— W takim razie kupimy w Cedecie! A teraz przeprosisz Wiktora. Już miałam to „przepraszam” na końcu języka, kiedy Wiktor

spojrzał na mamę i powiedział:

— Nie denerwuj się, Anno, to nie ma znaczenia.

— Natychmiast przeproś Wiktora! — krzyknęła mama nie zwracając na niego uwagi. — Słyszysz?

— Słyszę, ale ty, mamó, też chyba słyszałaś, że jemu na tym nie zależy.

— Ale mnie zależy, głupi szczeniaku, rozumiesz? Przełknęłam ślinę i powiedziałam z wysiłkiem:

— Przepraszam.

— Proszę cię, Marto. Ale wydaje mi się, że źle mnie zrozumiałaś — wyjaśnił. — Moja uwaga była zupełnie luźna, bez żadnych intencji i złościwości. Zawsze zresztą byłem za umundurowaniem w szkole, nie odzywałem się, bo to wasza rzecz, ale raziły mnie twoje stroje, w których chodziłaś do szkoły. Uważam, Anno, że możesz wziąć pieniądze z tych na życie i kupić sukienkę jeszcze dziś. Po co Marta ma być jutro narażona na dalsze przykrości?

Raziły go moje stroje! I nie odzywał się, bo taki subtelny! Och, on dobrze wie, w jaki sposób przekabacić mamę na swoją stronę!

Kiedy w przedpokoju wkładałam płaszcz, słyszałam, jak tłumaczył mamie:

— Bardzo mi na tym zależy, żebyś nie wracała do tego tematu, Anno! Po co to rozdmuchiwać, prawda? I tak nie wszystko układa się najlepiej.

Ano, nie układa! Mama stanęła dziś wyraźnie po stronie Wiktora. A mnie się tylko wyrwało i potem było mi nawet głupio. Ale przy okazji wyszło szydło z worka.

Kupiłyśmy sukienkę. Zwyczajną, bez żadnych cudów, mama cierpiała estetyczne katusze, kiedy mierzyłam to dzieło państwowego przemysłu. Ja zresztą też nie byłam zachwycona swoim wyglądem. Ale niech Jadwisia ma to, czego chciała! Ona jedna zachwyci się bez reszty.

Lekcje odrabiałam u Pataczkówny i oczy otworzyły mi się na wszystko. Troje dzieci, radio, pies, pośród tego wszystkiego moja Pataczkówna i trudne zadania z matmy! Jutro ma przyjść do mnie, to chyba jedyne rozwiązanie.

48

8 stycznia

Jadwisia miała dziś dyżur nauczycielski w szatni. Kiedy zobaczyła mnie w mojej zgrzebnej szacie, zaniemówiła z wrażenia.

— Marta! — wykrztusiła wreszcie. — Czy nie było już w całej Warszawie gorszej sukienki?

Podbiegłam do niej i uściskałam ją.

— Strasznie się cieszę, że robię takie dobre wrażenie! Wiedziałam, że pani się zachwyci.

— Jędzo! — zawołała.

Potem ogarnął nas chóralny śmiech. Cała klasa oglądała mnie ze wszystkich stron.

— Musisz ją skrócić, Marto, zmienić guziki, przyszyć biały kołnierzyk, podwinąć mankiety — zawyrokowała Jadwisia — i wtedy dopiero będziesz w niej podobna do ludzi.

Tak zrobiłam. A właściwie zrobiła to za mnie Marysia Pataczkówna, kiedy już odbębniłyśmy wszystkie lekcje.

10 stycznia

Wracając ze szkoły spotkałam Patryka. Zatrzymałam go, bo o Michale wszelki słuch zaginął i myślałam, że może Patryk coś wie.

— Tak, on był chory — wyjaśnił mi. — Leżał z grypą u swojej mamy. Byłem tam. Michał już łązi i chyba jutro przyjedzie do Warszawy. A bo co?

— Nic. Po prostu chciałam wiedzieć, bo nie pokazywał się tak dawno, że byłam już niespokojna.

— Mnie też dawno nie widziałas — zażartował — i co? Nie dręczył cię niepokój? Nie myślałaś: „Mój Boże, co też się dzieje z tym moim Patrykiem? Gdzie on się, biedaczek, podziewa?”

— Przyznam się, że nie.

— Och, niewdzięcznico! A ty mi się tak podobasz! „Dlaczego Michał nigdy mi tak nie powie?” — pomyślałam.

— Jak ci się podobam, to mnie odprowadź do domu — zaproponowałam, bo było mi już zimno w nogi.

Po drodze plół jakieś zabawne, szkolne historie. Odwdzięczyłam mu się opowiadaniem o mojej sukience.

49

15 stycznia

Mam dużo kłopotów z Marysią. Ona nie jest tępa, ale ma ogromne zaległości. Opowiedziałam Jadwisi i pani Alicji o jej warunkach domowych. Obiecały załatwić z innymi profesorami, że nie będą Mańki pytać w najbliższym tygodniu, żebym zdążyła coś niecoś przerobić z nią wstecz. Jestem zmęczona, Marysia zajmuje mi masę czasu, bo siedzimy u mnie, niekiedy do późnego wieczora. Przekonałam się, że i ja mam braki, które przy okazji skutecznie wytępiam.

Michał dzwonił przedwczoraj, ale rozmawiał tylko z Wiktorem. Bardzo długo, chyba z pół godziny. Ma przyjść w niedzielę na obiad. Shimmy piszczy, ale nie wyjdę z nim. Jest późno, boli mnie głowa, jestem zmęczona. Najwyżej wytrę rano kałużę. Wolę to niż spacer po tym mrozie!

?

17 stycznia

I już po niedzieli. Kiedy Michał przyszedł, mamy i Wiktora nie było. Ja otworzyłam mu drzwi, ja i Shimmy.

— Michał! Och, ty! Nareszcie! — ucieszyłam się.

— Byłem chory, Marta, to wiesz, porobiły mi się zaległości i kułem jak wariat.

— Mogłeś dzwonić!

— Dzwoniłem! Zaraz po powrocie od mamy.

— Rozmawiałeś tylko z Wiktorem!

— Tak, ale trzymał mnie pół godziny, a ja dzwoniłem z automatu. Marta, wpuść mnie najpierw, potem będę się tłumaczył, jak długo zechcesz.

— Och, przepraszam, Michał! Właź!

Dopiero teraz wpuściłam go do mieszkania. To wszystko z radości, że wreszcie znowu go widzę. Shimmy obgryzał mu buty.

— Jak on urósł! Stary pies, słowo daję! Shimmy, poznałeś mnie? Weszliśmy do mojego pokoju. Wtedy zauważyłam, jaki Michał jest

mizerny.

- Zjadła cię ta grypa, wiesz?
- Trochę. Miałem dużą gorączkę.
- Mama się martwiła?

50

- No! Zachorowałem zaraz po jej powrocie. Musiałem zaziębić się na lotnisku. Samolot miał duże opóźnienie, łąziłem tu i tam, bo myślałem, że uda mi się coś obejrzeć. Przewiało mnie na wylot!
- Miałeś aspirynę Bayera?
- Nie.
- A cytryny?
- Dlaczego raptem...?
- Zapytaj Wiktora — powiedziałam zgryźliwie.

Ja miałam wszystko, kiedy chorowałam w październiku. A Michał mógłby skonać — Wiktor nie zatroszczyłby się o niego!

- Marta — powiedział Michał ostrzegawczo — jest źle, wydaje mi się... A ty robisz wszystko, żeby było jeszcze gorzej. — Widać domyślił się, o co chodziło. — Nie miałem bayerowskiej aspiryny, fakt. Ale mama przywoziła furę cytryn, wezwała do mnie lekarza, zwijała się, żebym wszystko miał. Ojciec wie, że może na niej polegać, ostatecznie zna ją, prawda? Wie, że nie potrzebuje kontrolować mamy ani dyrygować: zrób to, zrób tamto!

Nie odpowiedziałam, bo czułam, że od kłótni dzieli nas jeden mały krok. Ale Michałowi nie dawało to spokoju.

- Mnie się wydaje, że jesteś do taty uprzedzona. Trochę bez podstaw. Scysje między wami dotyczą najczęściej takich drobiazków, że to aż śmieszne! Czasami widzę, jak wprost na siłę szukasz zaczepki. Zrozum, Marta, nie można wszystkiego podciągać pod pewne utarte... obiegowe opinie. Dwoje ludzi związanych ze sobą faktem istnienia trzeciego człowieka, który im obojgu jest bliski, nie zawsze musi żyć w ciągłej kolizji. A ty traktujesz to jak dogmat. Nie dopuszczasz do zaistnienia innych stosunków między wami, z góry zakładając, że jest to niemożliwe.

- Ty do mojej mamy też jesteś uprzedzony — przerwałam uczone wywody Michała. — Czy myślisz, że ja tego nie widzę? Zmuszasz się do utrzymywania z nią poprawnych stosunków!

- A ty się zmuszasz? Zastanów się, Marta! Czy ty się zmuszasz do uładowania spraw między tobą a moim tatą? Zmusz się, spróbuj!

— Ale moja mama też się w jakiś sposób zmuszała, prawda? Pomogła ci?

51

— No, wiesz... Wiesz, Marta. Czy ty nie dostrzegasz wysiłków taty? On ciebie wręcz lubi!

— Och, Michał! Gdybyś tu mieszkał, przekonałbyś się, jak to wygląda z bliska. Moja sytuacja jest gorsza!

— Chyba tak — przyznał. — Masz to wszystko na co dzień. Drętwa była ta niedziela. Na przyszłość muszę unikać w rozmowach z Michałem tematu jego ojca.

20 stycznia

Pierwszy sukces! Mańka dostała czwórkę z fizyki! Jadwisia maglowała ją jak stare prześcieradło, ale też i Mańka wyszła z tego magla gładziusia, aż miło patrzeć. Kiedy usiadła na miejscu, uszy miała jak piwonie i była taka zakłopotana. Mój ty skarbie, Mańko moja wdzięczna! Że też można się tak cieszyć czyjąś czwórką! Na przerwie podeszła do mnie, nic nie powiedziała, tylko przez chwilę ocierała się policzkiem o mój policzek. A w ogóle — bardzo śmieszny dzień. Shimmy piszczał po obiedzie i wzięłam go na dwór. Chodzi już na smyczy jak dorosły pies. Stanęłam z nim pod drzewkiem, Shimmy przykucnął, a ja stoję jak ktoś głupi i czekam, aż on raczy skończyć. Idiotyczne zajęcie dla dziewczyny! I nagle... Patryk.

— Martuniu, jesteś czarująca! — zawołał. — Nie masz pojęcia, jaka to twarzowa sytuacja!

W pierwszej chwili miałam ochotę zamordować Patryka, ale bestia, przyklęknął, położył rękę na sercu i patrzył na mnie wzrokiem pełnym uwielbienia, za którym kryła się pokaźna porcja wesołości. Kiedy Shimmy szarpnął smyczą, Patryk wstał, objął mnie ramieniem i powiedział:

— Ty się marnujesz, dziewczyno.

Nie sądzę, żebym się marnowała, ale że Patryk jest sympatyczny — to jest!

Rozdział III

- Spokojnie, moje dziecko — powiedział kapitan Ligota łagodnie — spokojnie. Najważniejsze, żebyś mówiła w miarę dokładnie.

— Do czego panu to jest potrzebne?

— No, a jeżeli będziesz wiedziała, czy to w jakiś sposób zmieni charakter twojego opowiadania? Przecież nie, prawda? Fakty są zawsze faktami, niezmiennie takimi samymi! Muszę je znać, ponieważ dadzą mi pełen obraz sytuacji.

— Ale przecież pan przede mną nie ukrywał... pan mi powiedział przed chwilą, że...

— Tak! Pracuję w milicji. A wiesz, co jest moją pasją? Nazywacie to hobby, prawda? A więc moim hobby jest wyciąganie was z przeróżnych, zagmatwanych spraw.

\ — Czy moja sprawa jest zagmatwana?

— To nie jest tylko twoja sprawa, Marto.

— Michał?

— No, tak...

> — Czy Michał na pewno jest w domu?

— Tak.

— Nie był u mnie. Ale ja to rozumiem... — dorzuciła z wes-i tchnieniem. — A Patryk tu był...

— Był? — zapytał kapitan.

— Tak... Pamiętam świetnie, że kiedy odzyskałam przytomność, pierwsze, co usłyszałam, to był głos Patryka. Musiał stać przy drzwiach albo na korytarzu i wołał do mnie „Trzymaj się, Marta!”

53

Ligota przeniósł wzrok na lekarza.

— Masz trudności w kojarzeniu faktów, Marto. — Lekarz uśmiechnął się wyrozumiale. — Coś niecoś może ci się mylić.

— A co ty właściwie pamiętasz? — zapytał Ligota. — Czy pamiętasz, na przykład, ten moment, kiedy Michał zaatakował Patryka?

— Zaatakował? — Marta uśmiechnęła się. — To nie był żaden atak! Chciał powstrzymać Patryka, i to wszystko! Chwytał ręką za kajak i powiedział, że dalej nas nie puści. To nie był atak, Michał musiał tak zrobić! Był przecież odpowiedzialny za nas wszystkich.

Marta urwała i zamyśliła się.

— Tak. I co wtedy Patryk?

— Wstał i wiosłem uderzył Michała w rękę. Myślał pewnie, że Michał puści kajak i wtedy uda nam się odpłynąć. Ale Michał nie puścił.

— Mów dalej, Marto. Widzę, że pamiętasz te szczegóły, na których bardzo mi zależy — ucieszył się Ligota. — Więc Michał nie puścił kajaka i co dalej?

— Patryk chciał go uderzyć jeszcze raz. Wtedy ja wstałam też i chciałam odebrać mu wiosło. Pan zna to jezioro?

— Nie.

— To jest bardzo duże i głębokie jezioro. Przyszła silniejsza fala, a myśmy przecież stali. Kajak się zachwiał... Patryk krzyknął coś do mnie, stał z uniesionym wiosłem i może uderzyłby Michała drugi raz, ale stracił równowagę, machnął ramionami, by ją odzyskać, i niechcący trafił mnie w głowę czy coś takiego... Potem ja wyleciałam z kajaka. Ale Patryk uderzył mnie przypadkiem, może pan być pewien.

— A czy nie mogłabyś sobie przypomnieć, co Patryk krzyknął do ciebie? Pomyśl, Marto.

Ściągnęła brwi.

— Tego właśnie nie pamiętam... Kapitan Ligota ujął szczupłą rękę Marty.

— A może właśnie wtedy krzyknął: „Trzymaj się, Marta!” Nie sądzisz? Bo tu jego nie było... Nie było go z pewnością! Ale wtedy

54

mógł tak zawołać. Chciał cię zapewne przestrzec, chciał, żebyś się czegoś chwyciła, kiedy zauważył, że kajak przechyla się niebezpiecznie. We wzroku Marty narastał wyraz zrozumienia. I dopiero teraz zadała to pytanie:

— Więc... gdzie jest Patryk?

Ligota nie odpowiedział. Marta usiadła na łóżku i odwróciła się w stronę okna, przy którym stała Anna Soroko.

— Mamo! Mamo, czy ty wiesz, gdzie jest Patryk?

Anna wiedziała. Jej myśli krążyły nieustannie wokół nidzickiego szpitala, z którego ciągle brak było pomyslnych wiadomości. Pamiętała także każdy, najdrobniejszy szczegół tej nocy, kiedy razem z Wiktorem przyjechała do Nidzicy, żeby zabrać stamtąd Martę i Michała. Martę musieli wprost na siłę wydrzeć nidzickim lekarzom, którzy uważali ten projekt za absurdalny. I mieli rację, Anna wiedziała o tym, a jednak postawiła na swoim. W czasie kiedy szykowano do drogi karetkę, Anna weszła do pokoju, w którym leżał Patryk. Nie zobaczyła jego twarzy rozoranej okuciem kajaka, bo cała była zasłonięta grubą warstwą bandaża.

— Mamo! — usłyszała znowu rozpaczliwe wołanie Marty. — Powiedz mi wszystko!

W chwilę po rozmowie z Martą Anna zatelefonowała do Wiktora.

— Jak to przyjęła? — zapytał wysłuchawszy relacji żony.

— Jest wstrząśnięta, rozumiałe! Ale wiesz, Wiktorze, ona chyba do tej pory nie zdaje sobie sprawy, jak dalece ten fakt obciąża Michała.

Wiktor odłożył słuchawkę, potem sięgnął po ołówek i starał się wrócić do przerwanej pracy. Elewacja budynku zaprojektowana przez zespół młodych architektów była dość odważna. Dziwne miasto, ta Warszawa. Każde pokolenie młodych wyciska na niej swoje indywidualne piętno. Stąd ta rozbieżność stylów, różnorodność budownictwa. Ledwie człowiek przywyknie do nowych rozwiązań, poczuje się wśród nich jak u siebie w domu, wybucha coś nowego. No i teraz ten zespół szykuje świeżą eksplozję! Trzeba się do tego ustosunkować. Obiecał im, że jutro, najdalej pojutrze, przekaże swoje uwagi. To nie będzie łatwe.

Wiktor wyciągnął z kieszeni kartonik proszków od bólu głowy, wyłuskał z celofanu biały krążek, który może na chwilę przerwie

55

rozsadzający skronie ból, ale przecież nie odsunie myśli tłoczących się chaotycznie, napastliwie. Wiktor oparł wyciągnięte ręce o biurko i odchylił głowę do tyłu.

„Nie sposób pracować, nie sposób” — pomyślał.

Wyprostował się, odsunął szufladę i wyjął z niej granatowy brulion.

23 stycznia

Dziś w nocy zachorowała mama. Najadłam się strachu, bo Wiktor wzywał pogotowie. Od razu mu się zdawało, że z mamą jest coś niedobrze, i miał rację. Lekarz powiedział, że jeśli bóle nie ustąpią w przeciągu dzisiejszego dnia, mama będzie musiała pójść do szpitala. Na obserwację. To są jakieś sprawy z wątrobą, lekarz mówi, że mama musi mieć kamienie. Teraz jest wieczór, a mamę ciągle boli. Jestem przerażona. Mama zresztą też. Kiedy dziś po południu siedziałam przy niej, przyznała się do tego.

— Strasznie się boję, że to jednak skończy się szpitalem — powiedziała. — I kiedy pomyślę, że zostanieie tu sami, ty i Wiktor...

— Nie myśl o nas, tylko o sobie, mamó. Jeżeli szpital będzie konieczny, to przecież w ogóle nie ma o czym mówić.

Wiktor lata jak opętany. Parzy mamie ziółka, zamęcza wszystkich swoich znajomych lekarzy telefonami. Pewnie, że to żadna frajda mieć w domu chorą żonę, ale Wiktor zachowuje się tak, jakby chciał mamę wypchnąć do tego szpitala jak najprędzej! Mama rozczuła się nad jego troskliwością, a według mnie to zwyczajne wygodnictwo. Ale nie chcę odbierać mamie złudzeń i kiwam głową potakująco, kiedy mówi z rozrzewnieniem:

— Popatrz, jak on wojuje o to miejsce dla mnie.

Decyzja ma zapaść jutro. Muszę przerwać, bo Shimmy piszczy. Znowu chce wyjść, chociaż byłam z nim niedawno. A na dworze mróz, śnieżycą! Ale psy nie zwracają uwagi na takie rzeczy.

26 stycznia

Mama jest już od dwóch dni w szpitalu. Byłam u niej i do tej pory nie mogę się pozbierać. Leży na sali, w której jest osiem łóżek, a na każdym łóżku panoszy się jakaś babka, mniej lub więcej zboląta.

56

Tylko dwie z nich są uczesane, reszta demonstruje przetłuszczone włosy, zmiętoszone koszule nocne i bałagan wokół siebie. W tym wszystkim — mama, ze swoim umiłowaniem tego, co ładne, czyste, doprasowane. Mama mówi, że od słuchania rozmów tych pań czuje się jeszcze bardziej chora.

— Czy nie można mamie załatwić separatki? — zapytałam Wiktora, kiedy wyszliśmy stamtąd.

. — Staram się o to.

— Strasznie mi było przykro patrzeć na mamę. Już pomijam to, że źle wygląda, ale ona tak strasznie nie pasuje do szpitala.

— Nikt nie pasuje do szpitala! — roześmiał się.

— Czemu się śmiejesz, Wiktorze? W tym chyba naprawdę nie ma nic śmiesznego — powiedziałam z rozżaleniem.

— Śmieję się, bo tak wyszło, jakbyś uważała, że są ludzie idealnie pasujący do szpitala. Ale ja wiem, co miałaś na myśli, Marto, i masz rację! — Odwrócił nagle głowę w moją stronę i zapytał: — Masz odrobione lekcje?

— Tak. Widziałeś przecież, że była Pataczkówna.

— Twarda jesteś z tą Pataczkówna! — powiedział z uznaniem.

— Czy chociaż ona się wyciąga z tych swoich dwój? Pataczkówna! Moje słonko! Pewno, że się wyciąga.

— No — odparłam z dumą, która mnie rozpiera, ilekroć ktoś zapyta mnie o dwóje Pataczkówny — zobaczysz, że ona przejdzie do jedenastej na samych czwórkach!

— Bardzo bym chciał. I ze względu na nią, i ze względu na ciebie. Podobasz mi się z tą Pataczkówna, słowo daję.

Na tej płaszczyźnie to ja nawet mogę rozmawiać z Wiktorem.

I stara się o separatkę dla mamy. Tak jest okey! i wstąpimy gdzieś na kawę, co na

— Jeżeli odrobiłaś leką, to może

to powiesz, Marto? Masz ochotę? Chciałem ci zaproponować jedną

rzecz. > Wstąpiliśmy do Cocktailu.

— Problem w tym, że musimy ustalić pewne rzeczy między sobą

— zaczął Wiktor z punktu. — Chodzi mi o dom. Nie chciałbym, żebyśmy go zaniedbali w czasie nieobecności mamy.

— Podział pracy, tak? — domyśliłam się.

)

57

— No właśnie. Co proponujesz?

— Nie wiem, pewnie już coś wymyśliłeś.

— Tak, zastanawiałem się. Przede wszystkim obiady...

— Wyżarliśmy już wszystko z lodówki — stwierdziłam. — Został tylko lód w kostkach i butelka wermutu.

— Widziałem i doszedłem do wniosku, że nie jest to odpowiednie pożywienie dla ludzi w naszej sytuacji. Chyba więc zacniemy stołować się na mieście? Obiady tylko, a śniadania i kolacje to jakoś tam spreparujemy wspólnym wysiłkiem. Chyba że ty się palisz do gotowania? To proszę bardzo.

— Nie palę się. Nie potrafię. Mogę jeść obiady w szkole.

— Tak sądziłem. — Potarł ręką policzek i zamyślił się.

— No — ponagliłam go — co jeszcze?

— Sprzątanie! — westchnął. — Może tak: ja będę sprzątał nasz pokój, ty swój. Ja łazienkę, ty kuchnię. Akceptujesz?

— Oczywiście! — zgodziłam się, bo to było z sensem pomyślane.

— No, to sztywno się umawiamy? Tak?

— Tak!

Kuchnia jest o wiele większa, ale piekielnie nie lubię sprzątać łazienki, ten układ zupełnie mi odpowiada. Już dziś zrobiłam wstępne zabiegi kosmetyczne: rozmroziłam lodówkę i

wytarłam ją w środku. Na kolację kupiliśmy żółty ser, Wiktor spontanicznie zabrał się do robienia kanapek, ja nakryłam do stołu. Przy talerzyku Wiktora położyłam „Express”. Kiedy siadał, spojrzał na pierwszą stronę i natychmiast pochłonęła go lektura. Chyłkiem wyciągnęłam zza swetra nowy numer „Filipinki”. Gdyby mama nas widziała w tej chwili, wątpię, czy jej wątroba zniosłaby to bez szoku! Mama nie cierpi, kiedy ktoś czyta przy stole.

28 stycznia

Wpada zziębnięty Michał.

— Co jest z Anną? — pyta od progu.

— Mama w szpitalu — odpowiadam.

— A co tu się dzieje? — Oczy ma przerażone, patrzy na mnie i na Wiktora, jakby się dziwił, że żyjemy, że jesteśmy cali i zdrowi.

58

— Nic się nie dzieje — odpowiada Wiktor i trzęsie się ze śmiechu. — Co ma się dziać? Anna czuje się już o wiele lepiej.

— Nie lubi się, jak mamy chorują — stwierdza Michał i zdejmuje płaszcz.

— Nie lubi się — przytakuję.

I w końcu bardzo miłe popołudnie, chociaż Michał cedzi swoją

sympatię dla mnie, jakby odmierzał określone jakieś dawki. Oczywiście-

i cie, był miły, serdeczny, jak to on zawsze. Ale ja przecież czekam na

coś innego, na gesty, które oznaczają coś więcej, na słowa, które

chciałoby się pamiętać.

— No, to bye, bye Marta! Wpadnę, jak tylko będę miał czas! ? Minister czy co? W naszym wieku zawsze się ma czas, jeżeli chce go

się mieć.

30 stycznia

W przedpokoju koty z kurzu snują się po kątach. Czuję, że coś takiego wystrzeli. Mówiło się, że ja sprzątam u siebie i w kuchni, a Wiktor u siebie i w łazience. Od pięciu dni przedpokoju nikt nawet nie przejechał szczotką. Ale dlaczego ja mam to zrobić?

Poza tym dochodzę do wniosku, że mama trochę raqi ma. Czytanie przy stole jest idiotyczne. Czy doprawdy Wiktor nie wie, o czym ze mną mówić? Ale dzięki Bogu, posiadam nieco

ambicji. Kiedy nakrywam do kolacji, obojgu nam szykuję aktualną lekturę. Jestem do tego stopnia taktowna, że zabierając z kuchni talerzyki, pytam Wiktora, który obiera wędlinę ze skórki:

— Co czytasz?

Niech sobie Wiktor unika rozmów ze mną, jeżeli nie ma na nie ochoty.

i

31 stycznia

Przyjemnie jest brać, ale w dawaniu też coś jest. Żadna z dziewcząt w naszej klasie nie była mi tak bliska, jak Marysia. Zresztą ja nie jestem skłonna do zawierania przyjaźni. Mam dużo dobrych koleżanek, ale do przyjaźni odnoszę się sceptycznie. Może dlatego, że byłam świadkiem wielu, które rozbiły się o byle głupstwo, a to nie jest przyjaźń, tylko zawracanie głowy. Między mną a Marysią wytworzył

59

się dość szczególny układ. Prawie każde popołudnie spędzamy razem i, ostatecznie, nie uczymy się bez przerwy! Trochę pogadamy, powy-głupiamy się i w sumie to wszystko jest bardzo przyjemne. Nie zwierzam się Marysi ze wszystkich moich spraw, ale na pewno wie o mnie więcej niż dziewczęta z naszej klasy razem wzięte. Ja także wiem o niej coś niecoś. Marysia kocha się w Julku. Julek chodzi na pierwszy rok mechaniki i ma zmotoryzowany punkt widzenia. Marysine nogi nazywa podwoziem, ciuchy karoserią, kalosze ogumieniem. Oczywiście, twierdzi, że Marysia ma oczy jak reflektory. Biedaczek, skoro nie może mieć własnego samochodu, podciąga Marysię do ideału! Mańka pęka ze śmiechu opowiadając mi o tym, ale ma do tego Julka wyraźną słabość.

4 lutego

Dziś po południu był Michał. Obejrzał sobie dokładnie koty w przedpokoju i zapytał, czy zakładamy hodowlę.

— Nie — odparł Wiktor — to tylko wojna nerwów!

Po raz pierwszy w ten pośredni sposób poruszyliśmy sprawę sprzątnia.

— To jest ziemia niczyja — ciągnął dalej Wiktor, najzwyczajniej w świecie lekcewał ten problem, a nawet wydawało mi się, że jest nim wręcz rozbawiony — terytorium, do którego nikt nie rości sobie prawa. Rozbieraj się, mój chłopcze, pogadaj z Martą, bo ja mam jeszcze trochę roboty, którą chciałbym skończyć. Potem cię zawołam, dobrze? Zjemy razem kolację.

Przeszliśmy z Michałem do mojego pokoju, w którym był akurat niesamowity bałagan, bo układałam rzeczy w swojej szafie i wszystko wywaliłam na sam środek pokoju.

— Czekaj, upchnę to jakoś, ruszyć się tu nie można!

— Dobra, a ja zrobię herbaty, bo zmarzłem. Napijesz się?

— Będziesz sobie nalewał, to nalej i mnie.

Po chwili usłyszałam lekkie uderzenie szczotką w drzwi. Michał zamiatał korytarz! Diabli mnie wzięli. Wypadłam z pokoju i wyrwałam mu szczotkę.

— Michał, nie wtrącaj się w to! — powiedziałam ze złością.

— To jest ziemia niczyja, nie mogę jej sobie wziąć? — zapytał przymrużając oczy.

60

On też był zły.

— Nie! — odparłam chowając szczotkę za plecami.

— Chyba mogę zamieść przedpokój w swoim własnym domu? — zapytał.

Zatkało mnie. Oddałam mu tę cholerną szczotkę, odwróciłam się i poszłam do pokoju. Byłam tak wściekła na Michała, że wszystko we mnie latało. Położyłam się na tapczanie i zaczęłam płakać. Żadne rozdrapy, beczałam ze złości. Kiedy Michał wszedł z herbatą, nawet nie odwróciłam się w jego stronę. Podszedł do tapczana i usiadł obok mnie.

— Marta, nie wygłupiaj się! — powiedział ten rycerz z moich snów.

— Zostaw mnie! — Szarpnęłam rękę, którą Michał przytrzymał mocniej.

— Marta, to w ogóle jest rzecz poza wszelką dyskusją: ktoś musiał zamieść!

— Nawet ty występujesz przeciwko mnie — wymamrotałam w poduszkę.

— Nie występuję przeciwko tobie, tylko przeciwko kotom w przedpokoju. To chyba jest subtelna różnica?

Ujął mnie silnie za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

— Zabeczana, jakby było o co — powiedział.

— Myślałam, że mnie lubisz — powiedziałam pociągając nosem.

— Przecież cię lubię.

— Gdybyś mnie naprawdę lubił, zachowywałbyś się inaczej.

Wiedziałam, że to moje stwierdzenie można interpretować dwojako: albo w odniesieniu do sprzątnięcia kotów przez Michała, albo w odniesieniu do tego, co między nami jest. Dlatego wydawało mi się bezpieczne. W napięciu czekałam, aż Michał zdecyduje się na wybór. Widziałam jego twarz, przysuniętą blisko, bliźniutko do mojej. Pocałował mnie w czoło.

— Zachowujesz się jak siostra miłosierdzia, która sprawdza ciepłość ciała pacjenta — powiedziałam.

— ...ponieważ obawia się, że jej pacjent bredzi! — dorzucił Michał. — Napij się herbatki, dziecinko, zaraz wszystko ci przejdzie. Widzisz? Utrzymuję się w roli.

61

— Dziękuję, siostrzo Michalino... Siostra tak pięknie potrafi okazać swoje uczucie! — odparłam z najbardziej jadowitą ironią, jaką mogłam z siebie wykrzesać.

Michał bardzo długo mieszał cukier w mojej szklance, potem podał mi ją i powiedział:

— Przepraszam cię, Marto, ale pójdę teraz do ojca.

— Przecież pracuje?

— Przerwę mu, bo nie mogę dłużej zostać. Muszę dokończyć referat na jutro.

Wziął szklanekę ze swoją herbatą i poszedł w stronę drzwi.

— Michał! — zawołałam, kiedy kładł rękę na klamce.

— Słucham? — spojrzał na mnie.

— Zrobiłam ci przykrość?

— Tak! — odparł i wyszedł z pokoju.

Nie wiem, ile czasu leżałam miotana przeróżnymi refleksjami. Mogłam przeprosić Michała, mogłam szybko naszykować kolację i zmusić go do zostania, mogłam się obrazić. W końcu postanowiłam zostawić sprawę tak jak jest, a właściwie powierzyć jej los Michałowi. I okazało się, że miałam rację. Po chwili otworzyły się drzwi, Michał podszedł do mnie szybko.

— Idę już, Marta — powiedział.

Nachylił się i pocałował mnie krótko, szybko, nie tak jak siostra Michalina, ale tak jak człowiek, który na ułamek sekundy wyrwał się spod opieki swego anioła stróża. Był już ubrany do wyjścia i zanim zdążyłam zrozumieć cokolwiek, usłyszałam trzaśnięcie drzwi.

Podbiegłam do okna i czekałam, aż Michał pokaże się na dole. Widziałam, jak szedł. Z gołą głową, postawionym kołnierzem i rękami w kieszeniach kurtki. Michał — taki jak zwykle. Powinnam być szczęśliwa.

6 lutego

Kiedy człowiek na kogoś czeka, czas wlecze się w nieskończoność. Widziałam Michała przedwczoraj, a wydaje mi się, że minęły wieki całe! Dlaczego się nie pokazuje? Nie chce czy nie może? Śmiem wątpić, czy człowiek żyjący w epoce lotów kosmicznych może zapomnieć o istnieniu telefonu.

62

Byłam dziś u mamy sama, bo Wiktor miał konferencję w biurze.

— Jak sobie dajecie radę?

— Wiktor ci na pewno opowiadał.

— A właśnie, że nie. Właśnie tak nic na ten temat nie mówi, że aż jestem niespokojna. Jesteś grzeczna, Marto?

Co za pytanie! Oczywiście, że jestem grzeczna. Nie grymaszę przy jedzeniu, nie pokazuję języka, nie przeklinam jak dorożkarz.

— Oczywiście, mamo! Jestem grzeczna.

— Wiktor jest dla ciebie dobry, prawda?

— Żaden jest dla mnie — odpowiadam. — Ani taki, ani siaki...

— A Michał przychodzi?

— Był dwa razy podczas twojej nieobecności.

— Lubisz go, prawda?

— Tak, bardzo go lubię. Mama westchnęła.

— Z ciebie to tak wszystko trzeba wyciągać. Nic sama nie opowiesz.

— Bo nic się nie dzieje.

— Nic się nie dzieje! Dawniej miałaś mi zawsze coś do opowiedzenia, nawet wtedy kiedy nic się nie działo. Marto!

— Słucham?

I mama znowu westchnęła. Tym westchnieniem zakończyłyśmy rozmowę na mój temat. Potem było już tylko o wątrobie i o mamy powrocie do domu.

Jadwisia zapowiedziała dyskusję na godzinie wychowawczej. Temat: moja rola w społeczeństwie. Mamy się przygotować. Nie lubię takich państwotwórczych rekolencji.

8 lutego

Jestem podminowana. Jutro wraca mama, spotkałam Patryka, Jadwisia przewróciła do góry nogami mój dawno ustabilizowany światopogląd. I co ja z nim teraz zrobię? Ale po kolei! Mama wraca jutro i na jej cześć Wiktor sprzątnął przedpokój! A zatem odniosłam walne zwycięstwo w tej wojnie nerwów, jak Wiktor sam to określił. W sumie — mieszkanie jest wylizane w sposób imponujący! Dziś Wiktor wręczył mi sto dwadzieścia złotych i poprosił, żebym zaopa-

63

trzyła lodówkę. Więc pognałam do mrozonek, gdzie — chociaż było to popołudnie — kolejka olbrzymia! Wreszcie zdobyłam koszyk i całkowicie poddałam się urokowi zakupów w Samie. Uwielbiam! Może to jakieś sportowe zacięcie drzemie we mnie? W każdym razie zawsze jestem opętana ambicją wyszukania najurodzawszej wołowiny, najchudszego boczku, najmniej rachitycznego kurczaka! Udało mi się znaleźć piękne mięso rosołowe, drobiową wątróbkę, przy czym był to z mojej strony akt poświęcenia dla Wiktora, bo nie cierpię wątróbki. Kupiłam piękną szynkową w celofanowych torebkach i coś tam jeszcze, aha! nerki wieprzowe. Piszę o tym tak dokładnie, bo zawsze cieszą mnie dobrze zrobione zakupy jedzeniowe. Zostało masę forsy, więc w sąsiednim sklepie wzięłam pół kilograma twarogu i żółty ser. Wracałam do domu zdrowo obciążona, ale przy Delikatesach spotkałam Patryka. Wziął ode mnie siatkę i zadeklarował chęć odprowadzenia. Kiedy przechodziliśmy obok sklepów na Brackiej, zatrzymałam się przy gablocie z galanterią.

— Wiesz, niedługo będzie tu odsłonięta tablica pamiątkowa

— poinformował mnie Patryk.

— Nie wiedziałam. A z jakiego powodu?

— Z ważnego!

— Ale z jakiego?

— Ja mieszkam w tym domu.

— Co ty mówisz? Nie przypuszczałam, że tak prawie po sąsiedzku ze mną.

— Jeżeli masz ochotę, możemy wejść na górę. Mam nowe płyty kubańskie.

Wzruszyłam ramionami. Patryk spostrzegł to.

— O co chodzi? — zapytał.

— O te płyty! Takie podrywanie to nie w moim guście i diablo banalne.

Roześmiał się.

— W takim razie powiedz mi, jakie podrywanie jest w twoim guście?

— Żadne właściwie.

— Więc miłość od pierwszego wejrzenia i do grobowej deski?

— zakpił.

64

— Ach, nie! Ale na pewno i nie dlatego, że ktoś ma kubańskie płyty!

— A co trzeba zrobić, żeby zasłużyć sobie na twoje względy, o pani? — zapytał Patryk zaglądając mi w oczy. — Czy tak jak Emrod skoczyć między potwory, czy jak Romeo gramolić się na twój balkon? Z potworami będzie gorzej, ale na balkon to może dałbym radę.

Nie sposób długo gniewać się na Patryka.

— Nie trać czasu, mój drogi! Serce, do którego kołaczysz, jest już dawno zajęte!

— Nie uwierzę, że nie znajdzie się w nim miejsce dla kolegi Patryka. Żebym się tylko dostał, to już dam sobie radę! Od czego człowiek ma łokcie? Od tego, żeby się nimi rozpychać.

— To nie brzmi zachęcająco.

— Widzę, że nie jesteś dla mnie łaskawa, a szkoda... Wszystko wskazuje na to, że Patryk się mną interesuje. Albo ma

taki sposób bycia, że musi pleść dziewczynom głupstwa. A teraz o Jadwisi.

— Marta — powiedziała — może ty jako pierwsza opowiesz nam, jak pojmujesz swoją rolę w społeczeństwie? Jak ty to rozumiesz?

— Właściwie zupełnie tego nie rozumiem, proszę pani — przyznałam. — Owszem, zastanawiałam się nad tą sprawą, tak jak pani sobie życzyła, ale u mnie pomiędzy zastanawianiem a wyciąganiem wniosków jest daleka droga. Mogłabym pani wygłosić kilka sloganów na temat życia w społeczeństwie, pracy kolektywnej i konieczności włączenia się w rytm naszych dziejów. Fonetycznie to nawet dobrze brzmi, ale przecież pani by tego nie zniosła! Pani nawet ucząc nas fizyki, każe wykuć jakieś prawo na pamięć, a potem zaraz żąda, żeby to wszystko własnymi słowami. A ja — co? Sloganik mogę ślicznie wyrecytować, ale własnymi słowami... jakieś zrozumienie tego, zaangażowanie... z tym to u mnie jest gorzej.

— Dziwi mnie to, co mówisz, Marto! Właśnie ciebie i Zulę Koprowską uważałam za najbardziej uspołecznione dziewczęta w mojej klasie.

Zdębiałam.

— Nie chce mi się wierzyć, że u ciebie wszystko to jest działaniem instynktownym, bez udziału świadomości — mówiła Jadwisia spokoj-

65

nie. — Gdybym ci teraz powiedziała, że Marysia Pataczkówna nie potrzebuje już twojej pomocy, że Wiśka Gawrońska zajmie się zbiórką makulatury, a Grażyna zastąpi cię na dyżurach w bibliotece, jeżeli klasa zażądałaby zmiany samorządu i nie byłabyś naszą sekretarką, czy doprawdy uważałabyś, że odebrano ci jedynie slogan? A przecież suma tych spraw, to właśnie twoje zaangażowanie, twoja ambicja, żeby nie stać biernie, tylko robić coś efektywnego. Wiem również, że nie zależy ci na blasku i pochwałach, bo prowadzę tę klasę już trzeci rok i poznałam każdą z was lepiej, niż sądzą. No i co? Co ty mi na to powiesz, Marto?

— Nie wiem, proszę pani, czuję się zastrzelona!

— Powiedz mi w takim razie, dlaczego podejmujesz się tych wszystkich obowiązków?

— Bo inaczej byłoby straszliwie nudno! Ja tego nie traktuję jako zrywy społeczne, tylko jako... no, może raczej jako formę zabicia czasu...

— A dlaczego właśnie w ten sposób zabijasz czas, a nie w inny? Na przerwach mogłabyś czytać albo grać w ping-ponga? Mogłabyś siedzieć w oknie i rzucać ogryzkami w przechodniów, to też niektórym świetnie wypełnia czas. Dlaczego tego nie robisz?

— Bo kiedyś rzuciłam i nie trafiłam tam, gdzie chciałam. Potem rzuciłam drugi raz i znowu nie trafiłam, proszę pani — użaliłam się Jadwisi — i to mi zabrało cały entuzjazm.

— Widzisz? — ucieszyła się Jadwisia. — Nareszcie pierwsza rozsądna rzecz, którą od ciebie usłyszałam. Przestańcie się śmiać dziewczynki! — fuknęła na klasę. — Ty lubisz trafiać, Marta. Ty lubisz, jak ci się udaje.

— No właśnie — przyznałam. — I kto wie, co by się stało, gdybym trafiła w końcu ogryzkiem w kapelusz tego faceta? Może rzucałabym do tej pory? Facetów w kapeluszach dużo chodzi po mieście.

Jadwisia wzniosła rękę do niebios.

— Ona chce mnie przegadać, ale ja się nie dam! Marta, masz ogryzek?

— Mam nadgryzione jabłko... — powiedziałam niepewnie, bo nie wiedziałam, do czego Jadwisia zmierza.

66

— Dokończ. Która ma jeszcze jabłko, niech zje. Będą nam potrzebne ogryzki.

Pośród grobowego milczenia klasy dojadaliśmy swoje witaminy.

— Już. — Pokazałam Jadwisi ogryzek.

— Chodź tu do mnie! — powiedziała i otworzyła okno wychodzące na boisko.

— Marta, widzisz ten słupek od koszykówki?

— Tak. — Słupek był dość blisko.

— Rzucaj ogryzkiem — zarządziła. Trafiłam.

— Świetnie! Rzucaj dalej, zapewne ogarnął cię entuzjazm? Wanda, podaj Marcie swój ogryzek.

Wzięłam resztki Wandzinego jabłka za ogonek i cisnęłam w słupek. Znowu trafiłam.

— Poprosimy następną — zwróciła się Jadwisia do klasy. Zawahałam się.

— No? — dopingowała mnie Jadwisia.

— Nie, proszę pani... Może to wystarczy?

— Dlaczego nie chcesz rzucać? — zdziwiła się.

— No, bo to... to jest po prostu jakieś idiotyczne zajęcie! — zdenerwowałam się.

Jadwisia popatrzyła mi w oczy. Bardzo długo i bardzo znacząco.

— Dziękuję, Marta. Tylko o to mi chodziło. Siadaj.

Ale na tym nie koniec. Po chwili otworzyły się drzwi klasy i jak bomba wpadła nasza dyra.

— Kto stąd rzucał ogryzkami? Co się tu dzieje?

Wstałam nie patrząc na Jadwisię. Za to dyra spojrzała na nią.

— Czy pani tego nie widziała? — zapytała z oburzeniem. Jadwisia speszyła się, bo dyra groźna dla każdego.

— Ależ widziałam... — bąknęła. — Ja nawet sama kazałam jej rzucać.

— Co to jest za lekcja? Fizyka?

— Nie, godzina wychowawcza... — powiedziała Jadwisia żałośnie.

— Godzina wychowawcza — powtórzyła dyra — godzina wychowawcza?

— Może pani dyrektor usiądzie — zaproponowała Jadwisia. — Ja zaraz wytłumaczę.

Dyra usiadła i wysłuchała relacji Jadwisi. Straszliwie jest wymagająca ta nasza dyra, ale ma poczucie humoru. Zanim wyszła z klasy, objęła Jadwisię ramieniem i powiedziała serdecznie:

— Moja droga, moja droga! A kto teraz sprzątnie te ogryzki? Kiedy wyszła, wstałam i powiedziałam grobowym głosem:

— Pani profesor, ja zejść i sprzątnę. Ostatecznie mogę to potraktować jako pracę społeczną.

Jadwisia pogroziła mi palcem. W tym wszystkim ona na pewno miała jakąś rację. Ale jeżeli jestem tą prawidłowo ustawioną społecznie dziewczyną, dlaczego, do diabła, nie zamiatałam przedpokoju? A może każdy człowiek jest inny „na wynos”? Na przykład Marysia. Ona też — inna w domu, inna w szkole. Tylko na odwrót niż ja! Bo w klasie robi z siebie księżniczkę, którą palcem nie tknie żadnej domowej roboty, opowiada brednie o tym, jak to mama musi ją obskakiwać, tata rozpieszczać. A ja wiem, że tyra w chałupie jak żadna z nas. Ja znowu wolę wyżywać się na zewnątrz i chętniej załatwiam sprawy, które nie mają z domem nic wspólnego. I to jest tak, jakby były we mnie dwie Marty. Ale która z nich jest prawdziwa? Wydaje mi się, że żadna!

9 lutego

Zwierzylałam się Jadwisi z moich rozterek. Prosiła, żebym pomogła jej zanieść zeszyty do domu, bo dźwigała klasowe.

— Proszę mi wytłumaczyć — poprosiłam na zakończenie — jak to jest? Dwie Marty, a w żadną nie chce mi się uwierzyć. Nie jestem ani jedną, ani drugą. Dlaczego?

— To się nazywa dojrzewanie! — odpowiedziała ze śmiechem. — Możesz być spokojna. Wyróżniesz w końcu na jedną.

— Ale jaka ona będzie?

— Siebie o to zapytaj — odparła Jadwisia.

Posłuchałam jej rady i przez cały wieczór pytałam siebie, jaka będę? Niestety, żadna z Mart nie potrafiła mi dać wyczerpującej odpowiedzi.

15 lutego

Dawno nie byłam w kinie. Patryk zadzwonił w czasie obiadu.

68

— Mam dwa bilety, Marta. Pójdiesz?

Umówiłam się z nim przed „Śląskiem”. Kiedy wróciłam do stołu i powiedziałam mamie o swoich projektach, natychmiast zapytała:

— Z kim?

— Z Patrykiem. Patryk to przyjaciel Michała — dorzuciłam, żeby nie stawiała oporów.

Oboje spojrzeli na mnie. I mama, i Wiktor.

— Michał też idzie? — spytała mama.

— Nie.

— Dlaczego? Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem. Patryk ma dwa bilety, zaproponował mi... Nic nie mówił o Michale.

— Dlaczego Michał tak rzadko przychodzi? — zwróciła się mama do Wiktora. — Po moim powrocie ze szpitala był tylko raz i to tak jak po ogień.

— Uczy się. — Wiktor sięgnął po sól, solniczka była pusta. — Marto, bądź tak dobra i przynieś trochę.

Kiedy wróciłam z kuchni, żadne z nich nie poruszyło już sprawy Michała, widocznie została wyczerpana za moimi plecami.

— Więc mogę pójść, mamo?

— Możesz... — powiedziała z wyraźnym ociąganiem.

Było już późno, kiedy w dzikim pośpiechu cesałam się i zmieniałam pantofle. Wiktor zajrzał do mojego pokoju.

— Pies piszczy — zakomunikował zwięźle.

— To niech piszczy — burknęłam pod nosem, bo zdawało mi się, że Wiktor wycofał się już do przedpokoju.

Mylłam się. Uchylił drzwi i zapytał:

— Mówiłaś coś?

— Nie.

— Widocznie się przestyszałam.

Oczywiście, wyprowadziłam psa, ale na krótko, bo naprawdę było już diabelnie późno.

— Czy on się zdążył załatwić? — zawołała mama, kiedy wpuściłam Shimmy'ego do domu.

— Zdążył! Pa, mamo!

Film był niezły. Patryk czarujący. Tym razem nie gadał żadnych głupstw, tylko same komplementy, i to ze śmiertelną powagą. Wracalam w doskonałym nastroju, chciało mi się żyć! Ale odechciało mi się bardzo prędko. Zdjęłam pantofle, płaszcz i właśnie szukałam kapci, kiedy mama zawołała:

— Wróciłaś, Marto?

— Tak, mamo!

— Przyjdź tu zaraz!

To mi z punktu zabrzmiało nieciekawie. Poszłam do ich pokoju.

— Słucham?

— Spójrz, kałuża. — Mama pokazała mi miejsce przy tapczanie. To proszę Shimmy!

— Jak się ma psa, to trzeba go porządnie wyprowadzić — fuknęła mama — a nie tak na łapu-capu!

Wiktor siedział zasłonięty gazetą. Oczywiście, musiał odrapor-tować mamie, moje „to niech piszczy”. Wściekłam się i powiedziałam przed siebie:

— W ten sposób to my daleko nie zajedziemy! Wiktor odłożył gazetę, uśmiechnął się i odparł spokojnie:

— Masz rację, Marto.

Ten spokój był wymierzony przeciwko mnie. Mama leżała na tapczanie z zamkniętymi oczyma.

— Weź sobie kolację, ale zjedz u siebie w pokoju — powiedziała sucho.

Tak właśnie wyglądają scysje rodzinne w domach, które legitymują się pewnym poziomem kulturalnym. Najobrzydliwsze rzeczy mówi się bez podnoszenia głosu. Bo po co podnosić głos? Cicho czy głośno wypowiedziane słowa — sens mają jeden i ten sam.

26 lutego

Bardzo długo nie pisałam. Ale kiedy parę dni temu przejrzałam te notatki, zauważyłam, że od kilku miesięcy Wiktor przewija się przez nie jak zły duch. Może Michał ma rację twierdząc, że popadłam w jakąś obsesję? Może pisanie o nim jeszcze bardziej utrwala mnie w niechęci do niego, tej niechęci, którą odczuwam coraz silniej? Bywają dni, w których nic się nie dzieje. Drażni mnie sama obecność

Wiktora. Usiłuję przyznać mamie rację, nazwać swój stosunek do naszego życia egocentryzmem i szukać w nim przyczyny mojego nieprzystosowania. To słowa mamy. Twierdzi, że jestem nieprzystosowana. Rozpatrując tę sprawę uczciwie, przyznaję mamie nieco słuszności. Zastanawiam się, czy aby na pewno mój stosunek do Wiktora jest prawidłowy. No więc — nie! Nie jest.

Mam odwagę napisać to czarno na białym, uchylić kapelusza przed racją mamy i Michała. Może nie szukam powodów do scysji, tak jak twierdzi Michał, ale z pewnością czekam na nie. Jestem wiecznie przyczajona i tylko w tym tkwi mój błąd. Czyżby to miało takie decydujące znaczenie? Usiłowałam wyjść z roli kota drapieżnika, nie czaić się, nie koncentrować uwagi na tonie głosu Wiktora, jego gestach i słowach. Nie mogę. Jestem na to zbyt słaba albo zbyt głupia. Jest mi coraz gorzej, coraz trudniej żyć!

Dziś Michał przyszedł pod szkołę i poszliśmy na długi spacer. Szare kry płynęły po Wiśle. Oparliśmy się o balustradę mostu, dzień był taki piękny, a Michał blisko. Płakałam.

Michał patrzył bez słowa na łzy, które ciurkiem płynęły mi po twarzy, chyba rozumiał dlaczego.

— Czy mogę ci jakoś pomóc, Marto? — zapytał wreszcie.

— Nie, Michał... Na pewno nie!

— Może jednak da się coś zrobić?

— Nic się nie da zrobić, ja wiem...

— Opowiedz mi wszystko, możliwie obiektywnie i dokładnie

— poprosił. Machnęłam ręką.

— Daj spokój! Rozmowy na ten temat nigdy nam nie wychodzą!

— Postarajmy się, żeby ta wyszła — zaproponował.

— Nie, nie... Po tej ostatniej, pamiętasz? Po tej o koty w przedpokoju, jak długo w ogóle nie mogliśmy znaleźć wspólnego tematu!

Michał podniósł moją torbę, którą oparłam o balustradę mostu i pomału zaczęliśmy wracać.

— Jeżeli wolisz zostawić to takie nie dopowiedziane, trudno!

— zrezygnował. — Między nami jest dużo rzeczy nie dopowiedzianych, może być jeszcze i to

— dodał poważnie.

Ale widać nie miał zamiaru niczego wyjaśniać, bo zatrzymał się, oparł swoją torbę o kolano i wygrzebał z niej resztki drugiego śniadania. Szliśmy po wiadukcie jedząc kanapki z wędliną.
— Przyjdiesz dziś wieczorem? — zapytałam. — Sobota, będziesz mógł dłużej posiedzieć.

— Chyba przyjdę. Ale czy to nie za często?

Bo Michał od tego dnia, kiedy poszłam z Patrykiem do kina, zjawia się na Baczyńskiego prawie codziennie. Nie wiem dlaczego, ale mam cichą nadzieję, że Patryk pochwalił się naszym wypadem i że Michał jest chociaż ciut, chociaż odrobinę o to zazdrosny.

2 marca

Moje przypuszczenia były słuszne. Patryk zwierzał się Michałowi. Ale ja osobiście nie widzę nic złego w fakcie, że byłam z Patrykiem w kinie. Chyba wolno mi chodzić do kina, jeżeli mam na to ochotę. A z kim? To też moja rzecz! Na pewno wolałabym z Michałem. On jednak jest bardzo dziwny! Bo przecież jeżeli mu na mnie zależy, jeżeli woli moją obecność przy sobie od obecności innych dziewcząt, jeżeli mnie po prostu kocha, dlaczego każe mi się jedynie domyślać tego? Czy to jest takie trudne powiedzieć? Czuję się bardzo samotna i kiedy robię przegląd mojego najbliższego otoczenia, dochodzę do wniosku, że nie ma nikogo, kto by mnie kochał tak, jak bym tego chciała. Mama jest pochłonięta Wiktorem, ulega jego wpływom. Kocha mnie, nie zwątpiłam o tym ani na chwilę, a jednak jej miłość ulega teraz przyptywom i odpływowom, przy czym Wiktor odgrywa tu rolę księżycy. Nigdy zresztą nie było między nami tego ciepła, które na przykład jest pomiędzy Wandą a jej matką, lecz jedynie jakaś automatyczna konieczność kochania. A Wanda ze swoją mamą są najlepszymi w świecie kumplami. To widać nawet wtedy, kiedy spotyka się je na ulicy. Są zawsze tak zagadane, tak pochłonięte wspólnymi sprawami, że świata dokoła siebie nie widzą. A my z mamą zawsze widzimy świat, który nas otacza.

Mańka Pataczkówna jest świetną dziewczyną. Wypływa już na czyste wody i moja pomoc właściwie staje się jej zbędna. Ale w dalszym ciągu uczymy się razem, bo tak jest wygodniej, weselej, przywykłyśmy. Wiem, że Mańka jest do mnie w jakiś sposób szalenie

72

przywiązana i ja do niej też. Ale to mi nie wypełnia pustki. Pustkę mógłby wypełnić tylko ktoś, kto by mnie kochał. — Konkretnie — Michał. Ale samo jego imię niczego nie wypełni, same jego przychodzenia, odchodzenia niczego nie załatwią. Ja chcę wiedzieć! Chcę, żeby mi to powiedział raz, drugi, dziesiąty! Żeby powtarzał ciągle. Chcę móc przesuwając palcami po jego twarzy i wiedzieć, że to jest moja twarz. I chcę razem z nim iść w to nieznane, tajemnicze, co jest przed nami, odległe i bliskie jednocześnie. I chcę... ach, nie, nie mogę, nie chcę się dłużej tylko domyślać!

— Marta — zapytał mnie dziś — czy rzeczywiście musisz chodzić do kina z Patrykiem?

— Nie muszę — odpowiedziałam. — Nikt mnie nie jest w stanie zmusić do tego. Zaproponował, to poszłam. A czemu ci się przypomniało? To przecież stara historia sprzed dwóch tygodni.

— No, nie taka stara, bo Patryk dziś kupował bilety w Orbisie i jestem pewien, że jutro znowu zadzwoni do ciebie.

— Czy uważasz, że on nie jest odpowiednim towarzystwem dla mnie? — spytałam udając naiwną. — Przecież to twój przyjaciel!

— Patryk to bardzo porządny chłopak... — Michał urwał nagle i zastanawiał się nad czymś.

— No, może nie taki bardzo porządny, ale w każdym razie! Nie rozumiem, dlaczego właśnie z tobą musi chodzić do kina.

— A ja nie rozumiem, dlaczego właśnie ze mną miałby nie chodzić? Co to w ogóle jest — chodzenie do kina razem? To nic nie jest! Tysiące ludzi chodzi razem do kina! Myśmy też chodzili razem do kina, Michał, i co z tego? Nic!

Michał pokiwał głową.

— Ja to rozumiem trochę inaczej. Ja z byle kim nie chodzę!

— Patryk też nie chodzi z byle kim, tylko ze mną! — roześmiałam się.

— Eh, czepiasz się! — fuknął na mnie Michał.

— To ty się czepiasz! Tłumaczę ci przecież, że chodzenie do kina...

— Wiesz co? Skończmy z tym kinem! — przerwał mi.

— To przecież nie ja zaczynałam! Ja tu nie widzę problemu, proszę cię bardzo, możemy skończyć.

W kilka minut po wyjściu Michała autentycznie zadzwonił Patryk.

73

— Słuchaj, Marta, mam dwa bilety na jutro do Atlanticu. Wybierzesz się?

— Poczekaj chwilę, muszę zapytać mamy.

— Dobra, czekam.

Mama była u fryzjera i w ogóle nie musiałam jej pytać, bo jutro po południu idą na imieniny kolegi Wiktora i mogę się sama rozporządzić tym czasem. Zależało mi jednak na chwili namysłu. Trzymałam słuchawkę przy uchu i rozważałam wszystkie za i przeciw. „Jeżeli pójdę — myślałam — Michałowi będzie przykro, jeżeli nie pójdę, będzie zadowolony. A jeżeli pójdę,

to Michała znowu ukłuje igielka zazdrości i może wreszcie zdeklaruje swoje uczucia chociaż trochę jaśniej..."

— W porządku, Patryk. Mogę iść.

— To w dechę! Gdzie się spotkamy?

Ustaliliśmy szczegóły i w tej chwili czuję się umówiona z Patrykiem na jutro.

4 marca

Nie powinnam była tego robić. Teraz jest już za późno! Nie powinnam była tego robić... To nieważne, jaki był film i co mówił Patryk wczoraj po południu. Tak dalece nieważne, że nawet nie chciało mi się sięgnąć po ten brulion, kiedy wróciłam do domu. Ważny stał się dopiero dzisiejszy dzień.

Kiedy umawiałam się z Michałem, że przyjdę dziś na jego trening do klubu, nie wiedziałam jeszcze, że Patryk zaproponuje mi kino i że ja się na tę propozycję zgodzę. Ale kino z Patrykiem — jedna sprawa, a trening Michała — druga. Kiedy zjawiłam się dziś po południu w klubie, Michał już był. Podeszedł do mnie, jak tylko przyszłam.

Ani „dzień dobry”, ani „jak się masz”, tylko z punktu:

— Czy to prawda, że byłeś z Patrykiem w kinie?

— Prawda — odpowiedziałam i pomyślałam, że moja rybka złapała przynętę. — Patryk ci mówił?

— Tak.

— Dlaczego jeszcze mnie o to pytasz, skoro już jesteś poinformowany?

Michał poczerwieniał, widziałam, że jest wściekły.

74

— Bo musiałem jakoś zacząć tę rozmowę, rozumiesz? I było mi wszystko jedno, jak zaczynam. Chcę tylko, żebyś wiedziała, w jakiej formie Patryk powiedział mi o tym.

— Interesujące... — pokręciłam głową.

— Jak takie interesujące to posłuchaj: „Michał! — powiedział

— ty zobacz, jakie ja mam cholerne powodzenie u babek! Tylko gwizdnąć, a każda leci! Nawet Marta!”

— Nawet Marta — powtórzyłam. — Więc jednak uważa mnie za szczególny egzemplarz!

— Cieszysz się to? — zapytał ironicznie. — Rzeczywiście, niesłychanie zabawne, że nawet szczególne egzemplarze lecą na każde gwizdnięcie Patryka!

— Wiesz, Michał, ja nie rozumiem, dlaczego ty się tak pieklisz? Co innego gdybyś...

Nie dokończyłam, bo w tej chwili podszedł do nas trener Zabięto.

— Szykuj się, Michał — powiedział i wyciągnął do mnie rękę.

— Przyszła pani popatrzeć?

— Tak. Bardzo to lubię.

— Zaraz zaczynamy. Proszę, może bliżej planszy! Tu będzie lepiej widać.

Usadowił mnie, Michał założył maskę, ale zanim zakrył twarz, powiedział z pasją:

— Cholera jasna, czuję, że dziś nie będę w stanie sparować najprostszego pchnięcia! Z tobą, Marta, ciężko jest dojść do ładu, bo nie chcesz zrozumieć elementarnych rzeczy! I jeszcze do tego wszystkiego przyczepił się Patryk ze swoją ambicją donżuana!

Podobał mi się Michał w roli zazdrośnika. Nareszcie był konkretny. Więc dolałam oliwy do ognia, który Patryk swoim gadulstwem tak pięknie podsycił. Dolałam jeszcze jedną kroplę:

— Patryk z ambicją donżuana! — roześmiałam się. — Możliwe, ale on jest nieprzeciętnie sympatyczny!

W tej chwili usłyszałam, że ktoś się szybko zbliża i właśnie miałam odwrócić głowę, kiedy Patryk objął mnie swobodnie ramieniem

i zawołał:

— Marta! To chyba jakieś fluidy? Właśnie myślałem o tobie i jesteś.

75

Michał odwrócił się, podszedł do Zabięty, powiedział mu coś i Zabięto zaraz zawołał Patryka:

— Patryk, na planszę! Zaczynamy!

Przez chwilę tylko krótkie, ostrożne ruchy floretów. Lewe ręce Patryka i Michała uniesione do góry, prawe — wyciągnięte i czujne, jakby zawarła się w nich cała bystrość, cały refleks, cały

kunst. Bo floret, to jednak kunsztowny sport. Precyzyjny. Elegancki. I tylko mocny, dudniący odgłos butów na planszy.

— Trafienie! — zawołał Zabięto, a Patryk tryumfalnie zakręcił się wokół własnej osi.

Znowu postawa szermiercza i krótkie, ostre ruchy dłoni. I ten tupot. Michał zaatakował raz, drugi, trzeci. Patryk sparował cios po ciosie, potem szybkim ruchem poszedł do przodu.

— Trafienie! — zawołał Zabięto.

Patryk zsunął maskę z twarzy, wytarł czoło chustką i uśmiechnął się do mnie. Ale to była zaledwie chwila, Zabięto dał znak i znowu stanęli naprzeciw. Zaciśnięłam kciuki i byłam wściekła na siebie za to, że tak wyprowadziłam Michała z równowagi swoim głupim gadaniem. Ale nie mogłam przecież teraz niczego naprawić, po prostu musiałam patrzeć, jak Patryk...

— Trafienie! — zawołał Zabięto.

Patryk podniósł do góry floret. Był lepszy. Michał stał bez przerwy w postawie, czekał tylko na sygnał Zabięty. Już! I wtedy... w parę sekund później Michał zadał Patrykowi pchnięcie. Jedno, drugie, trzecie. Bez przerwy, głuchy na wołanie Zabięty, atakował cofającego się Patryka. Czwarte, piąte...

Zabięto wskoczył na planszę, ale zanim zdążył wejść pomiędzy nich, ruszył Patryk. Jedno, drugie pchnięcie... Teraz Michał cofał się pod jego gwałtownym atakiem. Ale niedługo, bo nagle z całym impetem rzucił się ostro w stronę Patryka. I właśnie w tej chwili trwali tak, jakby postacie na niemym obrazie. Pierwszy poruszył się Zabięto.

Wyjął floret z dłoni Michała i wyciągnął rękę w kierunku Patryka. Ten natychmiast podał mu swój.

— Zejdźcie z planszy! — zawołał Zabięto gniewnym głosem.

76

?

A tamci stali na wprost siebie, z maskami zsuniętymi na czoła, przyczajeni tak, że zdawało się, pierwsze lepsze drgnięcie wywoła tkwiącą w nich furję.

— Natychmiast zejdźcie z planszy! — krzyknął znowu Zabięto. Zeskoczyli na jedną stronę, nie na tę, na której stałam.

— To chyba koniec waszej kariery! — zawołał Zabięto stając na wprost nich. — W sporcie nie ma miejsca na osobiste porachunki. Ale

? nie ja będę z wami rozmawiał. Do kierownika!

Patryk i Michał szli obok siebie przez całą długość sali, za nimi Zabiełto z dwoma floretami pod pachą.

I co dalej? Nie wiem. Wróciłam do domu sama. Nie czekałam na

> nich.

5 marca

Im więcej czasu mija od tamtego zdarzenia, tym intensywniej o nim myślę. Moja wina jest chyba niezaprzeczalna. Niezależnie od winy Michała. On się nie odzywa. Patryk się nie odzywa. Może ja powinnam pierwsza? Ale jak? Była taka chwila, kiedy chciałam o wszystkim powiedzieć Wiktorowi. Wczoraj wieczorem. Wróciłam z klubu, mama i Wiktor siedzieli już przy kolacji. Mama podała mi

> herbatę, namawiała do jedzenia, a ja nie mogłam wziąć do ust nawet najmniejszego kęsa.

— Co ci jest? — zapytał Wiktor i zauważyłam, że przygląda mi się z wyraźnym niepokojem.

— Źle się czujesz, Marto?

) — Nie... po prostu nie mogę. Nie chce mi się jeść.

— Ale jesteś jakaś niewyraźna. Zobacz, Anno, czy ona nie ma przypadkiem gorączki?

Mama pocałowała mnie w czoło.

— Bo ja wiem? Czoło ma chłodne, ale policzki ciepłe.

— Zmarzłam.

— Wiesz ty co, Marta? Połóż się — zaproponował Wiktor. 1 — Wypij tę herbatę i idź do łóżka. Anno, daj jej profilaktycznie

antygrypinę.

Mama wstała, żeby przynieść mi proszek, a Wiktor jeszcze przez chwilę przyglądał mi się bardzo uważnie. Jakby czuł, że to nie choroba mi dolega.

77

— Miałaś jakieś przykrości? — zapytał.

I wtedy właśnie ogarnęła mnie ochota, żeby powiedzieć Wiktorowi o wszystkim. Ostatecznie, Michał jest jego synem.

— Tak. Miałam przykrości.

— W szkole? *• Nie.

Zabrakło mi odwagi na szczerą rozmowę z Wiktorem. Moja rola w sprawie Michał-Patryk jest wystarczająco paskudna na to, żeby się nią nie chwalić.

— Jakie przykrości, Marto? — dopytywał Wiktor. Potrząsnęłam głową.

— Nie będę mówić, dobrze? Nie pytaj mnie, proszę cię.

— Jak chcesz. Ale może mógłbym pomóc?

Ofiarni są ci Sorokowie. Niedawno Michał chciał pośredniczyć między Wiktorem a mną, teraz Wiktor proponuje pomoc. Ale ja wolę sama rozgrywać swoje sprawy. Może rozgrywam je źle, ale za to samodzielnie, nikt nie prowadzi mnie za rękę. To się liczy! Przecież to niemożliwe, żeby Michał w ogóle nie dał znaku życia. Ale może inicjatywa powinna wyjść ode mnie? Nie wiem, co zrobię, mam nadzieję, że noc okaże się mądrzejsza od wieczoru i podsunie mi jakieś rozwiązanie.

6 marca

Napisałam kartkę do Michała i poprosiłam Mańkę, żeby zaniosiła. Zgodziła się bez gadania. Odprowadziłam ją na Kruczą, pod sam dom.

— Wybiła ostatnia godzina — powiedziała Mańka. — Zastanów się, żebyś potem nie żałowała.

Zastanowiłam się, odprawiłam Mańkę i sama poszłam na górę. Nigdy nie byłam u Michała w domu, ale wiem dokładnie, gdzie mieszka. Zadzwoiłam. Drzwi otworzyła mi młoda jeszcze babka.

— Chciałam się zobaczyć z Michałem — bąknęłam. Spojrzała na mnie niezdecydowanie.

— Michała nie ma w domu. Czy ja wiem... może zaczekasz? Może pani zaczeka? — poprawiła się. — On powinien za chwilę wrócić, poszedł tylko po zakupy.

78

— Jeżeli można, zaczekam.

— To proszę się rozebrać — zaproponowała mi bezosobowo tym razem.

Zdjęłam płaszcz i czekałam na dalsze dyspozycje.

— Nie wiem gdzie — zastanowiła się — u Michała czy tu? — Wskazała ręką pokój w końcu korytarza.

Ja też nie wiedziałam gdzie, u Michała czy tam, a zresztą trudno, żebym decydowała.

— Proszę bardzo, może tu. — Zaprosiła mnie do pokoju, gdzie ku swojemu przerażeniu zastałam jeszcze dwie panie.

— To koleżanka Michała — przedstawiła mnie, jak się później okazało, jego ciotka.

Ukłoniłam się.

— Siadaj, moja droga — odezwała się jedna z pań. Ta przynajmniej sklasyfikowała mnie „na ty”. Usiadłam obok niej i zaprezentowałam swoje dobre ułożenie.

— Ja na pewno paniom przeszkadzam...

— Nie, nie — uśmiechnęła się — rozmawiałyśmy sobie o niczym. Chodzisz z Michałem do jednej klasy?

— Nie, proszę pani.

Spojrzała na mnie z lekkim pytaniem w oczach, z takim, na które mogłam odpowiedzieć, ale nie musiałam. I nagle wstąpiła we mnie potworna odwaga. Bo przecież nie miałam się czego wstydzić.

— Ja jestem Marta. Ojciec Michała jest moim ojczymem — wyjaśniłam.

Trzy babki uśmiechały się pogodnie. Najwyraźniej Wiktor jako ojczym wydawał im się postacią zupełnie sympatyczną.

— Ach, tak... — powiedziała ta obok mnie. — Michał na pewno ucieszy się z twojej wizyty.

Nie byłam tego tak pewna, jak ona.

— Michał opowiadał mi o tobie, Marto, wiesz? Jestem jego matką. — Widać zauważyła moje zaskoczenie, bo zaczęła mówić bardzo dużo i szybko, tak jakby chciała uratować nas od chwili kłopotliwego milczenia: — Michał mówił mi, że jesteście w przyjaźni. Opisywał nawet, jak wyglądasz, ale wyobrażałam sobie ciebie zupełnie inaczej i jak tu weszłaś, przez myśl mi nie przeszło, że jesteś Martą.

79

Michał poszedł po zakupy. Tylko kilka drobiazgów dla mnie, tu niedaleko. Powinien zaraz nadejść.

— Poczekam na niego — wtrąciłam się wreszcie. — Ja również widziałam pani zdjęcie, Michał mi pokazywał. Ale pani na zdjęciu też wygląda inaczej.

Ciekawa jestem, czy Michał opowiadał swojej mamie o moich scysjach z Wiktorem? Na przykład o tych nieszczęsnych kotach? Ale nie miałam czasu na rozważanie tych pytań, bo trzasnęły drzwi w przedpokoju i w chwilę później pojawił się Michał, jeszcze w kurtce, z siatką w ręku.

— Nie dostałem żywieckiej, kupiłem szynkową — powiedział — ale nie wołową, tylko wie... wieprzową — dokończył ciszej, bo dopiero teraz zauważył, że to ja siedzę obok jego matki.

- Marta. Skąd tyś się tu wzięła?
- Przyszłam, Michał. Bardzo się chciałam z tobą zobaczyć i...
- Czy coś się stało? — zapytał gwałtownie.
- Nie... no, po prostu... nie wiedziałam, co się z tobą dzieje...
- Aha — mruknął i zaczął wykladać na stół pączki. — Tu jest ta kiełbasa, mamuś, lakier do włosów... Spray, to dobry?
- Dobry, dziękuję, Michasiu! Mówiła do niego: Michasiu.
- A tu jest, mamuś, marago! A tu... zaraz, co tu jest? Tak, tu są te korki do butelek. Będą pasować? Spójrz!

Machinalnie zajrzała do torebki.

- Tak, Michasiu, ale zostaw teraz to wszystko i zajmij się Martą.
- Muszę się rozebrać — odpowiedział i wyszedł z pokoju. Kiedy wrócił, usiadł na tapczanie obok mnie.
- Słucham?

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie prosi mnie do swojego pokoju. Przecież chyba wiedział, że przyszłam wyjaśnić sprawę tego incydentu w klubie. Nie mogłam mówić o tym przy jego matce. W tej sytuacji w ogóle nie miałam pojęcia, o czym rozmawiać.

- Ja właściwie... no, chyba się domyślasz? Chciałam ci wyjaśnić, Michał, bo jest mi strasznie przykro. Zdenerwowałeś się przeze mnie i dlatego wynikła ta sprawa.

80

- To jakieś nieporozumienie, Marto — powiedział. — Mnie się zdaje, że nie ma tu nic do wyjaśniania! Bo ja niczego nie żałuję, być może zachowałem się nie fair, ale dziś zachowałbym się tak samo!

- Nie fair? — wtrąciła jego matka. — Jesteś łagodnym sędzią dla siebie. W moim pojęciu zachowałeś się potwornie! A ty jak uważasz, Marto?

A więc powiedział jej o wszystkim! Dwie pozostałe panie wyniosły się z pokoju, nie wiem, przypadkiem czy celowo. Matka Michała patrzyła na mnie wyczekująco.

- No? Bardzo jestem ciekawa twego zdania?
- Proszę pani... tu nie tylko Michał jest winien. Ja się bardzo głupio zachowałam i on się rozłościł.

- Skończmy tę rozmowę, mamó, bo do niczego nie prowadzi.
- Eh, Michasiu! Zachowujesz się jak małe dziecko!
- Ale co tu jest do gadania? No co? Nic nie ma! O czym tu mówić?
- Marta zdobyła się na dużą rzecz przychodząc do ciebie. Na pewno musiała się długo zastanawiać, zanim podjęła decyzję, prawda, Marto? A ty jak się zachowujesz?
- Ja się normalnie zachowuję, mamó! Ja tylko tłumaczę, że te duże rzeczy, zastanawiania i decyzje są zupełnie nie na miejscu, bo nie ma problemu. Ja do Marty nic nie mam, ani żalu, ani pretensji! Powiedziała, co myślała, a ja się ustosunkowałem.
- No, wiesz, Michał! — jęknęła. — Ustosunkowałeś się! Ładna historia! Jeżeli ty się w ten sposób zamierzasz do wszystkiego ustosunkowywać...
- Zamierzam! — potwierdził. — Ja sobie, mamó, nie dam dmuchać w kaszę i ciosać kołków na łbie! Ja, mamó, nie mam duszy niewolnika, który da się przestawiać i ustawiać według czyjegoś widzimisię!
- Och! — zawołała i rozejrzała się wokół siebie. — Ile tu kamyków wpadło do mojego ogródka! Pięknie, mój drogi! Nigdy nie uważałam cię za Byczka Fernando, ale doprawdy, przesadzasz trochę!

W tej samej chwili w głębi mieszkania rozległ się dzwonek telefonu. Ktoś zawołał:

- Niko! Telefon do ciebie!

81

Zostaliśmy z Michałem sami. Przez chwilę przekładał paczki na stole. Potem podniósł głowę i powiedział:

- Przepraszam cię, Marta, ale mama zupełnie niepotrzebnie ładuje swoje trzy grosze do naszej skarbonki. Myśmy już tam dużo nazbierali monet, niestety, wszystkie okazały się fałszywe!
- Więc nawet mojego przyścia tutaj nie chcesz potraktować za dobrą monetę?

Nie odpowiedział od razu. Zawijał lakier do włosów w bibułkę, potem zaczął pakować szynkową.

- Kocham cię — zakomunikował nagle.
- Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś? — spytałam i sama słyszałam żal w swoim głosie.

— Zdawało mi się, że wiesz, bo to chyba było oczywiste. A u mnie słowa się nie liczą. Ja nie kocham słowami. Nie lubię słów, niektóre są chyba tylko po to stworzone, żeby je cofać. Między innymi po to stworzone jest „kocham”.

— A jednak powiedziałaś je przed chwilą, Michał. Po co? Czy także po to, żeby mieć coś do cofnięcia?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Kiedy mój ojciec mówił mojej matce, że ją kocha, też nie myślał o rozwodzie.

Odłożył paczkę z wędliną i przez chwilę stał nieruchomo. Później podszedł do mnie, objął moją twarz dłońmi, spojrzął mi w oczy i zapytał cicho:

— Co ty zamierzasz zrobić z tym słowem, które nieogłędnie mi się wyrwało?

— Zamierzam usłyszeć je jeszcze raz — odpowiedziałam. Odprowadziliśmy Nike na dworzec. Do końca bardzo miła,

wymawiała Michałowi, że zachował się w stosunku do mnie jak ostatni gbur. A ja byłam i jestem taka szczęśliwa!

Później poszliśmy na Baczyńskiego. Wspólna kolacja, niezły nastrój. Kiedy Michał wychodził, zatrzymaliśmy się jeszcze na chwilę w przedpokoju.

— Mówcie sobie, co chcecie: ty, mama, Zabięto... Ale jeżeli Patryk będzie się mieszał w moje sprawy, to przenicuję go na lewą stronę tak, że się już nigdy w życiu nie pozbiera!

Rozdział IV

Wiktor odłożył brulion. Uczucie panicznego lęku... drobne krople potu na czole... ucisk w krtani... rozkojarzone myśli, zupełna niezdolność do jakiegokolwiek koncentracji.

Wiktor wiedział, że musi natychmiast z kimś porozmawiać, bo inaczej podda się do reszty obezwładniającemu uczuciu przerażenia. Ale tu, w biurze, nie zwierzał się nikomu ze swoich kłopotów. Więc do kogo iść? Michał? Ligota? Bo przecież nie do Anny, która i tak jest u kresu sił.

Do tej pory fakty milczały, teraz zaczną przemawiać. Przeciwno Michałowi, oczywiście. Skąd Ligota wpadł na pomysł rozmawiania z Zabięto? Powiedział przecież zupełnie wyraźnie, kiedy Wiktor prosił go dziś rano o informację:

— Trudno mi cokolwiek przekazać panu, panie inżynierze. Ciągle jeszcze jestem w trakcie zbierania materiałów i właśnie oczekuję w tej chwili nadejścia pana Zabięty. Może pan zapali? — podał Wiktorowi papierosa.

— Dziękuję, ja tylko fajkę. Kto to jest Zabięłło?

— Nie zna pan tego nazwiska? — zdziwił się Ligota? — To trener klubowy Michała i Patryka. Zdecydowałem się na rozmowę z nim, bo sądzę, że potrafi naszkicować mi sylwetki tych chłopców. Oczywiście, ze swojego punktu widzenia.

Wiktor słuchał Ligoty ze względnyim spokojem. Trener klubowy? Cóż trener może wniesć do śledztwa oprócz oceny sprawności sportowej swoich wychowanków? Nic! Od tamtej rozmowy z Ligotą

83

minęło parę godzin, ale dopiero przed kilkoma minutami Wiktor uświadomił sobie, że to spotkanie mogło przynieść Ligocie materiał obciążający Michała. Wiktor do tej pory nie miał pojęcia o zajściu w klubie. Michał nie zwierzał się z takich spraw. Marta? Och, Boże, Marta... Była winna, na pewno, ale to Michała porywczosć, jego brak zastanowienia zawiniły bardziej niż ona.

Kiedy Wiktor wychodził z gabinetu Ligoty, minął się w drzwiach z wysokim, szczupłym mężczyzną, którego twarzy nawet nie starał się zapamiętać. To był Zabięłło.

„Jakiś tam Zabięłło” — pomyślał o nim wtedy. A teraz Zabięłło stał się ważny.

— Słucham, panno Basiu? — oprzytomniał Wiktor. — Pani coś mówiła?

Sekretarka stała w drzwiach pokoju.

— Syn przyszedł, panie inżynierze. Pyta, czy może wejść?

— Tak, proszę.

Wiktor pośpiesznie wsunął do szuflady brulion z notatkami Marty. Wszedł Michał.

— No? Co tam słycać, mój chłopcze? — zapytał Wiktor niespokojnie.

— Nic, tato. Przyszedłem się dowiedzieć... przechodziłem akurat tędy... U kapitana tatuś był?

— Byłem. Ale tam też nic nowego. Zresztą on mi się nie będzie zwierzał.

— Pewno, że nie będzie — przyznał Michał siadając na wprost ojca. — Tato, nic nie mówił? Nic w ogóle? Ani słowa?

Wiktor zawahał się. Michał widać dostrzegł ten moment zastanowienia, bo zapytał znowu:

— Ani słowa? Tato?

— Nic nowego! Jak wychodziłem, przyszedł ktoś, kto miał... — Wiktor urwał nagle.

- Co miał?
- Nic nie miał! Ktoś, z kim Ligota chciał rozmawiać o tobie i o Patryku.
- Z Komendy Ośrodka? Z Hufca?
- Nie, nie... W ogóle inaczej! On się nazywał Zabiełto.

84

Wiktor patrzył na syna w napięciu.

- No, to ja leżę — powiedział Michał desperacko. — Teraz, tato, to ja już leżę! Oni mnie zawiesili w klubie za awanturę z Patrykiem.
- Dlaczego mówisz mi o tym dopiero teraz?
- Czy ja wiedziałem, że to wyplynie? Skąd mogłem przypuszczać, że Ligota dogrzebie się do Zabiełty?
- Michał, przywiązujesz dużą wagę do tego, co Zabiełto może powiedzieć?
- Tak. On żądał, żeby mnie usunęli z klubu. Ale potem kierownik wstawił się za mną i Zabiełto zmiękł. Teraz będzie uważał, że tamta awantura była pierwszym sygnałem. To była tego rodzaju historia, że byłem wściekły na Patryka i poniosło mnie na planszy. Potem Zabiełto kazał nam iść do kierownika i tam...

Michał przerwał, jakby usiłował przypomnieć sobie tę chwilę z drobiazgową dokładnością.

- Tak... Jeżeli Zabiełto to pamięta, powie Ligocie! Boja przy nim i przy kierowniku powiedziałem coś w tym sensie, że... — znowu urwał i ściągnął brwi.
- Co powiedziałeś? — krzyknął Wiktor tracąc panowanie nad sobą. — No wykrztuś wreszcie!
- Przeprosiłem Patryka...
- No to w porządku, o co ci chodzi?
- ...ale powiedziałem, że jeżeli nie przestanie wchodzić mi w drogę, to go kiedyś ukatrupię.
- Użyłeś tego zwrotu?
- Tak — potwierdził Michał, oblizując zaschnięte usta i z wysiłkiem przełykając ślinę — tak powiedziałem, tato!
- I Patryk nie przestał wchodzić ci w drogę — zauważył Wiktor sucho — wszyscy wiedzą, że nie przestał! Odgrażałeś mu się jak szczeniak i od tych pogroźek właściwie rozpoczęło się

śledztwo. Od pogrózek! Powiedz mi jeszcze raz, jak to było, Michał. Dlaczego ten twój przyboczny, Pijanowski, zadzwonił po milicję?

— Jak to dlaczego? Wybiegł nad jezioro, zobaczył dwa kajaki wywrócone do góry dnem i miał nie dzwonić? Musiał zadzwonić!

— Nie o to mi chodzi! — zirytował się Wiktor. — Dlaczego on ciebie z punktu obciążył? Dlaczego Pijanowski nie powiedział, że to był zwykły

85

wypadek? Że chciałeś zatrzymać Patryka, ponieważ byłeś odpowiedzialny za obóz? Dlaczego on ciebie obciążył? Tak jak mi to Ligota przedstawił, większa część obozu podzielała zdanie Pijanowskiego.

— Wiesz dlaczego, tato, nie męcz mnie.

— Sformułuj mi to jeszcze raz. Zrozum, może przypomnisz sobie coś, co zostało przez Pijanowskiego przekręcone.

— Nic nie zostało przekręcone. Ja, tato, nie mam zamiaru chować głowy w piasek.

— A ja ci nie każę! Proszę, żebyś mi powtórzył, i chyba, na miłosierdzie boskie, możesz to dla mnie zrobić.

— Więc... jak oni skończyli tę całą akcję nad jeziorem, któryś z milicjantów zapytał Pijanowskiego, kto tu jest odpowiedzialny za obóz i za sprzęt pływający, znaczy za kajaki. Ja byłem za wszystko odpowiedzialny, jako komendant obozu i ratownik. Pijanowski to stwierdził zgodnie z prawdą. Ale potem spojrzał na mnie i powiedział tak, że milicjanci słyszeli:

„Ale ja, ja sobie nie dam głowy uciąć, czyś ty tego nie zrobił naumyślnie, Michał. Tyś nienawidził Patryka, to my wszyscy wiemy!”

— I wtedy milicjant uczeplił się. Zaczął wypytywać, przydusił Pijanowskiego i ten powtórzył mu to, co sam zaobserwował, co słyszał. Potem inni dołożyli swoje. To wystarczyło. Czy tutaj nie można dostać herbaty, tato?

Wiktor oparł łokcie na biurku i podparł czoło rękoma.

— Herbaty... — powtórzył — herbaty... tak! Możesz dostać herbaty, oczywiście.

Potem siedział bez ruchu.

— A teraz Zabiełto — powiedział Michał po chwili. — Nie wiem, tato, co mam robić? Iść do Ligoty czy czekać?

— Czekać! — zdecydował Wiktor natychmiast. — Jeżeli będzie chciał z tobą rozmawiać, to sam cię wezwie.

Wstał i podszedł do drzwi.

— Pani Basiu! Czy nie mogłaby pani przynieść mi dwóch szklanek herbaty? — poprosił zaglądając do sąsiedniego pokoju.

— Nie rozumiem, dlaczego oni mnie nie aresztują? — zapytał Michał, kiedy Wiktor usiadł za biurkiem. —: Przecież w tej chwili wszystko świadczy przeciwko mnie.

86

— Odpowiedzialny za nienależyte zabezpieczenie sprzętu pływającego odpowiada z wolnej stopy, Michał. W tej chwili nie dowiedli ci niczego więcej. Reszta to poszlaki. Oni sami czekają, aż śledztwo przyniesie konkretne rezultaty. A właściwie... właściwie to przede wszystkim czekają na wiadomości z Nidzicy.

— Tato! Mam do ciebie prośbę. — Michał przez chwilę wpatrywał się w aparat telefoniczny, potem podniósł słuchawkę i podał ją Wiktorowi. — Tato, zadzwoń do Ligoty!

— Przecież byłem u niego dziś rano, nie mogę tak — odparł Wiktor i niezdecydowanym ruchem wziął słuchawkę z ręki Michała.

— Sam nie wiem...

Michał siedział przed nim nieruchomo, z rozchyłonymi, spieczonymi ustami, przez które z wysiłkiem wciągał powietrze.

— Tato!

W tej samej chwili do pokoju weszła Basia z dwoma szklankami herbaty. Wiktor odłożył słuchawkę na widełki.

— Dziękuję pani.

— Cukier pan ma?

— Mam.

Rozległ się ostry dzwonek telefonu.

— Halo?

Ze słuchawki dobiegł donośny głos kapitana, ale Michał nie mógł rozróżnić słów. Wpatrywał się w ojca, jakby chciał odczytać z jego twarzy to wszystko, co Ligota przekazywał mu w tej chwili.

— Tak, tak... Rozumiem, rozumiem... — powtarzał Wiktor.

— Oczywiście, trzeba czekać dalej. Dziękuję panu, do widzenia.

— No co, tato?

— Nic nie mówił o Zabielle. Chciał tylko zawiadomić, że rozmawiał telefonicznie z lekarzem dyżurnym w Nidzicy, który powiedział mu, że nie jest gorzej.

Michał pochylił głowę.

— To znaczy, że ciągle jest bardzo źle — szepnął. Wiktor podsunął mu szklankę z herbatą.

— Nie, tato... za chwilę. Teraz nie mogę.

* * *

87

10 marca

Jakie to dziwne! Tym jednym, małym słowem Michał otworzył przede mną świat. Teraz widzę, jakie cudne jest wszystko wokół mnie. Nawet kiedy budzi mnie szary, pochmurny dzień, jest mi to obojętne, bo mam własne słońce, które noszę w sobie, słońce na swój prywatny użytek. Ten ostatni tydzień zmienił mnie. Dostrzegam to sama. Jestem lepsza, cieplejsza, bardziej wyrozumiała. Nic mnie nie drażni, nie wyprowadza z równowagi. Kiedy zmywam naczynia po obiedzie, śpiewam. Kiedy mama chce przyszyć mi guziki do płaszcza, wyjmuję jej igłę z rąk. Kiedy Wiktor woła:

— Marto, wyprowadź psa.

— Naturalnie, Wiktorze! — odpowiadam i lecę z Shimmym na złamanie karku.

A to wszystko dlatego, że wiem! Że Michał nareszcie powiedział mi słowo, na które czekałam tyle czasu! Mówi się, że zakochanie zabiera dziewczętom czas i ochotę do nauki, a ze mną jest zupełnie inaczej. Wszystko tak szybko wchodzi mi do głowy. Pewnie dlatego, że nie potrzebuję się już martwić swoją samotnością, nie męczy mnie pragnienie, żeby kogoś mieć tylko dla siebie, kogoś własnego, jedyne, najmilszego. Tak jak mama Wiktora, Marysia Julka, tak ja mam teraz Michała.

Pamiętam, kiedy byłam mała i chodziłam do przedszkola, pani kazała nam kiedyś przynieść ze sobą nasze ukochane misie. I wszystkie dzieci z mojej grupy przyszły następnego dnia z misiami, tylko ja nie. Bo nie miałam misia. Miałam lalki, nawet bardzo ładne, miałam pieski, kotki, a misia nie. Więc wzięłam ze sobą lalkę Florę. Flora była urodziwa, wytwornie ubrana i mówiła „mama”, kiedy przechylało się do tyłu. Byłam dumna, kiedy niosłam Florę do przedszkola. Po śniadaniu pani kazała nam usiąść na krzeselkach, przytulić misie do siebie, kołysać je i śpiewać im piosenkę, której nauczyła nas poprzedniego dnia. Ja przytuliłam Florę. Ale ona była strasznie sztywna, ręce i nogi sterczały jej drętwą i leżała w moich ramionach

jak kawałek drewna. A wszystkie misie potrafiły się przytulać, były strasznie miłe, swojskie, chociaż niektóre z nich miały poobrywane uszy albo sterczące, czarne nitki zamiast nosów. Tego dnia tatuś przyszedł po mnie do przedszkola

88

i zastał mnie zapuchniętą z płaczu. Pani powiedziała mu, dlaczego beczę.

— Martuniu — powiedział — uspokój się! Zaraz pójdziemy i kupię ci najpiękniejszego misia, jaki tylko będzie w sklepie.

I wtedy zaczęłam ryczeć jeszcze bardziej i jeszcze głośniej. Bo chciałam mieć misia z oberwanym uchem, z nitkami zamiast nosa i z kulawą nogą. Tatuś mi wytłumaczył, że takiego misia nie dostanie się w żadnym sklepie, że na oberwane ucho każdy miś musi sobie zasłużyć.

Dostałam misia. Siedzi teraz na wprost mnie i długie dziesięć lat naszego wspólnego życia przydało mu tych cech, o których kiedyś marzyłam.

Tydzień temu dostałam — Michała. Zabawna jest ta analogia imion, bo mój miś też nazywa się Michał. Żywy Michał jest jeszcze nowy, ale moje pragnienie posiadania go na własność było chyba bardzo zbliżone do tamtego dziecinnego pragnienia. Może to śmieszne, ale także myślę o tym, jak to będzie pięknie, kiedy minie pewien okres i Michał stanie mi się jeszcze bliższy, jeszcze bardziej nieodzowny.

— Michał — powiedziałam mu wczoraj — nie masz pojęcia, jakbym chciała, żebyś miał już naderwane ucho!

Przyjrzał mi się podejrzliwie.

— Naderwane ucho? — nie dowierzał. — O co ci chodzi? Opowiedziałam mu historię z Florą. Wziął mojego misia do ręki

i oglądał go na wszystkie strony.

— Hm... — mruknął — to właściwie ostatnia chwila, żeby się wycofać z tego interesu, jeżeli za dziesięć lat mam wyglądać tak jak on. Zachęcające to nie jest, chyba sama przyznasz?

— Ale czy ty wiesz, jak go kocham? Im bardziej sypią się z niego trociny, tym jest mi bliższy.

Michał rozejrzał się dokoła siebie.

— Ze mnie się jeszcze nic nie sypie, ale czuję, że włosy mi już siwieją od słuchania twoich wynurzeń. Te perspektywy są koszmarnie, daję słowo.

W tej samej chwili mama i Wiktor weszli do pokoju.

— Tato! — zawołał Michał, trzymając mojego misia w dwóch palcach i z daleka od siebie. — Czy ty też uważasz, że ten insekt jest wart miłości? I to głównie dlatego, że sypią się z niego trociny?

89

— Nie bądź taki powierzchowny, mój drogi — powiedział Wiktor biorąc misia z ręki Michała. — Zastanów się lepiej, jak do tego doszło. Ile przytulań, ile pocałunków lepką buzią, ile miłości... Nie wolno tym gardzić i Marta ma rację, że go dotąd kocha.

— Jesteś mądry, Wiktorze — zawołałam spontanicznie —, i Michał nie dorasta ci nawet do pięt!

— Ależ, tato — przerwał Michał — przecież ona tego faceta doprowadziła swoją miłością do kompletnej ruiny. I ty to pochwalasz? No, popatrz, popatrz! Przecież to jest ofiara, jak on wygląda?

— Dobrze wygląda — odparł Wiktor. — Tak powinien wyglądać każdy prawidłowo kochany miś.

— Widzisz? — ucieszyłam się. — Widzisz?

— Ano, widzę — mruknął Michał i usadowił miśka na jego miejscu pod lampą.

Jest cudownie! Jest tak cudownie, że aż się w głowie nie mieści!

12 marca

Dziś po południu zadzwonił Patryk. Bardzo poważnym głosem poprosił mnie o spotkanie.

— Chciałbym porozmawiać z tobą na temat Michała i tamtej sprawy. Przez telefon nie można, sama rozumiesz.

Umówiłam się z nim na jutro. Nie będzie to przyjemna rozmowa, ale Patryk jest w pewnym sensie osobą poszkodowaną w tym wszystkim. Zresztą ja sama też chcę z nim porozmawiać. Zobaczymy, jak to wszystko wypadnie.

Jestem zmordowana. Kułyśmy z Mańką geografię, aż do chwili kiedy poczułyśmy zupełny galimatias w głowach.

— To chyba znaczy, że wszystko umiemy — zawyrokowała Mańka.

Ale jeszcze została nam chemia i zadania z matmy. Łeb mi pękał, chemię jakoś przebrnęłam, ale przy zadaniach załamalam się zupełnie. Mańka zrobiła je sama, a ja runęłam na tapczan i wstałam do gotowego. Przepisałam, pogadałyśmy chwilę, Mańka spłynęła do domu, a ja zaraz — w bety. Wyjęłam ten brulion tylko po to, żeby zanotować telefon od Patryka. Ale na dłuższe pisanie nie mam siły.

15 marca

W domu szpital. Ja mam grypę, mama ma grypę, Wiktor ma grypę! Leżymy w łózkach i tylko od czasu do czasu któreś z nas wstaje i szykuje prowizoryczne żarcie. Po południu wpada Michał, wyprowadza psa, leci po zakupy, zamiata mieszkanie i gna do siebie, bo ma teraz masę roboty. Za dwa miesiące jego matura! Jestem zupełnie spokojna, że zda, ale denerwować będę się potwornie.

Spotkanie z Patrykiem doszło do skutku, ale ja już wtedy byłam taka chora, że nie bardzo mogłam zebrać myśli. Patryk rozmawiał ze mną dziwnie. Najpierw długo wyliczał Michała zalety, a kiedy wyczerpał już cały asortyment, gładko wytknął wszystkie jego wady. Mowy o zaletach wysłuchałam w grobowym milczeniu, ale przy wadach nie wytrzymałam.

— Wiesz, Patryk, nie wiem, po co mówisz mi te rzeczy? Ostatecznie stać mnie na własny sąd o Michale!

— Po co ci mówię? — obruszył się Patryk. — Ależ tylko dlatego, że chcę ci coś poradzić. Uważam, że z tej scysji, która była pomiędzy mną a Michałem, powinnaś wyciągnąć wnioski dla siebie. — Po chwili dorzucił: — Ja bym cię nigdy nie naraził na uczestniczenie w takim posępnym widowisku. Stanowczo musisz oprzytomnieć, Marta!

— Jestem przytomna — zapewniłam go — i jeśli chcesz wiedzieć, uważam, że w tym było dużo mojej winy.

— No! Już twojej winy na pewno nie było! Mogła być moja wina. — Nachylił się i powiedział cicho: — Bo to ja, Marto, chcę być twoim cieniem.

Zabrzmiało to miękko i mile. Nie stać mnie było na święte oburzenie. Dochodziliśmy właśnie do rogu Wareckiej i Baczyńskiego, gęsta mgła wypełniała wieczór. Patryk pochylił głowę jeszcze niżej i poczułam, że dotyka policzkiem mojej czapki.

— Może uważasz mnie za narwańca i nic dobrego... może nawet masz rację oceniając mnie w ten sposób, ale żaden twój sąd nie zmieni faktu, że chcę być twoim cieniem.

— Nie, nie mów tak, Patryk, bo jest mi tylko ogromnie przykro.

— Tylko ogromnie przykro — powtórzył — i naprawdę nic więcej?

— Nic! — powiedziałałam stanowczo.

Bo ja na pewno kocham Michała. Chociaż jest porywczy, impulsywny, stokroć bardziej trudny we współżyciu niż Patryk. Chociaż jest skryty i nie potrafi mówić o swoim uczuciu tak ładnie,

jak on. Gdyby nie było Michała, Patryk z pewnością miałby u mnie szansę. Ale jest Michał, i jak to dobrze, że jest!

18 marca

Dziś mama i Wiktor poszli do pracy. Ja jeszcze siedzę w domu, ale nie leżę już w łóżku, tylko snuję się po pustym mieszkaniu i nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić. Nudzę się? Nie, nawet nie to. Mam po prostu zbyt wiele czasu na myślenie, ściślej — na planowanie. Ach, jakbym chciała, żeby już minęło najbliższe pięć lat. Potem czas może się wlec w żółtym tempie. Dziś przy sprzątanii wymiotłam spod tapczana Wiktora domowy pantofel mamy. To może głupie, ale dość długo trzymałam go w ręku. „Wspólne życie z Michałem — myślałam — to wspólny dom, wspólne zakupy, wspólne marzenia, ale przecież także i to... mój domowy pantofel pod jego tapczanem. Niby prozaiczna rzecz, a przecież zamyka się tu cała poezja! " Mamy pantofel z lekko przydeptaną piętą przysporzył mi tego dnia masę wzruszeń. I to nie tylko na tematy własne. Pomyślałam sobie, że muszę zdobyć się na żelazny wysiłek i jakoś ułożyć sprawę pomiędzy mną i Wiktorem, bo Michał chyba ma rację. Odejdę z tego domu za kilka lat, a pod tapczanem Wiktora zostanie mamy pantofel, ich własna sprawa, która toczyć się będzie dalej. Drażni mnie masę rzeczy: Wiktora nawyczki takie jak stukanie fajką o popielniczkę, idiotyczne „O sole mio", które śpiewa przy goleniu dzień w dzień, drażni mnie jego łapczywy sposób jedzenia, pośpieszne tykanie wielkich kęsów mięsa, jak gdyby bał się, że któraś z nas może wydrzeć mu sznyceł z gardła. Kiedy woła na cały dom: „Marto, pies piszczy!", mam ochotę złapać pierwszy lepszy przedmiot, byle ciężki, i trzasnąć nim w podłogę. Ale mamy to nie drażni, więc postawiłam jej pantofel pod tapczanem Wiktora, niech dalej ciągnie się ten wiersz, który układają oboje strofka po strofke.

Wieczorem

Trzeba mieć żelazne nerwy. Wiktor wrócił z pracy pierwszy i zaraz zaczął łomotać w kuchni garnkami. Zajrzałam tam pełna najlepszych

92

intencji. Chciałam mu pomóc, ale on w ogóle nie dał mi dojść do słowa.

- Czy doprawdy nie mogłaś obrać ziemniaków, Marto? Przecież jesteś już na chodzie!
- Nie wiedziałam, co ma być na obiad.
- Mama mówiła wczoraj przy kolacji. Ja słyszałam, a ty nie?
- Mówiła, rzeczywiście — przyznałam — ale na śmierć zapomniałam.
- Przecież nie można wszystkiego zwałać na mamę. Jeżeli zapomniałaś, mogłaś do niej zadzwonić, zapytać. A nawet mogłaś zaplanować jakiś inny obiad z tych rzeczy, które są w domu.

Obierał ziemniaki z taką pasją, że tylko fruwały po kuchni. Trudno przejść obojętnie obok takiej sprawy, ale zacięłam zęby i przeszłam.

19 marca

Dziś sprawa z ziemniakami nie wydaje mi się taka drastyczna jak wczoraj. Może dlatego, że byłam już w szkole, a to natychmiast pomaga mi odzyskać równowagę, którą tracę po dłuższym okresie drętwego siedzenia w domu. Chociaż ten tydzień w szkole nie był wcale taki najlepszy, bo zadarłam z panią Rochowiecką.

- Marto, powiedz wszystko, co wiesz o wojnach religijnych we Francji.
- Ja nic nie wiem, proszę pani, bo wtedy chorowałam.
- Tyś chorowała w tym tygodniu, a wojny religijne we Francji toczyły się w latach 1563-1598 — zauważyła bystro. ' ?
- Ale ja miałam grypę.
- To też nie ma nic wspólnego z hugenotami, o których uczyłaś się już w ubiegłym roku.

I w tym miejscu Rochowiecką urządziła mi indywidualną noc świętego Bartłomieja.

Ale skoro przeżyłam fruwanie ziemniaków po naszej kuchni, przeżyję i to. Jestem widać jednym z tych hugenotów, którzy przetrwali. Mam także swoją twierdzę La Rochelle — Michała.

93

24 marca

Tak niedawno było Boże Narodzenie, a już święta wielkanocne zaglądają przez świeżo umyte szyby w moim oknie. W całym domu pachnie pasta do podłogi, ciasto i wiosna. Ale tym razem nie będzie tak pięknie jak w grudniu, bo Michał przyjdzie tylko pierwszego dnia świąt przed południem. Resztę czasu spędzi ze swoją mamą. Tu muszę zanotować wielkoduszny gest ze strony Weroniki — zaprosiła mnie. Michał zakomunikował wczoraj, kiedy wszyscy siedzieliśmy w kuchni, wdychając namiętne fascynujący zapach maminych ciast:

- Anno, moja mama pyta, czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby Marta przyjechała do nas w drugi dzień świąt?
- W drugi dzień świąt? — Powtórzyła mama i spojrzała na mnie wzrokiem, w którym odczytałam wyraźne pytanie: „Marto, czy naprawdę zrobisz mi coś takiego?”

Zapanowała grobowa cisza i tylko imbryk pogwizdywał na gazie. Wiktor odezwał się pierwszy:

- No, jak? Puścisz Martę, Anno?

— To już od niej zależy — powiedziała mama nacierając foremkę tłuszczem — to już jak Marta sobie chce.

Wolałabym, żeby konkretnie powiedziała tak czy nie. Zostawienie mi wolnej ręki stawiało mnie w bardzo trudnej sytuacji. Spojrzałam na Wiktora, zauważył to i leciutko wzruszył ramionami, co miało oznaczać jego bezradność. Najwyraźniej nie chciał popierać Weroniki, ale chciał, żebym pojechała.

Mama odrzuciła włosy do tyłu podtrzymując je przedramieniem, bo ręce miała lśniące od tłuszczu. Znałam ten gest, była zdenerwowana.

— Podziękuj mamie... — zwróciłam się do Michała. — Powiedz, że... — zająknęłam się — powiedz, że nie będę mogła przyjechać, bo...

— ...bo już inaczej zaplanowaliśmy święta — dokończył za mnie Wiktor.

Byłam mu wdzięczna za ten wykręt, ale nie mogłam powstrzymać myśli, że Wiktor wspaniale wie, w jaki sposób najłatwiej oszukiwać Weronikę.

— Dobrze, powtórzę — powiedział Michał smętnie! Zostaliśmy w kuchni sami, żeby przypilnować ciasta wstawionego

już do piecyka.

94

— Nie mówiłem ci nic, bo chciałem, żebyś miała niespodziankę. Byłem pewien, że się ucieszysz i byłem pewien, że Anna nie będzie stawiała sprzeciwu.

L — Zasadniczo pozwoliła mi. Mogłabym pojechać, ale mama miała taką minę...

— No tak... nie ma o czym mówić! — powiedział, wiedziałam jednak, że jest zawiedziony.

? — Ale ty chyba wiesz, że gdyby o mnie chodziło, rozumiesz, tylko o mnie, przyjechałabym na pewno.

— Mojej mamie będzie przykro — zasępił się — ale ona przypuszczała, że Anna nie zachwyci się tym projektem. To ja myślałem inaczej.

Wiktor wszedł do kuchni, żeby wysypać popiół z popielniczki.

— Cóż siedzicie jak wróble na dachu? Miałaś ochotę jechać? Miałam tak straszną ochotę jechać, aż ścisnęło mnie w gardle

z rozpacz, że to nie może dojść do skutku. Nie odpowiedziałam, tylko skinęłam głową potakująco.) Wiktor stał na wprost mnie i stuknął tą swoją cholerną fajką

w popielniczkę.

— Mama jest bardzo wrażliwa — wyjaśnił mi — i myślę, że może nawet podświadomie chce oddzielić wszystko, co było, od tego co jest.

Wiktor nie powiedział wyraźnie, ale zrozumiałam doskonale: Mama jest zazdrosna! Zazdrosna o całą Wiktora przeszłość, o te chwile szczęścia, które kiedyś musiał przeżyć z Weroniką. Wysiliłam się na uśmiech.

— Mama jest w takim razie stuprocentową kobietą — powiedziałam — ze wszystkimi zaletami i wadami przypisywanymi naszej płci.

— Masz rację — zgodził się Wiktor.

— Może być stuprocentową kobietą, ale dlaczego Marta ma płacić odsetki od tej kobiecości?

— Bo jest jej córką, rozumiesz? — Wiktor uśmiechnął się żartobliwie. — Lojalną i kochającą.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby przede wszystkim Marta była sobą?

— Mam nadzieję, że będąc lojalną i kochającą córką jest właśnie sobą.

— Więc ty także, tato, jesteś zdania, że Marta nie powinna jechać? — zdziwił się Michał.

,

95

— Tego nie powiedziałem — Wiktor uniósł palec do góry — tego nie powiedziałem. Wy tłumaczyłem wam jedynie stanowisko Anny. Bardzo cenię i szanuję Weronikę, wiem, że Marta spędziłaby u niej uroczy dzień. Rezygnuje z tego, a ty, Michale, przed tą decyzją zdejmij kapelusz.

Wiktor odwrócił się na pięcie i wyszedł. Michał podszedł do mnie i objął mnie ramieniem. Nagle cała kuchnia, foremki z ciastem ustawione równiutko na stole, dwa upieczone już mazurki, kolorowe zasłonki w oknie — wszystko to zawirowało i przestało istnieć.

25 marca

Dziś wybrałyśmy się z Mańką na długi, wieczorny spacer. Jak ja lubię Warszawę wieczorem! Zwłaszcza w okresach przedświątecznych, kiedy wystawy sklepowe jaśnieją bardziej niż zwykle, i może dlatego całe miasto nabiera szczególnego wyrazu. Ludzie wydają się inni, domy wydają się inne i człowiek sam sobie też. Wracając zajrzałyśmy do fryzjera w Alejach, gdzie spodziewałam się zastać mamę. I rzeczywiście siedziała pod osuszaczem zawinięta w różową pelerynkę, a pani Kasia pociągała jej paznokcie emalią. Mama obrzuciła krytycznym spojrzeniem moją fryzurę.

— Jak już przysłaś, to chyba zrobimy coś z tą twoją strzechą — zdecydowała.

Myszę, że świeżo ułożone włosy Mańki zdopingowały ją do zajęcia się moją osobą.

Ale okazało się, że nikt nie ma czasu i mama zamówiła dla mnie godzinę na jutro rano. Czy to nie wspaniałe? Położę się spać z miłym przekonaniem, że pan Benedykt oczekuje mnie jutro o dziewiątej. Po prostu — wielki świat!

Dziś byliśmy w szkole po raz ostatni przed świętami. Po lekcjach poszłam do Jadwisi, żeby jej życzyć dobrego wypoczynku.

— Au ciebie jak, Marto? Układa się w domu? Skrzywiłam się za całą odpowiedź.

— Nieszczególnie? — domyśliła się.

— Staram się o tym nie myśleć, proszę pani.

— I udaje ci się?

— Nie — przyznałam.

96

— A mama jak się czuje?

— Mama wspaniale! Kwitnie!

Rzeczywiście mama wygląda znakomicie. To jedno muszę Wiktorowi przyznać — dba o nią. Może mama nie wydaje teraz takich sum na ciuchy jak dawniej, może nie troszczy się tak nieustannie o wszystkie szczegóły swojej garderoby, ale dzieje się tak tylko dlatego, że nie bardzo ma na to wszystko czas. Wiktor potrafi zaprzętnąć ją sprawami, którymi dawniej nie interesowała się wcale. Stale ulepszają dom, kupują cudne drobiazgi, malują, chuchają, odświeżają. Nie potrafię przejąć się do szpiku kości ich entuzjazmem, ale mamie jest na pewno z tym wszystkim do twarzy. Urządzanie domów jest przywilejem młodych małżeństw i mama tak dalece z niego korzysta, że aż odmłodziła.

Michał już wyjechał i zjawi się dopiero pierwszego dnia świąt. Mam nadzieję, że moja fryzura wytrzyma do tego czasu. Ale czy ja wytrzymam — oto jest pytanie!

28 marca

Wytrzymałyśmy obydwie. Michał zjawił się około jedenastej i wyglądał przewytwornie! Nawet mama, która jest oszczędna w pochwałach, musiała to przyznać. Michał ma nowy garnitur, ciemno-popielaty, i rusza się w nim bardzo sztywno. Kiedy mu to powiedziałam, odgryźł się natychmiast:

— Ty też sztywno nosisz głowę, moja droga, bojąc się o tę swoją czarującą, wykrochmaloną grzywkę.

— Jesteście w ogóle niesamowicie dorośli — powiedziała mama. — Nie uważasz, Wiktorze, że oni są już prawie w naszym wieku?

Ale Wiktor nie uważał. I w ogóle żart mamy potraktował poważnie.

— Nie, kochanie, to jeszcze jest zupełnie zielone towarzystwo, nie przewracaj im w głowach, bo i tak mają trochę przewrócone. W naszym wieku to oni będą za dwadzieścia lat, na razie są raczej na jednym stopniu rozwoju z Shimmy.

Potem śniadanie, krótka pogawędka we czwórkę i odprowadziłam Michała na dworzec Śródmieście. Pojechał, a ja wróciłam do domu, gdzie leniwie i sennie dobijam do końca dnia.

97

29 marca

Rano wyrzałam przez okno, żeby dokładniej ustalić świąteczną aurę. Ale zamiast nieba i słońca zauważyłam czyjąś znajomą sylwetkę snującą się u wylotu Baczyńskiego. Patryk! Obserwowałam go przez chwilę, wygląda tak, jakby czekał na kogoś, kto się spóźnia. Tkwiałam przy oknie dość długo i spokojnie, bo Patryk nie mógł dojrzeć mnie z tej odległości, zwłaszcza że stanęłam z boku i zerkałam spoza firanki. Nikt się nie zjawił i Patryk chodził samotnie, pomału, zabawnie przerzucając ciężar ciała to na jedną, to na drugą nogę, tak jak drepczą po stole nakręcone kaczuski.

Poszłam do kuchni, nalałam sobie kawy i złapałam kawałek ciasta. Kiedy wróciłam do swojego punktu obserwacyjnego, sytuację zastałam nie zmienioną. Ale w pewnej chwili Patryk zbliżył się do naszego domu, podniósł głowę i spojrzał w okna. Cofnęłam się gwałtownie. „Chyba czeka na mnie” — pomyślałam i nie miałam pojęcia, co o tym sądzić. Czy Patryk ma do mnie jakiś ważny interes, czy chce po prostu zobaczyć się ze mną i pogadać? Ubrałam się szybko, włożyłam Shimmy'emu obrożę i zeszałam na dół. Shimmy szczeka jak oszalały, kiedy wychodzi na dwór. W ten sposób zaanonsował nasze nadejście.

— Cześć Marta! — zawołał Patryk i zbliżył się do nas z miną człowieka, który jest ogromnie zaskoczony. — Co za spotkanie! Przechodziłem właśnie tędy i nagle słyszę, pies szczeka. Patrzę, a to Shimmy.

Przechodził tędy, pięknie...

— Dokąd idziesz? — zapytałam niewinnie.

— Do kolegi. — Nachylił się i poklepał Shimmy'ego. Spuściłam psa ze smyczy, śmignął pomiędzy nami.

— Nie przesłałyś się, Marta?

— Nie mogę — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — Zaraz idziemy z wizytą, a ja muszę się jeszcze przebrać. Wybiegłam tylko z psem.

Może to zdarzenie nie miałoby najmniejszego znaczenia, gdyby nie dalszy jego ciąg. Kiedy wróciliśmy do domu, w świetnych humorach zresztą, bo znajomi Wiktora okazali się niezwykle sympatyczni,

98

posłuchaliśmy radia i zgodnym chórem stwierdziliśmy, że szczytem naszych marzeń jest wczesne pójście spać. Poszłam do siebie i kiedy zasuwiałam firanki, znowu u wylotu Baczyńskiego dostrzegłam Patryka.

Ale tym razem nie potrzebowałam stać przy oknie, żeby dowiedzieć się, na kogo czeka.

Usiadłam na tapczanie i prawdę mówiąc przez piętnaście minut wkładałam i zdejmowałam pantofle, bo zupełnie nie mogłam podjąć decyzji: wyjść czy nie wyjść.

Wreszcie sięgnęłam po Jana Krzysztofa i z nim spędziłam resztę wieczoru.

2 kwietnia

Michał. To wszystko, co mam do zanotowania. O niczym innym nie wiem, o niczym nie chcę wiedzieć!

4 kwietnia

Zachowałam się jak ostatnia idiotka. Łażę teraz po domu i nie mogę znaleźć sobie miejsca. Jest mi głupio, jest mi wstyd, a nie mam odwagi na wycofanie się z tego, co narozrabiałam. Na historii Rochowiecka wyrwała mnie do odpowiedzi. Jeszcze nie skończyła formułować pytania, jak już wiedziałam, że za sekundę rozłożę się na dwie łopatki.

— Proszę pani — powiedziałam mężnie — czy nie mogłaby mnie pani zapytać na następnej lekcji.

— Znowu nie przygotowana? — Przez chwilę przyglądała mi się podejrzliwie i sięgnęła po ołówek.

Wiedziałam, że wlepi mi dwójkę.

— To nie to, proszę pani — brnęłam — ale wolałabym odpowiadać na następnej lekcji, bo pani jest dziś w złym humorze.

— Więc jak to? Ty uważasz, że oceny waszych wiadomości zależą od mojego humoru?

Mańka kopnęła mnie w kostkę. To było niepotrzebne, bo sama wiedziałam, że Rochowiecka nie cierpi czarujących idiotek. Ale diabeł skusił nawet taką kobietę jak Ewa, więc z Martą poszło mu bez trudu.

— No, chyba trochę zależą. Jak pani jest w dobrym humorze, łatwiej z pani wydusić jakąś czwórczynę.

— Ty chyba zapominasz, do kogo mówisz! — zawołała podniesionym głosem. — I co to za wyrażenie: wydusić czwórczynę! Poza tym stawiasz mi konkretny zarzut, że stawiam oceny zależnie od fantazji.

— Nie sądziłam, że pani poczuje się dotknięta. Spojrzała na mnie zimno.

— Przed chwilą zadałam ci pytanie! Odpowiesz mi czy nie?

— Nie, pani profesor, dziś nie będę odpowiadać.

— Uczennica odmawia mi odpowiedzi — obwieściła Rochowiec-ka przerażonej klasie. — Uczennica odmawia mi odpowiedzi, ponieważ twierdzi, że jestem w złym humorze. — A potem do mnie: Stawiam ci niedostateczny, Marto, ale to nie koniec. Natychmiast pójdziesz do pani dyrektor i powiesz jej o całej sprawie, nie omijając żadnych szczegółów! Proszę cię, wyjdź z klasy!

. No i wyszłam. Jak żyję, po raz pierwszy wyleciałam za drzwi. Rozmowa z dyrą wydawała mi się nie do uniknięcia. Zeszłam na pierwsze piętro, stanęłam przed drzwiami i przez chwilę zbierałam całą odwagę. Wreszcie zastukałam.

— Proszę.

Weszłam i zapytałam pani sekretarki:

— Czy jest pani Oryłowa?

— Nie, moja droga, przed chwilą wyszła, spóźniła się pół minuty. A co takiego?

— Pani Rochowiecka mnie przysłała — powiedziałam ogólnikowo.

— Zbiegnij na dół, może jeszcze złapiesz panią dyrektor. Ale tylko w tym wypadku, jeżeli to rzeczywiście ważna sprawa. Pani Oryłowa jest chora i poszła do domu. Nie będzie jej przez kilka dni.

Wystrzeliłam na schody, na parter, dyry nigdzie nie było. Kiedy wracałam już do klasy, narodził mi się w głowie pomysł, który był również skrojony na miarę szatana.

— Byłaś u pani dyrektor? — zapytała Rochowiecka.

— Tak.

— Co ci powiedziała?

— Kazała mi panią przeprosić i obiecać, że to się więcej nie powtórzy. Przepraszam panią.

Pani Rochowiecka złagodniała.

— Siadaj, Marto. Masz u mnie dwie dwójki w tym okresie. Zapytam cię na następnej lekcji, obiecuję ci to, chociaż jestem w tej chwili naprawdę w bardzo złym humorze.

— Dziękuję pani.

Na przerwie poszłam krok w krok za panią Rochowiecka. Tak jak sądziłam, pognąła do gabinetu dyry. Uspokoiliam się. Tam sekretarka na pewno powiedziała, że dyry już nie zastałam i obydwie wydeduku-ja, że rozmawiałam z nią na dole. A kiedy pani Oryłowa wróci po chorobie, ta sprawa dawno przyschnie. Ale jest mi głupio, obrzydliwie!

? kwietnia

Gdyby Rochowiecka zapytała mnie o panią Walewską, odpowiedziałabym na piątkę. Ale ona pyta tylko o Napoleona. Uczę się jak opętana, Mańka wkuwa ze mną. Wczoraj wieczorem przyszedł Michał. Posadziłam go na swoim tapczanie, dałam książkę do historii w garść, stanęłam tyłem do niego, żeby się nie rozpraszać, deklamowałam wojny napoleońskie. Kiedy się odwróciłam, książka leżała na podłodze, a Michał spał. Oto jak wygląda miłość nastolatków!

8 kwietnia

Jest we mnie w tej chwili jedynie wielki chaos i nie wiem, czy potrafię się zdobyć na sensowną relację z dzisiejszego dnia. A był to z pewnością jeden z najgorszych dni, które przeżyłam dotąd. Nienawidzę Wiktora! Nienawidzę go i wiem, że nie potrafię się już zdobyć na cierpliwość w stosunku do niego, chociaż tak niedawno solennie to sobie obiecywałam. Ostatnio nie było między nami żadnych scysji, głównie dlatego, że chowałam do kieszeni wiele rzeczy. Ze względu na mamę, ze względu na Michała. Nie mogę dłużej. Wiktor nie ma prawa mieszać się do moich spraw! Nie jest ani moim ojcem, ani bratem, ani swatem. Jest dla mnie obcym człowiekiem i fakt, że poślubił mamę, niczego nie zmienia. Nie ze mną się żenił, tylko z mamą, ja też go sobie nie wybierałam. Ale widocznie za długo był spokoj i względnie układne stosunki między nami znudziły się Wiktorowi. Nie wiem, jak teraz ułożyć się życie w tym domu. Zamierzam traktować Wiktora jak

101

powietrze. Czy doprawdy po to kupił mi psa, żeby mieć punkt zaczepienia dla awantur?

Całe popołudnie siedziałam nad lekcjami, głównie nad historią. Widział przecież, że się nie objam. Czy nie mógł sam wyprowadzić Shimmy'ego? Czy to jest taka straszna fatyga wyjść z psem przed dom?

— Marto, mam wrażenie, że ty dziś za długo się uczysz — powiedział wchodząc do mojego pokoju. — Jest już ósma, zaraz będzie kolacja. Radziłbym ci złożyć ten cały majdan i wyjść z psem. Mały spacer dobrze ci zrobi.

— Dobrze — odparłam — zaraz kończę.

Po piętnastu minutach Wiktor zjawił się znowu.

— Marto! Bardzo cię proszę, zrób, jak ci radzę. Ślęczysz całe popołudnie i nie chce mi się wierzyć, żebyś w tej chwili mogła rozumieć cokolwiek z tego, co czytasz.

— Ja nie czytam, tylko się uczę. Mam odpowiadać z historii — sprostowałam.

— To obojętne! Jeżeli chcesz, mogę cię obudzić jutro dużo wcześniej, powtórzysz sobie.

To byłoby głupstwo. Wiktor mówił dość serdecznie, przyznaję, i nawet miał rację, bo istotnie niewiele zostawało mi w głowie z przerabianego materiału. Byłam bardzo zmęczona. Zjadłam kolację i wyszłam z psem.

Na dole czekał Patryk.

— Znowu idziesz do kolegi? — zapytałam udając kompletną nieświadomość.

— Nie — powiedział z wahaniem. — Chciałem się przejść, bo wieczór taki ładny, i pomyślałem, że może i ty wyjdiesz z psem. Zgodziło się.

Poszliśmy razem Warecką do Nowego Światu. Patryk jak Patryk. On zawsze jest miły! Pomyślałam sobie zresztą, że należy mu się w końcu ten spacer za wierne wyczekiwanie pod moim domem. Wieczór był dziś wyjątkowo piękny i kiedy doszliśmy do placu Trzech Krzyży, wprost automatycznie nogi poniosły nas do Parku Kultury. Lubię tę szeroką aleję oświetloną z obydwóch stron latarniami, tę, która ciągnie się aż do płyty czerniakowskiej i kończy nad brzegiem

102

Wisły. A tam wiatr, chłodny, świeży podmuch wiosny. Po całodziennym wysiłku wdychałam go głęboko i był to jakiś relaks cudowny, regenerujący siły i myśli.

— Cieszę się, żeś mnie namówił na ten spacer, Patryk — powiedziałam szczerze. — Był mi bardzo potrzebny.

Do tej pory Patryk wytrzymał i opowiadał mi jedynie o swoich krewnych w Nidzicy, o wakacjach, które zawsze u nich spędzał, teraz jednak pozwolił sobie na zmianę stylu rozmowy.

— A ja ci nie byłem potrzebny? Tylko spacer się liczy?

— Skąd! Ogromnie cię lubię i oczywiście jesteś filarem tego wieczoru.

— To bardzo wymijająca odpowiedź, sama przyznasz.

— Przecież ślicznie to powiedziałam. Posłuchaj jeszcze raz: jesteś filarem tego wieczoru. Sama Jasnorzewska nie powstydziałaby się takiego określenia, a ty się jeszcze dąsasz? Wyobraź sobie: jesteś filarem, który utrzymuje nade mną całe to niebo, ciemne, mroczne, usypane drobnymi cętkami gwiazd, które, owszem, rozjaśniają, ale przecież nie dają światła konkretnego, jak na przykład ta latarnia albo tamta.

Spojrzałam w górę, żeby przekonać się, czy aby na pewno są tego wieczoru gwiazdy na niebie. Były.

— Mów dalej — poprosił Patryk.

— Więc jesteś filarem, za którym mogę się ukryć przed podmuchami wiatru...

— Ale odpowiedz mi na pytanie: czy ten filar jest ci potrzebny?

— Oczywiście — zapewniałam Patryka — inaczej całe niebo zwałiłoby mi się na głowę razem z gwiazdami i księżycem, który sam przyznasz, głupio wygląda, bo podobny jest dziś do obciętego paznokcia.

— Marto, powiedz naprawdę!

Patryk chciał objąć mnie i zapewne przytulić do siebie, ale oparłam mu ręce na ramionach i odepchnęłam go lekko.

— Człowieku — powiedziałam — nie jestem z tych, które lecą na każde gwizdnięcie Patryka.

Stał na wprost mnie bez słowa i przyglądał mi się z wyraźnym zaskoczeniem.

103

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał wreszcie.

— To czego się domyślasz i co ci zapewne przypominałam tym zdaniem.

— Tak — przyznał — powiedziałem kiedyś coś na ten temat. Powiedziałem w rozmowie z Michałem i on ci powtórzył. Ale to było dawno, Marto. W tej chwili wiem, że nie jesteś dziewczyną, która przyleci na każde moje gwizdnięcie. Więcej wiem, że nie potrafiłbym gwizdnąć.

To co mówił, na pewno było szczere.

— To dobrze, że zmieniłeś zdanie na temat mojej osoby. Tamta twoja opinia wyjątkowo mi nie odpowiadała. Więc jak z tą Nidzicą? Pojedziesz na całe dwa miesiące?

Zaczęłam iść w stronę szerokiej alei parku, obok mnie Patryk, nieskory do rozmowy.

— Na całe dwa miesiące? — powtórzyłam swoje pytanie. Przytrzymał mnie za łokieć.

— Marto.

— Daj spokój!

— Porozmawiaj ze mną jeszcze chwilę o tamtym.

— Nie! Ja o tamtym już nie chcę rozmawiać! Temat jest znakomicie wyczerpany, to raz, zrobiło się późno, to dwa!

Mówiąc to, odruchowo spojrzałam na zegarek. I w świetle latarni zobaczyłam dwie wskazówki na godzinie jedenastej.

— Patryk! Jest za pięć jedenasta! — zawołałam. — Ja natychmiast muszę być w domu!

Przeraziłam się. „Mama i Wiktor szaleją ze zdenerwowania” — pomyślałam i poczułam się tak, jakby ktoś zanurzył mnie po uszy w zimnej wodzie. Patryk błyskawicznie zorientował się, że sytuacja jest paskudna. Wziął mnie za rękę i szybko pobiegliśmy w stronę Czerniakowskiej. Shimmy leciał obok nas z wywieszonym językiem.

— Na rogu Czerniakowskiej i Ludnej jest postój taksówek. Może coś złapiemy! — zawołał Patryk, kiedy dobiegaliśmy do jezdni.

— Nie mam pieniędzy! — zorientowałam się.

— Ja mam!

— Ale to może być już nocna taksa!

— Wystarczy mi.

104

Na postoju stała warszawa. Patryk szybko otworzył drzwiczki, władował mnie i psa, potem wsiadł sam.

— Baczyńskiego! Tylko bardzo prędko, dobrze, proszę pana?

— Mnie się nie spieszy na tamten świat — trzeźwo odparł kierowca — pojedę jak trzeba, ani szybciej, ani wolniej.

A jednak szybko jechał w górę Książęcej. Było mi niedobrze ze zdenerwowania i czułam, że serce łomocze mi jak wściekłe. Shimmy wiercił się i popiskiwał. Pochyliłam się nad nim i nagle poczułam na swojej szyi usta Patryka.

— Uspokój się — syknęłam.

Shimmy darł moje pończochy pazurami, Patryk ręką podgarnął mi włosy do góry, obydwaj zachowywali się tak, że nie wiedziałam, od którego mam się najpierw opędząć.

Wjechaliśmy w Nowy Świat, opustoszały już i śpiący.

— Patryk, błagam cię...

— To ja cię błagam, Marto — odpowiedział z ustami przy moim uchu — to ja cię błagam, żebyś mnie w końcu dostrzegła!

— Ależ dostrzegam cię, tylko daj mi teraz spokój, bo w końcu oszaleję! — odpowiedziałam niecierpliwie.

Shimmy zaczął wycić i przy akompaniamencie jego zawodzenia wjechaliśmy w Baczyńskiego. Patryk zapłacił i pomógł wyładować mi się z taksówki.

— Dzięki, Patryk. Jutro zwrócę ci forszę, dobra?

— Nie myśl o tym wcale. Marto... — zaczął.

— Słuchaj, ja już nie mogę ani słowa, zrozum! Jest po jedenastej. Nie, nie odprowadzaj mnie pod sam dom, bo mama może tkwić w oknie.

Patryk posłusznie pobiegł w stronę Górskiego, a ja odwróciłam się i... zobaczyłam przed sobą Wiktora.

Nie potrafię opisać jego spojrzenia, ale zapamiętam je sobie na całe życie, to pewne. Wziął ode mnie smycz i zamasztył ruchem ręki wskazał drzwi naszej klatki schodowej. Tylko ten gest. Bez słów. Weszliśmy na górę, mama stała na korytarzu drugiego piętra.

— Och, Marta — zawołała na nasz widok — jak mogłaś! I w ogóle, jak ty wyglądasz! Co to wszystko ma znaczyć?

— Wejdźcie do mieszkania — zażądał Wiktor oschle. — To nie jest miejsce na rozmowy!

105

— Gdzieś ty ją znalazł, Wiktorze? Spójrz w lustro, Marto, i zobacz. Spojrzałam. No, tak... Każdy włos w inną stronę, wypieki, podarte

pończochy. Widok to był.

— Mamo — zaczęłam — zaraz ci wszystko wytłumaczę. Po pierwsze bardzo cię przepraszam, ale ja się nie zorientowałam, że to już jest tak późno...

— Nie miałaś zegarka? — zapytał Wiktor.

— Miałam, ale nie spojrzałam na zegarek.

— Proszę cię, mów dalej — powiedział.

— Może byśmy weszli do pokoju? Wiktorze, ona robi wrażenie zupełnie nieprzytomnej — przestraszyła się nagle mama. — Czyś ty biegła, Marto?

— Nie biegła — wyjaśnił za mnie Wiktor. — Przyjechała taksówką, jeśli chcesz wiedzieć. Przyjechała taksówką z jakimś bubkiem.

Mama miała oczy jak spodki.

— Jaką taksówką? Z jakim bubkiem?

Usiadłam na tapczanie i przez chwilę w kompletnym osłupieniu patrzyłam na swoje pończochy. Ten czort, Shimmy, zrobił z nich sito. Mama i Wiktor stali obok.

— Zaczynaj coś mówić, Marto! — powiedziała mama podniesionym głosem. — Czy w ogóle nie zamierzasz nam tego wyjaśnić?

— Ależ tak, mamo, tylko nie wiem, od czego zacząć.

— Prawda ma tylko jeden początek — zauważył Wiktor.

— Marto — mama usiadła obok mnie i poruszyła mnie za ramię — ocknij się wreszcie! Kim był ten chłopiec?

— To był Patryk.

— Znowu ten Patryk! Co to za jakiś Patryk? — Mama spojrzała na Wiktora. — Ty go znasz, Wiktorze? To pewnie ten kolega Michała?

Wiktor wzruszył ramionami.

— Nie znam. Widziałem go dwa razy. Kiedyś na ulicy, rozmawiał z Martą, no i dziś... Nie podobał mi zresztą — stwierdził.

— Patryk jest bardzo miły — obruszyłam się. — Kiedy wyszłam z psem, on akurat przechodził obok naszego domu. Zaproponował mi spacer i zgodziłam się, bo... przecież sam kazałeś mi się przejść, pamiętasz, Wiktor?

106

— Pamiętam, ale nie kazałem ci wracać do domu po jedenastej. Przeciwnie nawet, uważam, że to jest skandaliczne. Niezależnie od tego, czy ci się to podoba, Marto, czy nie, jesteś pod moją opieką. W pewnym sensie przynajmniej. I ponieważ w tym sensie czuję się za ciebie odpowiedzialny, żądam, żebyś się nie włóczyła po nocy!

— Ja się nigdzie nie włóczyłam! Poszliśmy do Parku Kultury, zrobiło się późno i Patryk dlatego przywiózł mnie taksówką.

— Park Kultury o godzinie jedenastej, to na pewno nieodpowiednie dla ciebie miejsce — odparł Wiktor. — I tak ciesz się, żeście nie trafili na patrol milicji. Marto, będziesz wyprowadzała psa o godzinie ósmej, a później zabraniamy ci wychodzenia z domu.

— Mama może mi zabronić, ale ty nie!

— Ja ci też zabraniam — powtórzył Wiktor spokojnie — ponieważ ja także mam tu coś do powiedzenia. Mieszkasz w moim domu, twoja matka jest moją żoną, obiecałem jej, że będę cię traktować jak własną córkę. Między innymi oznacza to, że musisz się niekiedy stosować do moich zaleceń.

— Mieszkam w twoim domu, ale...

— Mów dalej.

— Ale nie jesteś moim ojcem! I wcale nie chcę, żebyś traktował mnie jak córkę! Każdy człowiek ma tylko jednego ojca!

— Nie wymagam od ciebie, żebyś mnie kochała, bo takiej rzeczy nie można wymagać od nikogo. Ale czy ci się to podoba, czy nie, powtarzam, musisz uznać we mnie swojego opiekuna.

— Możesz być pewien, że mi się nie podoba!

— Marto! — jęknęła mama.

— Wiem, że ci się nie podoba — Wiktor rozłożył ręce — ale ja na to nic nie poradzę. Przyszłą, ten powrót, taki późny, zdarzył ci się pierwszy raz. I jestem skłonny absolutnie uznać twoje wyjaśnienia za prawdziwe, a przeoczenie czasu za przypadkowe. Niemniej już przed twoim przyjściem ustaliliśmy z mamą, że będziesz wychodzić o ósmej, przed dom, na parę minut. I bądź uprzejma dostosować się do tej naszej wspólnej decyzji.

Wiktor wyszedł z pokoju i zostałyśmy z mamą same. Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Marto — powiedziała — twój sposób rozmawiania z Wiktorem jest nie do przyjęcia. Twój ton i wszystko, co mówisz, zasługuje na

107

jakąś bezwzględną, drastyczną karę. Słuchaj, ja już się nie odzywałam, bo dosłownie nie wiedziałam, co mogę powiedzieć. Powinnaś docenić spokój i takt Wiktora.

— Powiedział, że się włóczę po nocach! Taktownie, prawda? I dlaczego, mamo, upoważniłaś go do ingerencji w moje sprawy? Do tej jakiejś opieki. Czy nie możesz załatwiać tych rzeczy sama?

— Zapewniam cię, Marto, że nie potrafiłabym załatwić dzisiejszej sprawy tak spokojnie, jak załatwił ją z tobą Wiktor. Ja bym cię najchętniej sprąła. I gdyby nie on, tak by się stało. Ty sobie nie wyobrażaj, że jesteś dorosła!

— Wolałabym, żebyś mnie sprąła, mamo, niż żeby Wiktor mnie wychowywał! Tej sytuacji nie zniosę! Daję słowo, wolę, żebyś mnie stłukła, niż żeby ten cały Wiktor pedagogicznie się nade mną wytrząsał!

I wtedy mama wstała i trzasnęła mnie po twarzy. W sekundę potem Wiktor wszedł do pokoju.

— Może byście poszły spać, jest już po...

Nie skończył, bo zdążył jeszcze zobaczyć opadającą rękę mamy i mój ruch, którym automatycznie złapałam się za policzek.

— Anno, a tak cię prosiłem, żebyś się nie unosiła — powiedział do mamy z wyrzutem.

Widocznie zaplanował sobie, że sam podejmie rolę mojego moralnego kata. Podszedł do mnie, odjął mi na siłę rękę od policzka i przyglądał mu się chwilę.

— To było już zupełnie niepotrzebne. Marto, idź się umyć, dobrze? Poszłam, kiedy wróciłam, mama kończyła słać mi tapczan.

— Połóż się zaraz.

Ale mnie się wcale nie chciało spać. Teraz też, jest już po drugiej, a ja ciągle siedzę i piszę. Chyba jednak skończę na tym. Jak człowiek śpi, to nie myśli. W takim razie wyjątkowo przyda mi się ten sen. Myślenie nic tu nie pomoże. Zbyt głęboko każda z nas jest przekonana o swojej racji.

9 kwietnia

Długo, dokładnie, z datami, z najdrobniejszymi szczegółami musiałam opowiadać pani Rochowieckiej historię wojen napoleońskich,

108

\ a kiedy wreszcie dobrnęłam razem z Bonapartem na Wyspę Św.

Heleny, czułam się tak, jakby mnie ktoś dwa razy przekręcił przez maszynkę.

— No i można było? — zapytała Rochowiecka przyodzabiając twarz sceptycznym uśmiechem.

Pomedytowała jeszcze chwilę, podręczyła mnie swoim wahaniem i w końcu postawiła mi tę piątkę, na którą rzetelnie chyba zasłużyłam.

Wszystko wskazuje na to, że pomimo rozdrapów wewnętrznych wyląduję w końcu tego roku z cenzurą zupełnie przyzwoitą. Owszem będzie się miało tę trójkę u Jadwisi, ale fizyka nigdy nie była moją mocną stroną, a do tego Jadwisia wymagająca. Tak czy siak, * dzisiaj piątka z historii poprawiła mi nieco humor. Nie widziałam

Wiktora od wczorajszej awantury, bo rano tak kombinowałam, żeby się na niego przypadkiem nie natknąć. Mama więcej niż oficjalna. Trudno.

Po szkole przyszedł do mnie Michał. Nareszcie mogliśmy sobie spokojnie pogadać, bo w domu — żywego ducha.

Oczywiście, powiedziałam Michałowi o wczorajszym moim spacerze z Patrykiem i opłakanych konsekwencjach. Tym razem Patryk nic Michałowi nie odraportował i byłam zadowolona, że dowiedział się -, wszystkiego ode mnie. Pominęłam w swojej relacji Patrykowe wyznania i tę sprawę z taksówką. Całej historii nadałam charakter zupełnej przypadkowości. Michał wysłuchał z typową dobrą miną do złej gry. I jedynie może fakt, że przez cały czas, kiedy mówiłam, oglądał swoje paznokcie, świadczy o tym, że nie był zachwycony. Ale powiedział tylko tyle:

— Ja nie wiem, Marta, czyś ty zauważyła, że ile razy Patryk pojawia się na naszym horyzoncie, tyle razy dzieje się coś niedobrego?

1 Masz najlepszy przykład teraz. Gdyby nie on, nie doszłoby do tego spięcia między tobą a ojcem.

W sprawie Wiktor-Marta Michał nie zajął określonego stanowiska, ale on również twierdzi, że tę rzecz powinna załatwić ze mną moja mama. Lojalnie w stosunku do Wiktora dorzucił:

— Jestem przekonany, że tata miał najlepsze intencje i chyba w ogóle nie chciał dopuścić do draki. Kiedy tak długo nie wracałaś, Anna na pewno zaczęła się ciskać i tata chciał załagodzić sprawę.

109

— Dlaczego w takim razie mówił, że zachowuję się skandalicznie? Dlaczego twierdził, że ma prawo wydawać mi zarządzenia i że ja muszę się do nich stosować? Czy to jest łagodzenie sprawy? Dlaczego nazwał Patryka bubkiem?

— Dlaczego? Dlatego, że mu zależy na twoim, nazwijmy to, wychowaniu. Był wściekły i nie kontrolował ani swoich słów, ani intonacji. To jest bardzo ludzka rzecz, powinnaś zrozumieć. Przynajmniej powinnaś się starać zrozumieć.

Zastanowił się i dorzucił po chwili:

- Może ja jestem taki mądry, ponieważ to nie mnie dotyczy, lecz ciebie. Tobie na pewno trudniej jest się zdobyć na filozoficzne podejście do sprawy. Ale postaraj się, Marta! Tata to jest kapitalny facet.
- Jest tylko jeden kapitalny facet na świecie — powiedziałam rzucając Michałowi jabłko.
- Myślisz o Patryku? — zapytał przymrużając oczy.
- Myślę o tobie, ty zmor!
- Jesteś przecież wiecznie ze mnie niezadowolona. Tyś się powinna urodzić dyktatorem, Marta, i dopiero wtedy byłabyś szczęśliwa.
- Przesada! Ale nie widzę powodu, dla którego Wiktor miałby być dyktatorem.
- On nie jest dyktatorem, absolutnie! Ostatecznie wychował mnie, i to wychował na pewno nie na zasadzie dyktatury.
- Za to teraz wyładowuje się na mnie.
- Dziecino, tyś się przeraźliwie zacięła! I w ogóle tracisz rozeznanie.
- Ale mnie kochasz? Z tym zacięciem, dyktaturą i brakiem rozeznania?
- W rzeczy samej — odparł Michał i ugryzł jabłko — tego się nie da ukryć. I nawet mam zamiar ożenić się z tobą, jak trochę zmądrzejesz.
- A jeżeli nie zmądrzeję?
- Wtedy będę się musiał nad tym głęboko zastanowić. Dla porządku, rozumiesz? Później powiem sobie: trudno! I będę miał żonę głupią, ale ładną. Też coś.
- Michał! Masz mnie w tej chwili przeprosić! — zażądałam.

110

- Dobra, zaraz to zrobię, tylko dokończę jabłko. Taki jest Michał, wstręciuch! Po południu poszłam uczyć się do

Mańki, ponieważ jej rodzinka wybyła pod Warszawę na cały dzień. Ale dziś nam nie szło i przegadałyśmy solidnie parę godzin. Tym razem bardzo pilnowałam zegarka i wyszłam od Mańki tak, żeby dojść do domu na wpół do dziewiątej. Niech Wiktor wie, że nie zamierzam ściśle przestrzegać jego rozporządzeń. Kiedy wróciłam, nie wyszedł z pokoju. Jedynie mama powiedziała mi oziębło: ? — Wolę, jak Marysia przychodzi do nas. Kolację masz na stole w kuchni.

Zjadłam, potem oficjalnie zastukałam do pokoju mamy i Wiktora.

— Puściłam sobie wodę do wanny i zaraz zajmuję łazienkę. Czy ktoś nie chce się przed tym umyć?

— Jeden ktoś już się mył, a drugi ktoś umyje się później — odparł na to Wiktor. — Dobry wieczór, Marto!

— Dobry wieczór! — powiedziałam zamykając za sobą drzwi. A więc, otwarta wojna. Ciekawe tylko, które z nas wyląduje na

Wyspie Św. Heleny?

11 kwietnia i Jutro mama wyjeżdża służbowo do Krakowa. Wróci za dwa dni.

Miała do mnie mowę tronową, krótką, ale zasadniczą w treści.

— Mamo, możesz jechać zupełnie spokojnie — powiedziałam. — Niech się tylko Wiktor do mnie nie wtrąca.

Mama wzruszyła ramionami i opuściła moją komnatę. Ciągłe jest bardzo oficjalna i każde jej odezwanie ma charakter przemowy w parlamencie. Wiem, że to niewdzięczna rola miotać się pomiędzy mną a Wiktorem. Ale mam żal do mamy, że nie stanęła zdecydowanie) po mojej stronie. Córka powinna być jej bliższa. Przecież mnie

urodziła, a to w końcu do czegoś zobowiązuje.

! 12 kwietnia

Dziś miałyśmy mieć pierwszą fizykę. Jadwisia nie zjawiała się bardzo długo i myślałyśmy, że jest chora. Zwłaszcza że po pół godzinie przyszła do nas pani Rumiankowska na zastępstwo. Usiadła, rozejrzała się po klasie i zatrzymała wzrok na mnie.

111

— Marto, pani Oryłowa cię prosi.

Wstałam i zupełnie spokojnie szłam do gabinetu dyry. Myślałam, że będzie mnie gniotła o sprawozdanie z działalności kółka bibliotecznego, bo miałam je napisać już dawno i ciągle mi to jakoś wylatywało z głowy. Ale jak weszłam do gabinetu, dosłownie ugięły się pode mną nogi! Dyra za biurkiem, obok Jadwisia z wypiekami na twarzy i pani Rochowiecka ze wzrokiem wbitym w podłogę.

— Podejdz tu, Marto — powiedziała pani Oryłowa sztywno. Podeszłam, co miałam robić.

— Wczoraj wróciłam do szkoły po dłuższej chorobie — wyjaśniła. — Pani profesor Rochowiecka przyszła tu po lekcjach, żeby podziękować mi za interwencję w związku z twoim wybrykiem na historii.

Pani Oryłowa przerwała, przez chwilę oglądała uważnie pudełko ze spinaczami, potem spojrzała na mnie pytającym wzrokiem.

— Czy masz nam coś do powiedzenia?

Daję słowo, że nic nie miałam do powiedzenia. Pustka, cholerna pustka w głowie.

— Proszę, żebyś wyjaśniła całą tę sprawę.

Pani Oryłowa wpatrywała się we mnie bez przerwy. Ale co ja tu miałam wyjaśniać — wszystko przecież było wiadome!

— Marto — szepnęła Jadwisia.

Spojrzałam na nią. Zauważyłam, że nawet na szyi ma czerwone placki. W ogóle, wszystko słyszałam, wszystko widziałam, wszystko rozumiałam, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. To co przychodziło mi na myśl, było idiotyczne. Pani Rochowiecka milczała, wpatrzona w podłogę, jakby właśnie tam były wypisane moje wyjaśnienia. Nagle Jadwisia wstała i podeszła do mnie.

— Marto, moje dziecko, musisz powiedzieć, musisz wytłumaczyć. Zrozum, przecież to jest sprawa bardzo brzydka! — Jadwisia położyła mi rękę na ramieniu.

Ale ja... ach, nie, nie to, że się zacięłam, że nie chciałam mówić. Byłam jedynie tak potwornie zaskoczona, że po prostu nie umiałam zebrać myśli. Gdyby dały mi godzinę, na pewno ułożyłabym sensowne tłumaczenie, przeprosiny i okazała tę skruchę, na którą czekały i którą

112

przecież czułam. — Aleja — nic! Zupełny głąb! Jadwisia opuściła rękę i wróciła na swoje miejsce z przegraną miną.

— Czy zamierzasz nam wyjaśnić tę sprawę, czy nie? — zapytała pani Oryłowa z kamiennym spokojem.

Patrzyła na mnie tak zimnym wzrokiem, że wszystko, co zaczęło we mnie tajać pod ręką Jadwisi, znowu zamarzło.

Spojrzałam na podłogę, może nawet w to samo miejsce, w które wpatrywała się bez przerwy pani Rochowiecka. Ale tam leżał tylko jakiś paproch i wypalona zapałka. To zdumiewające, widziałam tego rodzaju rzeczy, natomiast nie dostrzegałam konsekwencji, które niosła każda chwila milczenia. Nie wiem, ile czasu upłynęło. Wreszcie pani Oryłowa zakomunikowała mi sucho:

— Weźmiesz teczkę i wrócisz do domu. Ja jeszcze pomyślę, jak się ustosunkować do tego wszystkiego. Na razie twój pobyt w naszej szkole stawiam pod znakiem zapytania.

Ukłoniłam się sztywno i wyszłam z gabinetu. Kiedy weszłam do klasy, zastałam tam grobową ciszę. Widać pani Rumiankowska powiedziała dziewczętom, po co wzywała mnie dyra. Teczkę miałam jeszcze nie rozpakowaną, sprawa więc była prosta: zabrać ją i wyjść.

— Mam iść do domu — zwróciłam się do Rumiankowskiej.

— Pani dyrektor ci kazała?

— Tak.

— Idź w takim razie.

Dziewczęta osłupiały. Patrzyły na mnie i nie mogły się połapać.

Siedzę teraz w domu i zupełnie nie wiem, co mam robić. Michał ma rację. Jestem ładna, ale głupia!

Gdyby rozważyć i takt można było kupować jak młodą wołowinę w mięsnych mrożonkach, na pewno byłabym stałą klientką. Wybierałabym porcje szczególnie obfite w panowanie nad sobą. Jakie to byłoby proste. Brakuje ci, to bierzesz pięć czy dziesięć złotych i nabywasz odpowiednią ilość.

Nie sądzę, żeby pani Oryłowa wyrzuciła mnie z naszej budy. Ale znając ją jestem przekonana, że wymyśli mi jakąś torturę gorszą od łamania kołem. A przecież mogłaby i mnie, i sobie darować, bo mam za swoje. Ale ona nie wie. Ona przypuszcza, że zacięłam się jak

113

zardzewiały zamek i koniecznie trzeba mnie porządnie naoliwić. Że też musiałam stracić mowę u niej w gabinecie...

Wieczorem

Była Mańka. W klasie popłoch i rozłam. Część się śmieje, część nabrała wody w usta, a co większe lizusy chodzą zgorszona i twierdzą, że to co się stało, jest bardzo do mnie podobne. Naturalnie, rację mają te, które nabrały wody w usta. A niechże to wszyscy diabli! Ciekawa jestem, jak długo pani Oryłowa ma zamiar trzymać mnie w domu?

13 kwietnia

Może dlatego, że trzynasty? Nie będę dużo pisać, bo wszystko to jest zbyt ciężkie. Dziś Wiktor wrócił z pracy, zamknął się na długo w swoim pokoju, nawet nie poszedł do kuchni zrobić herbaty. Byłam już zupełnie wykończona czekaniem na jakieś wiadomości ze szkoły. Miałam nadzieję, że Jadwisia zadzwoni do mnie z odpowiednimi instrukcjami, ale dzień upłynął i nic!

Przed godziną Wiktor wszedł do mojego pokoju. Stał w drzwiach i powiedział bardzo oficjalnym głosem:

— Rozmawiałem z panią Orylową. Dzwoniła do mnie, bo w redakcji powiedziano jej o wyjeździe mamy. Byłem w szkole i załatwiłem tyle, że jutro możesz iść normalnie... — Po chwili dorzucił:— Jeżeli namyśliłaś się i przeprosisz panią Rochowiecką.

Serce przestało mi bić. Dosłownie, czułam jak stanęło. Wiktor w roli mojej opieki domowej rozmawiał z Orylową i to w tej paskudnej sprawie, którą pokpiłam od samego początku.

— Nie mogłeś powiedzieć pani Orylowej, że mama przyjdzie do niej jutro?

— Czy to jest doprawdy twój największy kłopot? To, że ja rozmawiałem z panią dyrektor, a nie mama?

— Oczywiście, że mam większe! — odparłam.

— Ja myślę — powiedział Wiktor ironicznie. — Nie dzwoniłem do pani Orylowej, tylko pani Orylowa dzwoniła do mnie, rozumiesz? I prosiła, żebym natychmiast do niej przyszedł. Zapewniam cię, że wcale mi nie było pilno! Mylisz się sądząc, że załatwianie tego rodzaju spraw w imieniu twojej matki sprawia mi jakąkolwiek przyjemność.

114

I jeżeli mam w tym satysfakcję, to tylko tę, że ja świeciłem za ciebie oczyma, a nie mama! Że oszczędziłem jej niezmiernie przykrej rozmowy z panią Orylową. Ale ponieważ wiem, że na temat swojego zachowania wobec pani Rochowieckiej nie będziesz chciała ze mną rozsądnie rozmawiać, komentarz zostawię mamie. Niech ona to z tobą załatwia. Ja oprócz tego, że jutro możesz iść do szkoły, nie mam ci nic do powiedzenia.

Wiktor odwrócił się i wyszedł z mojego pokoju. Właśnie teraz, kiedy mógł posunąć się dalej i omówić ze mną całą tę sprawę, o której i tak był dokładnie poinformowany, zrobił unik! Tylko po to, żeby odraportować wszystko mamie i przekonać ją, jaka to ja naprawdę jestem. A przecież w tej sytuacji byłoby najprościej nie mówić mamie o niczym. Oszczędzić jej nie tylko rozmowy z Orylową, ale i ze mną. Na to jednak Wiktora nie było stać. To byłoby zbyt wielkoduszne!

Miałam dostatecznie dużo czasu na to, żeby ułożyć sobie znakomitą mowę do pani Orylowej i Rochowieckiej. Ustaliłam cztery punkty, które kolejno będę rozwijać. Mowa jest tak wzruszająca, że mnie samej łzy się w oczkach kręcą, a co dopiero mówić o tych babkach, do których to wszystko będzie skierowane.

14 kwietnia

Akurat! Beczałam jak bóbr, a moje babki ani drgnęły! Tak czy inaczej, jest już po wszystkim. Przepraszono, przebaczone i tylko czwórka z zachowania ozdobi moją tegoroczną cenzurę.

Mama wróci dziś wieczorem. Idiotyczne, ale mam jednak nadzieję, że Wiktor nie powie jej o niczym. Jeżeli Michał uważa, że z jego taty taki kapitalny facet, to nie powinien powiedzieć. Kiedy wracał do domu, wychodziłam akurat z psem i spotkaliśmy się w drzwiach.

— Rozmawiałaś z panią Orylową?

— Tak.

— Przeprosiłaś panią Rochowiecką?

— Tak. Dzień dobry, Wiktorze — odgryzłam się za jego „dobry wieczór” sprzed kilku dni.

— Dzień dobry — burknął z głupią miną.

Na schodach głośno śpiewałam. A przecież nie chce mi się śpiewać. Mama będzie w domu za kilka godzin.

115

20 kwietnia

Ostatni raz pisałam pod datą 14 kwietnia, a dziś jest już dwudziesty. Sześć dni. Sześć dni długich jak koszmarny sen, sześć dni, w ciągu których życie obchodziło się ze mną jak wiatr z bibułką rzuconą na ulicy.

Mama wróciła późnym wieczorem, Wiktor poszedł po nią na dworzec, zostałam w domu sama. Umierałam ze zdenerwowania. Ale kiedy wrócili, zorientowałam się, że Wiktor nie puścił pary z ust. Mama weszła do mojego pokoju, przywitała się dość oziębło, ale i żegnaliśmy się oziębło, więc nie mogło być inaczej. Zapytała, jak się czuję i czy odebrałam bieliznę pościelową z pralni. Czułam się dobrze, bieliznę odebrałam, więc mama poszła zjeść kolację. Przemknęłam do łazienki, bo chciałam jak najprędzej wskoczyć do łóżka, zgasić światło i udawać, że śpię. Wiktor był jednak szybszy i kiedy wyszłam z łazienki, mama zawołała mnie do siebie. Żeby chociaż wyszedł z pokoju. Tkwił przy stole i palił fajkę.

— Siadaj — powiedziała mama — i opowiedz mi dokładnie, co to było z panią Rochowiecką.

Owszem, usiadłam, ale nie miałam zamiaru powtarzać jej słowa po słowie.

— Przecież wiesz, mamo, Wiktor ci powiedział. Co ja będę powtarzać? Wszyscy wiemy, jak było. W tej chwili jest już w porządku, przeprosiłam kogo trzeba. Nie wiem, czy ci Wiktor mówił, że przeprosiłam?

— Oczywiście, mówił mi. I nie o to mi chodzi w tej chwili. Tego jeszcze brakowało, żebyś nie przeprosiła! Chodzi mi o ten incydent. Jak mogłaś zachować się w ten sposób? Coraz lepiej. Marto, coraz to jakieś nowe historie. Nie rozumiem, doprawdy! Znalazłaś się chyba w jakimś psychicznym impasie. Zrobiłaś się bardzo niedobra, wiesz? Staramy się stworzyć ci jak najlepsze warunki, staramy się, żebyś wszystko miała. A ty jesteś tak niewdzięczna... —mama

przymrużyła oczy i szukała jakiegoś dobitnego określenia, które pasowałoby do mnie jak ulał — tak postępujesz, jakbyś zupełnie nie doceniała naszych wysiłków. Po prostu jesteś podła, Marto! Arogancka, nieprzyjazna, chwilami nawet okrutna.

116

— Każda dobra matka stara się stworzyć swojemu dziecku jak najlepsze warunki, mamo, nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. A że jestem niedobra? Podła? Arogancka? Taka jestem, jaką mnie wychowałeś!

— Milcz! — Mama trzasnęła ręką w stół, aż zadźwięczały szklanki. Wiktor odrzucił fajkę, wstał i wyszedł do przedpokoju. Po chwili

huknęły drzwi. Zostałyśmy z mamą same w domu.

— Wiktor wyszedł — stwierdziła mama. — Przebywanie pod jednym dachem z tobą staje się dla niego koszmarem. Nie mówi mi tego, ale widzę przecież. Widzę i słyszę! Jest bez przerwy narażony na twój arogancki ton, na twoje humory! I w końcu nie może dłużej patrzeć, jak ja się z tobą szarpię! Może ty nawet sama nie zawsze dostrzegasz, jak jesteś w stosunku do niego impertynencka. W jaki sposób, na przykład, podajesz mu herbatę po obiedzie. To szurnięcie szklanką, jakbyś mu łaskę robiła. A pogardliwe spojrzenia, z jakimi wysłuchujesz jego opowiadań o pracy biurowej... Być może, że cię to nudzi. To przeproś i wyjdź. Ale ty — nie! Będziesz czekała, aż Wiktor skończy, będziesz siedziała tylko po to, żeby demonstrować tę swoją błazeńską pogardę. A łazienka? Ja już sama nie wiem, ile razy Wiktor spóźnił się przez ciebie do pracy. Bo ty nie możesz najpierw zjeść śniadania, a później się umyć. Będziesz tkwiła w łazience i tkwiła! Myślę, że po prostu siedzisz na wannie i nasłuchujesz, dopiero kiedy zorientujesz się, że Wiktor nie umyty, nie ogolony idzie do pracy, łaskawie wychodzisz. Zwracał ci uwagę raz, drugi, dziesiąty... jak do słupa! Do ciebie się mówi jak do słupa! Ty chyba sobie nie zdajesz sprawy z faktu, że Wiktor jest dla mnie hamulcem w postępowaniu z tobą. Gdyby nie on, stosunki między nami od dawna byłyby nie do wytrzymania. Wiktor...

— Mamo — przerwałam — miałaś mówić ze mną o pani Rochowieckiej. Jak wyglądałyby stosunki między nami, gdyby nie Wiktor, to ja dobrze wiem. Na pewno byłyby inne. Przypomnij sobie, jaki miałyśmy święty spokój przed twoim małżeństwem. A Wiktor samą swoją obecnością rozgradza nas. On nie potrzebuje ani działać, ani mówić, wystarcza, że jest! A teraz na dokładkę zaczyna się mieszać w moje sprawy! Wtrącił się w sprawę z Patrykiem, a teraz pognął do Orylowej, jakby nie można było z tym poczekać do jutra!

117

— Marto, on widzi, ile mnie to wszystko kosztuje nerwów i zdrowia. On wie, że każdą tego rodzaju scysję z tobą ja formalnie odchorowuję.

— A jednak teraz zostawił cię z twoim wirusem, zabrał łachy pod pachy i wyszedł!

— Tak! Dlatego że przez ciebie atmosfera w tym domu staje się niemożliwa!

Miałam już dosyć. Czułam, że narasta mi w gardle jakiś straszny krzyk i że jeśli natychmiast nie wyjdę z tego pokoju — wyzwoli się ze mnie, zaczną wrzeszczeć i oszaleją.

— Mamo, czy ja mogę iść do swojego pokoju? Nie odpowiedziała.

— Mamo, pozwól mi iść.

— Idź.

Położyłam się i zgasiłam światło. Przeze mnie —myślałam. Przeze mnie atmosfera w tym domu staje się nieznośna, jestem kozłem, niemożliwym do wytrzymania. Mama odchorowuje, Wiktor trzaska drzwiami i wychodzi. Dlaczego ja mam się spóźnić do szkoły, a nie Wiktor? Owszem, siedzę długo w łazience, bo do cholery mnie doprowadza to jego drapanie palcem w drzwi! Gdyby nie drapał w drzwi, wychodziłabym dziesięć minut wcześniej! Co to jest za metoda — takie drapanie? Czy nie może powiedzieć jak człowiek do człowieka: „Marto, wyjdź prędzej, bo mi się spieszy?” Jest im źle ze mną, przeszkadzam, utrudniam, jestem niewygodna. Wiktor jest bardzo podły! Może ja też, ale on jest podlejszy.

Słyszałam, jak wrócił. Chodzili jeszcze do kuchni, do łazienki, wreszcie zgasili u siebie światło. Leżałam cicho, nie miałam w głowie żadnego konkretnego planu. Wiedziałam tylko jedno, że za godzinę wyjdę z tego domu, persona non grata, i tak jak Michał urzęduję się z daleka od ulicy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, który pisał pięknie wiersze, ale przecież nie od wierszy zależy szczęście ludzi mieszkających na ulicy noszącej jego nazwisko. Ubrałam się, do swojej małej, płóciennej walizki zapakowałam najniezbędniejsze przedmioty: zmianę bielizny, ręcznik, piżamę, misia i kilka jeszcze drobiazgów. Książek nie wzięłam, bo następnego dnia była niedziela, a nie przypuszczałam, żebym nawet i w poniedziałek zdążyła się jakoś

118

urzędzić, więc szkoły na razie mogłam nie brać pod uwagę. Nie zostawiłam żadnej kartki, żadnych wyjaśnień. Około dwunastej wyszłam z domu, cichuteńko zamykając za sobą drzwi. Mój klucz od mieszkania pasował do klatki schodowej, więc bez trudu znalazłam się na ulicy. Spojrzałam w okna. Wszędzie było ciemno. Ruszyłam przed siebie z zamiarem przechodzenia tej nocy po mieście. Sobota, więc Michał u matki. Noc, więc nie mogłam pójść do Mańki, bo jej rodzice

, natychmiast odesłaliby mnie do domu. Na rogu Górskiego spotkałam

patrol miliq'i. Ale moja walizka wyglądała zdecydowanie podróżnie i przekonywająco. Kiedy przechodziłam obok gabloty z galanterią w domu na wprost Cedetu, przypomniałam sobie Patryka. Sobota! A jego rodzice na soboty i niedziele zawsze jeździli do Konstancina, gdzie razem z babcią zainstalowana była na stałe ich mała córeczka. No, tak, ale właśnie tej soboty mogli nie pojechać. Minęłam bramę i skręciłam w Aleje. Noc była zimna, zaczął padać drobny

deszcz. Przy Roxanie zaczepił mnie jakiś gość, którego odprawiłam krótko. Ale rozumiałam, że ta noc nie będzie najprostsza. Było dopiero w pół do pierwszej. Zawróciłam i znowu stanęłam przed bramą Patryka. Ale nie wiem, czy zdecydowałabym się zadzwonić, gdybym nie usłyszała dobiegających z podcieni Cedetu pijackich przyśpiewek. Nacisnęłam

i dzwonek. Wpuściła mnie zaspana dozorczyńni, której wcisnęłam do

ręki pięć złotych, z nadzieją, że nie będzie mnie o nic pytać. Patryk mieszkał na pierwszym piętrze od frontu. Długo stałam na klatce schodowej i nie miałam odwagi zastukać do drzwi. Pomyślałam sobie wreszcie, że jeżeli otworzy mi ktoś inny, nie on, przeproszę i udam pomyłkę. I to było jedyne rozwiązanie, nie pozostawało mi nic innego. Zastukałam raz, drugi. Zadzwoniłam. Nikt nie otwierał. Mocniej przycisnęłam dzwonek i wkrótce usłyszałam czyjeś kroki w korytarzu, a w nocnej ciszy nawet odgłos przekręcanego kontaktu. W dziurce od klucza błysnęło światło. Drzwi uchyliły się wąsko i... Patryk! — Jesteś sam? — zapytałam cicho.

— Sam. — Nie pytając o nic wpuścił mnie do mieszkania. Rodzice wyjechali. Marta! Marta!
— powtarzał przyglądając mi się w osłupieniu.

— Słuchaj, czy ja mogę u ciebie zostać?

— Pytanie!

119

Wziął z moich rąk walizkę.

— Zaraz ci wszystko wyjaśnię — powiedziałam, kiedy pomagał mi zdjąć płaszcz. — Patryk... jestem... — nie umiałam w kilku słowach zmieścić wszystkich swoich kłopotów. — Słuchaj, przyszłam do ciebie, bo już nie mogłam wytrzymać, wiesz? Zaraz ci powiem dokładnie, co chcę, żebyś wiedział.

— Nie mów mi nic, nic nie potrzebuję wiedzieć — odparł Patryk obejmując mnie. — Najważniejsze, że przyszłaś.

Położyłam mu głowę na ramieniu, wyglądało to tak, jakby ramiona Patryka były właśnie azylem, którego szukałam po nocy, bardzo samotna i bezdomna.

— Martuniu — powiedział łagodnie — chodź do pokoju, przecież nie będziemy tak stali.

Ciągle trzymając mnie ciasno przy sobie, Patryk zgasił światło w korytarzu i wprowadził mnie do najbliższego pokoju.

— Słuchaj, czy możesz być u mnie całą noc? — zapytał cicho, z niedowierzaniem.

— Muszę być przez całą noc!

— Najmilsza... najmilsza... — powtarzał i wreszcie odgarnął mi włosy, tak jak wtedy w taksówce, i tak jak wtedy w taksówce poczułam jego usta na swojej szyi.

„Czego on wiecznie chce od mojej szyi?” — pomyślałam w ostatecznym zniecierpliwieniu.

— Więc jednak mnie kochasz! — powiedział Patryk i dopiero wtedy zrozumiałam, że moje przyście tutaj ma dla niego zupełnie jednoznaczny sens.

Wyrwałam mu się energicznie.

— Nie wygłupiaj się! Patryk, ty myślisz, że po co ja tu przysłam?

— Jak to po co przysłaś? Tylko jednego możesz szukać u mnie po nocy...

— Och, Patryk, za kogo ty mnie masz! Szukam u ciebie byle jakiego kąta, żeby się przespać do rana, szklanki herbaty i dobrej rady! Jestem potwornie zdenerwowana i daj mi spokój z miłością!

Patrzył na mnie kompletnie osłupiały.

— Herbaty? — wyjąkał. — Czyś ty oszalała? Nie mogłaś się napić w domu?

120

— Wyniosłam się z domu, Patryk! Wyniosłam się z domu, bo nikomu tam nie jestem potrzebna. Chcesz mi pomóc czy nie? Jeżeli nie, idę stąd.

— Siadaj — powiedział podsuwając mi krzesło. — Siadaj i mów od początku.

Zaczęłam od początku, słowo po słowie, relacjonować ostatnie zdarzenia. I w miarę jak mówiłam, malał mój żal do Wiktora, a rósł żal do mamy, aż w końcu stał się tak ogromny, że nie potrafiłam go pomieścić ani w swoim sercu, ani objąć rozumem.

Spałam na tapczanie Patryka, on przeniósł się do innego pokoju. Rano obudził mnie czyjś krzyk na ulicy i w pierwszej chwili nie mogłam zorientować się, gdzie jestem i dlaczego. Dopiero stopniowo wracała mi pamięć minionego wieczoru.

Nie czekałam, aż obudzi się Patryk i pomoże mi znaleźć rozsądne rozwiązanie. Wyszłam cichutko, zabierając z przedpokoju walizkę. Patrykowi zostawiłam krótką kartkę: „Dziękuję” i to wszystko. Dwie godziny chodziłam po ulicach, zanim uporałam się z tą najtrudniejszą decyzją. Wreszcie dotarłam na dworzec Śródmieście i kiedy podając kasjerce pieniądze powiedziałam:

— Rudzianki, stacja doświadczalna — nie poznałam swojego głosu.

Weroniko! Jak bardzo liczyłam na ciebie w tamtej chwili!

21 kwietnia

Pociąg do Rudzianek jedzie czterdzieści pięć minut. To wystarczająco dużo czasu na to, żeby wysiąść na obojętnej stacji i wrócić do Warszawy. Dobrze wiedziałam, co robię zwracając się z tym wszystkim do Weroniki, miałam absolutną świadomość, że dla mamy będzie to nieskończenie bolesne. Ale skoro mama odwróciła się ode mnie i miała twarz jedynie dla Wiktora, miałam prawo odwrócić się także. Nie mogę powiedzieć, że najbardziej zależało mi na zobaczeniu się z Michałem i że tylko dlatego zdecydowałam się na wyjazd do Rudzianek. To jasne, że chciałam, aby mi pomógł załatwić wszystkie sprawy tak, jak załatwił swoje — niezależnie od Wiktora i mamy, bez ich ciągłej kontroli, bez awantur i gorzkich słów. Wiedziałam także, że tylko Michał może być mediatorem między nimi a mną. Ale przede

121

wszystkim, rozpatrując rzecz uczciwie i bez niedomówień, zachwyił mnie ten odwet, który brałam za wszystko jadąc do Weroniki, właśnie do Rudzianek, do których mama nigdy nie miała ochoty mnie puścić, niepoczytalnie zazdrosna, i chociaż tak na wskroś nowoczesna, w tym właśnie miejscu grzesząca mentalnością prababek.

Malutka stacja w Rudziankach. Z jednej strony las, z drugiej nieliczne zabudowania miasteczka. Święta Helena Weroniki, a teraz także i moja... Ale wybrałyśmy to miejsce same i tym się różni nasza sytuacja od sprawy Napoleona. Usłużny młodzian z gitarą, którego zapytałam o stację doświadczalną, podprowadził mnie pod sam dom.

— Ale mieszkania są tam. — Wskazał murowany parterowy budynek w głębi ogrodu.

Weszłam na mały ganek. Szereg dzwonek, obok tabliczki z nazwiskami. Nacisnęłam guziczek, przy którym widniało nazwisko Weroniki, starannie wykaligrafowane pismem Michała, poznałam je bez trudu, bo wszystkie moje książki i zeszyty podpisane są przez niego.

Otworzył Michał. Pod pachą trzymał gruby tom Dreisera, w ręku kawał chleba ze smalcem. Ucieszył się.

— Ummm! Puścili cię? Co to za zmiana frontu? Wejdz, mama się zdziwi.

Weronika siedziała przy biurku nad jakimiś notatkami. Podniosła głowę i chyba nawet nie poznała mnie w pierwszej chwili. Dopiero Michał zaanonsował krótko:

— Marta!

Wtedy podniosła się, ale zanim zdążyła podejść do mnie, wyjaśniłam wszystko w jednym zdaniu:

— Przyjechałam do pani, ponieważ uciekłam z domu i nie mam zamiaru tam wracać!

Nie wiem na co czekałam. Chyba na to, że Weronika wyciągnie do mnie ręce. Ale jej ramiona najwyraźniej były dla mnie zamknięte. Stała sztywno i patrzyła na mnie z lekko rozchylonymi ustami, ale nie gapowato, po prostu w ogromnym jakimś skupieniu.

— Uciekłaś z domu? — krzyknął Michał. — Co się stało? Dlaczego?

— Ponieważ przeszkadzam tam twojemu ojcu i mojej matce — powiedziałam zupełnie spokojnie. — Ponieważ on nie może

122

wytrzymać ze mną pod jednym dachem, a ona odchorowuje każdą rozmowę ze mną. Dlatego uciekłam z domu, Michał, i chcę się urządzić inaczej.

— Przyjechałaś tutaj — powiedziała Weronika, ale nie wiem, skąd wydobyl się z niej ten głos, bo nawet nie poruszyła ustami. — Boże, jaka jesteś bezwzględna w tym wszystkim.

Michał odłożył książkę i chleb na stół, wsadził ręce w kieszenie i stanął przy oknie tyłem do nas.

— Czy mama wie o tym, że tu jesteś? — zapytała Weronika.

— Nie, wyszłam z domu wczoraj, parę minut przed dwunastą w nocy.

— I gdzie spędziłaś tę noc? Na dworcu? — Weronika sięgnęła po papierosa.

— Nie, nocowałam u Patryka — wyjaśniłam.

Michał odwrócił się od okna i patrzył na mnie jak na upiora.

— Nie było już innego miejsca w całej Warszawie, tylko łóżko Patryka? — krzyknął z wściekłością.

— Michał! — zawołała Weronika.

Michał podszedł, wziął ze stołu papierosy i przez chwilę miętosił je w garści.

— Powinnaś w tej chwili wrócić do domu! — powiedział ostro.

— Jesteś niepoczytalna!

Weronika patrzyła to na Michała, to na mnie, i milczała.

— Nie wrócę do domu! Czy pani... czy pani zechce mi pomóc?

— odwróciłam się do niej i byłam gotowa zebrać o tę pomoc.

— Marto... — Weronika przymknęła oczy i położyła wyprostowane palce na skroniach — poczekaj chwilę. Niech ja się zastanowię.

— Ona musi wrócić do domu, tu się nie ma nad czym zastanawiać! Mamo? Słyszysz? Nie ma co myśleć!

— Więc ty także stajesz po stronie Wiktora? — zapytałam Michała. — Tobie się w głowie nie mieści, że ktoś, kogo wyidealizowałeś sobie aż do absurdu, może być człowiekiem, z którym nie mogę wytrzymać ani godziny dłużej? Zawsze znajdujesz dla niego setki tłumaczeń, zawsze on ma rację, ja nigdy? Czy pani też uważa, że Wiktor jest takim nieskazitelny człowiekiem — zwróciłam się do

123

Weroniki — po tym wszystkim, co pani przeszła, czy pani też tak uważa?

Weronika nie odpowiedziała, ale oderwała ręce od skroni i skinęła głową.

— To niemożliwe!

— Możliwe, Marto — odezwała się wreszcie. — Gdyby Wiktor był zły, do tej pory bylibyśmy razem, a między nami byłaby miłość niedobra, skażona, bardziej zbliżona do nienawiści niż do... ale nie o nas chodzi w tej chwili, lecz o ciebie Marto.

— Więc co, pani zdaniem, mam zrobić? Wskazała fotel stojący pod oknem.

— Usiąść tutaj i powierzyć mi tę sprawę do załatwienia.

Usiadłam i w ten sposób wyraziłam zgodę na propozycję Weroniki. Nagle poczułam się bezpieczna. Gdyby jeszcze Michał, gdyby on nie palił tak zachłannie jednego papierosa za drugim, gdyby nie patrzył na mnie tak wrogo.

— Zostawię was samych na parę minut — powiedziała Weronika zarzucając na siebie ciepły szal. — Bądź rozsądny, Michasiu! Zrób Marcie gorącej herbaty. Zdejmij ten płaszcz, moja droga, jest przemoczony na wylot, i pantofle też. Przesiądź się na tapczan, Marto! Michał, przykryj ją kocem.

Wydawała dyspozycje autorytatywnym tonem, ale może właśnie to było mi potrzebne: nareszcie zjawiał się ktoś, kto moje sprawy wziął w swoje ręce. Weronika wyszła, Michał bez słowa przykrył mnie kocem, a sam usiadł obok.

— Ja wiem — powiedział po chwili — że ty się musisz bardzo szarpać. Byłem dla ciebie niedobry. Nie przyjechałaś tu po to, żeby wysłuchiwać moich wrzasków, jasne! Marta, za każdym razem, kiedy wikłasz się w Patryka, bierze mnie taka ciężka cholera, że nie potrafię nad sobą panować! Nie rozumiem, jeżeli rzeczywiście mnie kochasz, to powinnaś tak układać sprawy, żeby Patryk nie przewijał się wiecznie przez to wszystko. Ale teraz nie to najważniejsze, tylko dom i Wiktor.

Przerwałam mu.

— Słuchaj, ta sprawa przestaje dotyczyć tylko Wiktora. Mama, rozumiesz? Ona doprowadza mnie do szału swoim stronnickým podejściem. Wiktor może być dla mnie taki albo inny, to w końcu

124

będzie jedynie przykre. A mama? Chyba rozumiesz, to już nie jest obojętne, jaki ma do mnie stosunek.

— W tym tercecie Anna ma najtrudniejszą rolę — zauważył Michał. — Aż dziwne, że nie potrafisz tego dostrzec! Nie masz trzech lat.

Michał mówił, ja słuchałam, ale nie wszystko docierało do mojej świadomości. Poczułam przeogromne znużenie. Oparłam głowę o poduszkę i zaczęłam oglądać pokój, w którym się znalazłam. Ściany, sprzęt, lampy, zasłony.

Przytulnie tu było, choć nie luksusowo. I dobrze było, może nawet bardziej dobrze niż przytulnie.

Weszła Weronika.

— Postawiłeś wodę, Michasiu?

— Tak, mammo.

— Dobrze. — Zawahała się, potem zbliżyła się do mnie. — Nie, nie podnoś się, Marto. Usiądę tu obok ciebie, posuń się Michał. A teraz opowiedz mi, tylko spokojnie, bez podniecania, jak to było? Od czego się zaczęła ta scysja?

— Od tego chyba, że nie była pierwsza, pani Weroniko.

— A poza tym?

Rzetelnie i uczciwie opowiedziałam o historii z Rochowiecką. Weronika i Michał nie przerywali mi ani jednym słowem. Potem ciągnęłam dalej, poprzez Oryłową i jej telefon do Wiktora, aż do przyjazdu mamy i do drzwi, którymi trzasnął Wiktor wychodząc z domu.

— Oni się zadręczą — powiedziała Weronika do Michała. — Z tym trzeba coś zrobić. Marto, musisz zrozumieć, że tu nieomal wszystko zależy od ciebie. Obiektywnie masz warunki do posiadania świetnego domu. Kochająca matka, kochający Wiktor, który...

— Kochająca matka? — przerwałam jej. — Czy doprawdy pani uważa, że powinna zawsze stać po stronie Wiktora?

— Nie — uśmiechnęła się łagodnie — nie zawsze. Tylko wtedy, jeżeli on ma rację. Ale ty jesteś trudna! Marto, ty musisz być bardzo trudna w domu! Wiesz, to jest potworna historia

wychowywać trudne dziecko. Ja mogę coś na ten temat powiedzieć, bo Michaś... — położyła ręką na jego ramieniu i spojrzała na ciemną, pochyloną głowę

125

Michała z ogromną miłością — Michaś też jest trudny. Przekonałaś się sama. Porywczy, impulsywny! Owszem, potrafi przyznać komuś słuszność, ale przed tym musi narozrabiać, ile się da! Ty znowu jesteś zbyt pewna siebie i własnych racji. Poza tym każdego obowiązuje przestrzeganie prawideł gry. Kantem można wygrać kilka razy, ale w końcu znajdzie się ktoś, kto złapie za rękę. To są skomplikowane sprawy i nie sposób mówić o nich tak przypadkowo i jedynie a propos. Zamilkła.

— Co mi pani radzi zrobić? — zapytałam.

— Właśnie, mam! Co ona ma robić?

Weronika nie odpowiedziała. Przygotowała trzy szklanki do herbaty, nalała esencji i czekała na zagotowanie wody. Michał sięgnął po moje pantofle, obejrzał je, wstał i postawił obydwie przy maszynie gazowej. A potem słychać było cykanie dużego zegara stojącego na biurku Weroniki. I szczekanie psa, gdzieś z daleka. I deszcz uderzający coraz mocniej w blaszany parapet okna. I wreszcie dzwonek do drzwi.

Michał ściągnął brwi.

— Kogo tu niesie?

— Idź, otwórz — powiedziała Weronika bardzo spokojnie. — To Wiktor. Dzwoniłam do niego zaraz po twoim przyjściu, Marto, i prosiłam, żeby przyjechał.

Usiadłam na tapczanie. Podeszła do mnie szybko, nachyliła się i pogłaskała mnie po policzku.

— Czujesz się nikczemnie zdradzona przeze mnie, tak? To nieprawda! Robię wszystko, żeby cię wyciągnąć z tych sideł, które sama nastawiłaś i w które sama wpadłaś, kłusowniku. Otwórz drzwi, Michasiu! Tatuś moknie.

Wiktor wszedł do pokoju, przywitał się z Weroniką, mnie obrzucił jedynie przelotnym spojrzeniem.

— Siadaj, proszę cię! — Weronika wskazała mu ręką krzesło. — Napijesz się herbaty? Zaparzyłam świeżą.

— Tak, proszę.

Weronika zajęła się szykowaniem czwartej szklanki.

— Zadzwoiłam do was, bo wyobraziłam sobie, co przeżywać musi twoja żona. Wolałam również, żebyś sam przyjechał po Martę.

— Anna prosiła, żeby ci podziękować.

126

— To drobiazg. Ale chcę cię o coś prosić, Wiktorze. Marta zwróciła się do mnie licząc na moją pomoc i za wszelką cenę chciałam się z tego wywiązać.

— A cóż ty możesz w tym wszystkim, Niko? Dzięki Bogu, jesteś rozsądną kobietą i orientujesz się... Znasz mnie na tyle, że nie wątpisz chyba w moje starania — odparł Wiktor matowym głosem. — Nie mogę jednak starać się i za Martę, i za siebie!

— Wstań, Marto, i podejdź tu! Podaj jej moje kapcie, Michasiu. Włożyłam na nogi kapcie Weroniki i zbliżyłam się do niej. Objęła

mnie ramieniem. Nie chciało mi się patrzeć Wiktorowi w oczy.

— To jest miła i dobra dziewczyna, ta wasza Marta — powiedziani ła Weronika z nagłą wesołością — tylko troszkę jędzowata. Wyróżnie!

— dorzuciła przewidująco.

Nagle zdjęła rękę z mojego ramienia, odeszła i tak zostaliśmy z Wiktorem na wprost siebie, pozostawieni na pastwę własnej decyzji.

— No... — powiedziała Weronika prowokacyjnie — ktoś tu się musi okazać mądrzejszy.

I wtedy Wiktor szerokim gestem wyciągnął do mnie ręce. Przez chwilę stał tak i czekał. Zobaczyłam za jego plecami błagalne spojrzenie Michała i ono jak magnes przyciągnęło mnie do Wik-torowych ramion. Ale byłam sztywna, drętwa, jak moja lalka Flora, która nie potrafiła się przytulać.

Wróciliśmy do domu tym samochodem, którym Wiktor przyjechał do Rudzianek. Była to octavia pana Kaniewskiego, naszego sąsiada.) Michał pojechał z nami, namówiony zresztą przez Weronikę, która

chciała, żeby ominął go wieczorny powrót pociągiem.

Od tamtego dnia minęło już trzy dni, a ja z mamą zamieniłam zaledwie kilka słów. Nie dostrzega mnie, jest dotknięta, obrażona i ma \ wyraźną pretensję do Wiktora za to, że traktuje mnie tak, jakby nic się

nie stało. Słyszałam na własne uszy, jak mówiła wczoraj:

— Bo ja, mój drogi, nie umiem przechodzić bez zmrużenia oka

Inad takimi sprawami. Ona nas obraziła zbyt ciężko na to, żebyśmy mogli zostawić ten wyczyn bez konsekwencji. A Wiktor i ja? No, cóż... najpierw jem śniadanie, a potem się myję.

Wiktor nie chodzi już do biura z maszynką do golenia w teczce. Ale to przecież nie jest wcale idylla! Kiedy stuka fajką w popielniczkę, czuję, 127

<

jak włosy stają mi dęba na głowie. Więc jestem ciągle jak ta bibułka rzucona przez kogoś na ulicy, bibułka podniesiona czyjąś ręką na chwilę, rozprostowana i znowu powierzona podmuchom wiatru. Przerzywam, bo przed chwilą zjrzał tu Wiktor i zapytał:

— Bardzo jesteś zajęta, Marto? Bo wiesz, Shimmy piszczy.

24 kwietnia

Wczoraj byłam z Michałem na imieninach jego kolegi, Wojtka. Był to mój pierwszy występ w roli dziewczyny Michała. Zabawne! Kiedy zjawiliśmy się w domu solenizanta, usłyszałam, jak ktoś powiedział:

— To przyszedł Michał ze swoją babką!

Michał był w swoim garniturze, a ja... Właściwie dawno powinnam wpaść na ten pomysł, żeby gdzieś się wybrać w gali. Mama, kiedy zobaczyła, że wybebeszam szafę z ciuchów i mierzę, co się da, natychmiast poczuła skrzydła u ramion i zaczęła ze mną rozmawiać bardziej normalnie. Że powyrastałam, że warto by mi coś sprawić, bo zostały mi do noszenia same buble i że w takim razie jej tergalowa spódnica będzie jedynym wyjściem z sytuacji. Przyodziana w spódnicę mamy i rodzoną trykotową bluzkę w kolorze białym czułam się nieźle i ta szczupła, długonoga osoba, którą obejrzałam sobie w lustrze na wszystkie strony, zupełnie mi odpowiadała. Na głowie, po długich przeróbkach i zmaganiach, ustalił się koński ogon, ale ściągnięty zdecydowanie na lewą stronę, nisko nad uchem. I tak czekałam na mojego Michała, niepewna, co powie.

— O! — zawołał z zadowoleniem — bardzo okey! Zwłaszcza te włosy.

Kiedy wyszliśmy do przedpokoju, Wiktor wyjrzał, żeby nas obejrzeć.

— Pierwszorzędnie, Marta! — pochwalił. — Nobliwie i gustownie. A ty, stary koniu? Pokaż krawat? Śledź, daję słowo, chomąto!

Więc nastąpiła jeszcze drobna przeróbka Michała i wreszcie ulotniliśmy się z domu.

U Wojtka nie znałam nikogo i to bardzo podkreślało moją wyłączną przynależność do Michała. Tańczyłam ze wszystkimi, ale najwięcej z nim. Michał przytulał mnie, gadał w ucho dusery i w ogóle afiszował się ze mną. Pierwszy raz widziałam go takim i... Boże drogi! Jest w tym cudowny!

128

To nie było jego towarzystwo ze szkoły, tylko z drużyny. Wszyscy bardzo przyjemni i widać, że przepadają za Michałem. Nie piło się tam wina i nie paliło, mam nawet wrażenie, że nikt nie wie o ścisłym związku, jaki istnieje między druhami Soroką a ekstra mocnymi! W sumie udany wieczór. Michał odprowadził mnie do domu i mama zatrzymała go na noc, jako że sobota, a Michał ma na Baczyńskiego rozkładane łożo, z którego korzysta niekiedy, okupując wtedy kuchnię. Musieliśmy opowiedzieć na gorąco wrażenia z imienin i mama wydaje mi się rozkrochmalona. Długo to trwało, ale —już! W każdym razie mam nadzieję, że już po kryzysie.

Za miesiąc matura Michała. Ale on jest zupełnie spokojny i mdłości, które odczuwa myśląc o tym wszystkim, są czysto emocjonalne. Bardziej się boi egzaminu na architekturę, bo nie jest łatwo dostać się na wydział. A Michał nie widzi przed sobą innych możliwości. Marzy mu się ta architektura i nie wiem, co będzie, jeżeli obetnie się na egzaminie.

26 kwietnia

Dziś wpadł do nas Michał w mundurze instruktorskim, na którym pełno jakichś znaczków, sznurków, szmatek i innych emblematów, których znaczenia nigdy nie mogę pojąć. Otworzyłam mu drzwi, wtargnął do mieszkania niesłychanie czymś zaabsorbowany. Spędził nas do kuchni, bo Michał najbardziej lubi siedzieć w kuchni, i tam zakomunikował entuzjastycznie:

— Słuchajcie! Biorę obóz pod Nidzicą! Nawet dwa: żeński i męski, obydwa starszoharcerskie. Będziemy mieli kilka miejsc dla nie stowarzyszonych. Jeżeli pozwolicie, Marta może pojechać ze mną.

Mama była zaskoczona, a ja, przyznam się, też! Nigdy nie byłam na żadnym obozie, bo harcerstwo nie odpowiadało mi swoim stylem. Ale z Michałem gotowa byłam na wszystko.

— Anno — nalegał Michał — puść ją! Będę uważał jak na niemowlę!

— Sama nie wiem... — wahała się mama. — Jak ty uważasz, Wiktorze?

— Myślę, że mogłaby pojechać. Tylko ty sama się zastanów, Marto! Cudów nie ma, będziesz tam na jednakowych prawach ze

129

wszystkimi. To nie tylko frajda, ale i trochę roboty. To nie są obozy wypoczynkowe. Uważam, że powinnaś Marcie pozwolić. Mama patrzyła na Michała niezdecydowana.

— Chciałam ją wysłać gdzieś nad morze. Jest taka zielona! Chciałam ją urządzić w Kuźnicy u znajomych rybaków.

— Nasz obóz będzie w lipcu. Na sierpień Marta mogłaby pojechać na Hel. No, pozwól... pozwól, Anno!

Mama popatrzyła na mnie niepewnie.

— No a ty? Masz ochotę?

— Chyba mam. Wiesz, mamo, że mam! — zdecydowałam się.

— Nigdy nie byłam, zobaczę, jak to jest.

— Więc... dobrze! Niech jedzie w takim razie. Michał! Puść mnie, wariacie! Wiktorze, niech on się uspokoi! Masz mnie natychmiast postawić! — wołała mama z głową pod sufitem. Bo Michał uniósł ją jak piórko i rozpaczliwe machanie nogami zupełnie nie ratowało mamy z opresji.

Potem siedzieliśmy u mnie w pokoju i Michał wypisywał długą listę rzeczy, które muszę skompletować przed wyjazdem na obóz.

— Dres! Ależ jak ona będzie wyglądała w dresie? Menażkę? A nie mogłaby wziąć normalnego talerza? Co to jest zasobnik? Michale? Co to jest zasobnik? No, proszę cię, wytłumacz mi!

Mama była przerażona i wyglądało na to, że najchętniej cofnęłaby dane mi pozwolenie. Wiktor pękał ze śmiechu, patrząc na jej zgnębioną minę.

— Na pryczy... — powtarzała mama do reszty złamana psychicznie. — Mówisz, że na pryczy? A czy Marta, jako nie zrzyszona, mogłaby wziąć ze sobą rozkładane łóżko?

— Włos jej z głowy nie spadnie — zapewniał mamę Michał.

— Możesz być zupełnie spokojna! Ani nie będzie chodziła głodna, ani nie będzie chodziła brudna, ani się nie utopi.

— Nie utopi? Jak to, więc tam jest woda? I może jezioro do tego wszystkiego? — zdębiała mama.

— Oczywiście! Jest jezioro! Duże, piękne jezioro. Byliśmy nad nim w zeszłym roku. Nadaliśmy mu nawet własną nazwę, niezależnie od nomenklatury geograficznej. Jezioro Osobliwości... Bo wszystko nad nim i w nim jest bardzo dziwne. Jakiś krajobraz wręcz bajkowy

130

dokoła, a na dnie cała masa osobliwych rzeczy. Kiedy człowiek weźmie płetwy, maskę i zanurzy się w głąb, to czuje się tak, jak na filmach Disneya. Jakieś głązy, kamienie, leżące tam czort wie ile lat. Kapitalne!

Mama była załamana.

— Ja nie wiem... Może będzie lepiej, jeżeli Marta nie pojedzie? Jezioro, a ja tak panicznie boję się wody!

— Możesz być zupełnie spokojna! — zapewnił mamę Michał.

— Kąpać się można tylko w określonych ściśle godzinach, na brzegu jest ratownik, a cały sprzęt pływający: łódki, kajaki są przecież zabezpieczone. Nikt nie ma prawa ich brać bez pozwolenia ratownika i komendanta obozu. A propos, Marto, czy ty masz kartę pływacką?

— Nie.

— Musisz zrobić.

— Czekaj, Michał — wtrąciła się mama. — Zanim ona zacznie robić kartę pływacką, ty mi powiedz, czy taki ratownik potrafi w razie czego interweniować?

— Jasne! Żeby zostać ratownikiem, trzeba przejść odpowiedni kurs i zdać egzamin. Na naszym obozie ja będę ratownikiem.

— Mówiłeś, że jesteś komendantem obozu?

— Ale ratownikiem też. Zresztą przed wyjazdem muszę podpisać w komendzie hufca oświadczenie, że ponoszę całkowitą odpowiedzialność za wszystkich uczestników obozu i za zabezpieczenie sprzętu. Naprawdę, możesz być spokojna, Anno! To nie jest mój pierwszy obóz.

— Czuję, że nie zmrużę oka przez ten czas, kiedy będziecie nad tym całym Jeziorcem Osobliwości... — skrzywiła się mama. — Wiktorze, czy ty sypiasz, jak Michał jest na obozie?

— Sypiam! Znakomicie sypiam!

— Mamo, czy ja naprawdę nie mogę mieć prawa do przygody?

— zapytałam widząc, że mama łamie się w swojej decyzji.

— Tylko ty mi nie wyjeżdżaj z przygodami! — zamachała rękoma.

— Żadnych przygód, proszę cię!

— Mamo, a to twoje zdjęcie na barykadzie przy Wspólnej? Czy musiałaś tam być?

131

\

— Nie, Marto! Nie musiałam — przyznała. — Po prostu chciałam.

— Byłaś przecież w moim wieku. I na pewno było to dla ciebie w równym stopniu przygodą, jak i patriotycznym zrywem.

— Toteż nie bronię ci, kochanie. Jedź z Michałem — westchnęła mama. — Jedź nad to Jezioro Osobliwości i niech wam będzie nad nim jak najlepiej.

— To brzmi jak błogosławieństwo — roześmiał się Wiktor i zauważyłam, że popatrzył na Michała z domyślnym uśmiechem. Potem przerzucił spojrzenie na mnie, uśmiech nieco ostygł i Wiktor postukał fajką w popielniczkę! O, Boże...

29 kwietnia

Jaka piękna niedziela! Ale co mi po niej? Michał zamelinował się na Kruczej. Odmówił mamie przyjścia na dzisiejszy obiad stawiając ponad pieczeń z buraczkami i moje wdzięki — matematyczne koszmary! Mój koniec roku przebiegnie spokojnie, mogę finiszować bez nerwów, ponieważ dobrze wyszłam z bloku startowego. Mańka wyszła źle, ale w końcu ona też dojdzie do mety, chociaż nie w czołówce. Byłyśmy dziś rano w łazienkach i długo włączyłyśmy się po parku. To może sprawa umowna, ale najbardziej czuję swoją młodość, kiedy wybucha wiosna. Wracając do domu spotkałam Patryka. Nie po raz pierwszy zresztą od tamtej nocy spędzonej u niego, która nic nie znaczyła dla mnie, a tak wiele dla Patryka i dla Michała. Bo Michał do tej pory wypomina mi ją jak grzech śmiertelny, a Patryk powiedział mi w kilka dni potem:

— Widzisz? Wszystko się jakoś ułożyło, niepotrzebnie szarpałaś sobie nerwy. Mnie zresztą również.

— Tobie?

— Tak! Myślisz, że to było miłe?

Popatrzył na mnie wymownie, ale cóż ja mogę poradzić? Gdyby można było kochać dwóch chłopców jednocześnie, na pewno kochałabym także Patryka.

Ale dziś nie było już mowy o tamtym. Odprowadził mnie do domu i rozśmieszył do łez opowiadaniem o swoich przygotowaniach do matury. Bo Patryk przyjął inny system niż Michał. Nie uczy się po

132

całych dniach i nocach, tylko idąc do szkoły zachodzi pod kościół św. Aleksandra i tam wręcza dwa złote babinie siedzącej przy wejściu. Ta odmawia za niego litanie i Patryk ma nadzieję, że w ten sposób uda się całą sprawę załatwić. Kiedy powiedziałam, że jest to wstrętne asekuranctwo, Patryk odparł:

— Możliwe, że asekuranctwo, ale wcale nie wstrętne, babina też ma z tego sześćdziesiąt złotych miesięcznie. Sprzedałem cztery serie znaczków, żeby jej zabezpieczyć stały dochód.

Swoją drogą, to ja mam z Patrykiem spory kłopot. Dziś odprowadził mnie aż do pierwszego piętra i tam jeszcze przez pół godziny sterczeliśmy przy oknie. Patryk znowu uderzył w ton

sentymentalny. Muszę przyznać, że te akordy wychodzą mu zgrabnie, ale przecież ja naprawdę nic nie czuję do niego, nic więcej poza...

Rozdział V

Wiktor odłożył granatowy brulion. Ostatnie zdanie urywało się w połowie i niewątpliwie miało swój dalszy ciąg, ale gdzie?

Otworzył szufladę biurka i przejrzał dokładnie wszystkie papiery. Były pośród nich jeszcze dwa bruliony podobne do tego, który trzymał w ręku. Ale Wiktor obydwaj już przeczytał i nie chciało mu się wierzyć, że notatki Marty kończyły się z dniem 29 kwietnia, i to w połowie zdania! Najprawdopodobniej jeden zeszyt musiał zostać w plecaku. Brulion, który Wiktor miał przed sobą, był zapisany do końca. Z przedpokoju dobiegał szum elektrycznej froterki. To Michał kończył sprzątanie mieszkania, którego od kilku dni nikt nie tknął szczotką. Anna pochłonięta chorobą Marty nie miała głowy na porządki, a w czasie jej częstych nieobecności ani Wiktor, ani Michał nie myśleli o domu. Dopiero tego popołudnia Michał oprzytomniał.

— Tato, ja chyba sprzątnę — ocknął się. — Wszędzie jest niesamowity bałagan! Jeżeli Marta ma wrócić pojutrze, Anna zaraz złapie się za szczotki. Czy to pewne, że Marta wychodzi ze szpitala pojutrze?

— Tak powiedział mi lekarz.

Wtedy Michał wstał, poszedł do kuchni i wyciągnął elektroluks ze schowka. Później przyszedł do ojca i poprosił o pieniądze na pastę. Wiktor wstał i zajrzał do przedpokoju.

— Froterowałaś już u Marty? Można tam wejść? — zapytał Michała.

— Tak, tato.

134

Wiktor przeszedł do pokoju Marty. Zastał idealny porządek. Przemyślany, bo nawet dywanik, który Marta przed swoim wyjazdem zwinęła i przesypała naftaliną, wyczyszczony leżał na dawnym miejscu. Tylko nie rozpakowany plecak tkwił w kącie między tapczanem a oknem.

Wiktor wyciągnął go, rozwiązał sznur i dokładnie sprawdził zawartość. Ale nie znalazł brakującego brulionu.

— Czego tam szukasz, tato? — zapytał Michał stając w drzwiach.

— Szukam takiego dość grubego, granatowego zeszytu — wyjaśnił Wiktor. — Nie brałeś stąd niczego?

Po dłuższej chwili zastanowienia, Michał powtórzył wolno: ?— Dość grubego, granatowego zeszytu...

— Tak! Marta prosiła, żebym go przejrzał! Michał przecząco poruszył głową.

— Nie.

— Nie brałeś?

— Brałem! Ale nie chcę, żebyś go przeglądał.

— Twoje chcenie nie ma nic do rzeczy! — stwierdził Wiktor. — Marcie zależy na tym, żebym przeczytał jej zapiski, i to jest chyba decydujące!

— Nie — powiedział Michał twardo — to wcale nie jest decydujące! Treść tych notatek należy również do mnie! Ja także mam tu coś do powiedzenia. — Wyłączył froterkę i dorzucił: — Może nawet przede wszystkim ja mam tu coś do powiedzenia.

Wiktor odrzucił kolorowe bluzki Marty i usiadł na tapczanie.

— Czy jest w tym brulionie coś, czego musisz się wstydzić przede mną, Michał? Bo na to wygląda.

— Nie, ale chyba każdy ma i powinien mieć rzeczy, które są tylko dla niego. Wiesz, tato, o co mi chodzi? Przeżycia, o których nikt inny nie potrzebuje wiedzieć. Podziwiam Martę... Widocznie... — zawahał się i dokończył z wysiłkiem — widocznie dla niej nie miało to żadnego znaczenia.

— Widzisz, Michał, trochę to jest inaczej. Sytuacja między Martą a mną do końca była napięta. Orientujesz się przecież! Owszem, były okresy lepsze, spadało napięcie, mały problemy. Niestety na krótko! A po tych ostatnich wydarzeniach mamy znowu zetknąć się ze sobą na

135

dawnej płaszczyźnie i Marta najwyraźniej zdała sobie sprawę, że bez wyjaśnienia pewnych rzeczy stanie się to jeszcze większym koszmarem, niż było. Muszę ci powiedzieć, że przeczytałem już trzy bruliony jej notatek i w sumie na pewno dużo mi to dało. Tak się złożyło, że musiałem przeoczyć czwarty brulion. Zostawiłem go w plecaku, a tyś go wyjął.

— Nie grzebałem w plecaku Marty. Widziałem, że te zeszyty są u ciebie. Czwarty brulion wyjąłem z twojego biurka. Tylko dlatego, że zależało mi na nim w zupełnie szczególny sposób.

— Ta pierwsza połowa lipca jest dla ciebie taka istotna? — zapytał Wiktor.

— Nie. Cóż pierwsza połowa lipca? Znaie ją wszyscy nieomal tak samo dokładnie, jak ja. Maj i czerwiec...

— Daj mi ten brulion — powiedział Wiktor wyciągając rękę.

— Gdzie go masz?

— Nie, tato.

— Daj mi ten brulion, Michał — powtórzył Wiktor kategorycznie

— a ja ci w zamian dam słowo, że nie przeczytam ani jednej kartki z maja i czerwca!

Michał spojrzał Wiktorowi w oczy.

— Dajesz słowo.

— Tak.

Odwrócił się i wyjął brulion pomiędzy książek stojących na regale.

— Proszę.

Ale Wiktor nie wziął zeszytu. Szukał czegoś po kieszeniach, wyjął kilka spinaczy i podał je Michałowi.

— Zepnij te strony. Będziesz miał absolutną pewność, że nie przeczytam niczego, nawet przypadkiem.

Michał usiadł na tapczanie obok ojca. Przerzucił kilkanaście stron zeszytu i złączył je w paru miejscach spinaczami.

— Dla twojej wiadomości — powiedział Michał stłumionym głosem — tu jest ten okres, kiedy mieszkałem na Baczyńskiego przed samą maturą... i moja matura, bal maturalny, na którym byliśmy z Martą... I potem są dwa dni w Rudziankach. Mama była wtedy na delegacji, a Marta miała szkolną wycieczkę. Nie chcę, żebyś czytał, ale możesz wiedzieć. Nie pojechała na tę wycieczkę. Jest awantura, którą zrobiłem Marcie o Patryka, może niesłusznie, może słusznie... I co dla

ciebie, tato, najistotniejsze — są trzy czy cztery scysje z tobą. O wodę rozlaną w łazience, o jakieś odezwanie Marty do Anny, po którym płakały obydwie przez całą noc i... nie pamiętam... nie, nie mogę sobie przypomnieć, o co były te dalsze spięcia.

Wiktor wziął brulion z rąk Michała i przeszedł do swojego pokoju. W przedpokoju zaszumiła froterka.

Wiktor spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta, o piątej miał być u Marty. A więc czytanie trzeba będzie odłożyć na wieczór. Odsunął szufladę, aby wsunąć do niej granatowy zeszyt, ale przed tym otworzył go jeszcze raz i ujął dłońią spięte dokładnie stronicę. Nie było tego dużo, a jednak Wiktor był pewien, że tych parę spinaczy zamyka przed nim coś, co sam w życiu cenił najwięcej: miłości nie tylko urok, ale kulturę i sens.

— Nie dasz się namówić, Michał? — zapytał Wiktor w chwilę później. — Idę do Marty.

— Zapastuję u was w pokoju! — usłyszał w odpowiedzi i więcej nie nalegał.

Michał do tej pory nie był u Marty, chociaż Wiktor i Ligota zachęcali do pójścia.

— Poczekam, aż wyjaśni się sprawa z Patrykiem! — powtarzał uparcie.

I tylko wczoraj, kiedy Wiktor wpadł do szpitala, żeby podrzucić Marcie porcję świeżych truskawek, zauważył stojące na jej szafce róże o czerwieni tak mocnej, że aż wpadającej w odcień fioletu. Obok leżała kartka pisana ręką Michała. Marta zauważyła spojrzenie Wiktora i podała mu ją bez komentarza. Był to urywek wiersza.

Za smutek mój i Pani wdzięk ofiarowuję Pani pęk liliowych melancholii...

? * *

2 lipca

Siedzę w namiocie razem z dziewczętami z zastępu „Sofinetki”. Dziewcząt jest siedem i czują się związane nie tylko wspólnie złożonym

137

przyrzeczeniem, barwą drużyny i obowiązkiem przestrzegania prawa harcerskiego, ale także i głębokim, szczerym i obłudnym uwielbieniem dla Sophii Loren. Na wprost wejścia do namiotu wisi fotos ich patronki, na którym Zośka prezentuje swoje wdzięki. Kiedy komenda obozu przeprowadzała pierwszą kontrolę porządku, druhowie długo stali przed naszą Zośką.

— To jest nie po linii — obruszył się wreszcie niejaki Pijanowski. — Musicie to zdjąć!

— Co jest nie po linii? — zapytała zastępowa „Sofinetek”, Katarzyna.

Pijanowski wykonał kilka nieskoordynowanych ruchów.

— No... no... no ten biust i ta... ta cała reszta!

— Dlaczego nie patrzysz na oczy? Spójrz lepiej, Pijanosiu, jakie ona ma oczy! A ty pierwsza rzecz — na biust! Mnie się wydaje, że właśnie taki pogląd na sprawę jest nie po linii! Druhu Soroko! Podziwiam, że trzymasz Pijanosa przy swoim boku. On ma stanowczo zbyt kosmate myśli jak na przybocznego.

Michał przezornie wlał pod stół i sprawdzał, czy porządnie zamocowałyśmy deski. Wolał nie patrzeć na głupią minę Pijanow-skiego. Zośka została.

Dziewczęta są bardzo, bardzo przyjemne! Szczególnie podoba mi się Katarzyna i mała, czarna Jarka, która w czymś przypomina mi Mańkę.

Po dziesiątej obowiązuje nas cisza nocna. Boże drogi! Jak to wygląda! Grażyna z Irką grają w kości i kłócą się przy każdym rzucie jak przekupki. Iwona zakręca włosy na siatkowe wałki i klnie, bo coś tam jej nie wychodzi, a Katarzyna wymyśla Lilce, bo ta przyjechała na obóz z autentycznym piernatem. Jarka siedzi na swojej pryczy, gra na gitarze i śpiewa po włosku „O sole mio!”, co oczywiście przypomina mi Wiktora i poranki na Baczyńskiego. No, a ja piszę przy kopczącej lampie naftowej, jeszcze trochę tu obca, ale nie na tyle, żeby czuć się głupio. Bo najcudowniejsza jest świadomość, że ponad naszym namiotem jest niebo pełne gwiazd i las szumiący cicho, dostojnie, tajemniczo! I że przed nim jak okiem sięgnąć rozciąga się ukochane jezioro Michała, które naprawdę jest piękne i osobliwe! Dziś Michał oprowadzał mnie po jego brzegu z miną dumnego gospodarza. Słońce

138

już zachodziło, woda mieniła się zielenią i złotem. Nasza mała plaża, ogarnięta łukiem lasu, biała jasnym piachem. Na jej krańcu chłopcy wybudowali drewniany pomost, nisko ponad wodą jeziora. Staliśmy z Michałem na tym małym molo i łagodny wiatr chłodził nam twarze.

— Zadowolona? — pytał mnie Michał.

— Mmmm... — mruczałam tylko.

Bo jakże jestem zadowolona! Michał to widzi i chociaż na dzisiejszej kontroli porządku bezlitośnie wytknął mi bałagan w plecaku, wiem, że cieszy się na równi ze mną.

Nareszcie Jarka przeszła na repertuar bardziej współczesny. Katarzyna goni nas do spania, ale sama tanecznym krokiem chodzi dokoła stołu i śpiewa razem z Jarką. Chyba przyłączę się do nich, bo nawet Grażyna i Irka przestały się kłócić, schowały kostki i przeniosły się na łóżko Jarki. No tak! Czuję, że prześpiewamy połowę nocy!

3 lipca

Nie tylko połowę nocy! Czuję, że prześpiewamy cały miesiąc! Tak nam to świetnie wychodzi, że pomału zdobywamy sobie zasłużoną chyba sławę. Bo kiedy wczoraj przekonaliśmy się, że

nasze głosy idealnie do siebie pasują, na gorąco zmontowałyśmy mały recital i na dzisiejszym ognisku dałyśmy pierwszy występ. Furora! Michał koniecznie chce zorganizować ognisko dla młodzieży z najbliższych okolic! Oczywiście nasz zastęp ma trzymać cały program!

Opaliłam się. W południe leżałyśmy z Jarką na plaży. Ugadałyśmy się do nieprzytomności! Jarka jest przemiła, chociaż trochę egzaltowana! Myślę, że ta nadmierna ilość wykrzykników, którą teraz stawiam, to wpływ jej osobowości. Ona w ogóle nie potrafi mówić bez wykrzykników, w jej trzepaniu kropki nie mają racji bytu.

— Słuchaj, Marta — zapytała mnie bez ogródek — wy się kochacie z Michałem, prawda?

Nie zaprzeczyłam.

— To widać! Widać z punktu! Dobrze wybrałaś! On jest fantastyczny! Cudowny! Popatrz, ja jeszcze nigdy nie trafiłam na chłopca, który by mi się naprawdę podobał! Chyba mam pecha, co? Kręci się

139

kilku koło mnie, ale żaden nie wydaje mi się porywający! Michał od razu wydał ci się porywający? *

Z Jarki byłaby świetna dziewczyna dla Patryka. Muszę koniecznie poznać ich ze sobą.

Jutro nasz zastęp ma służbę. Na obiad będziemy gotowały kartoflankę, na drugie makaron z mięsem konserwowym. Najbardziej boję się szorowania zakopconych kociołków i nocnej warty. Wszystkie zastępy, które do tej pory miały służbę, nocne warty organizowały tak, że dziewczęta czuwały po dwie przez dwie godziny. Katarzyna uparła się, że u nas będzie inaczej: każda będzie miała jedną godzinę. Boję się piekielnie, to takie samotne łożenie po nocy wcale mi się nie podoba i obawiam się, że umrę ze strachu już po piętnastu minutach! Wykrzyknik! Oczywiście wykrzyknik!

4 lipca

Kartoflankę rozgotowałyśmy na uroczą, zawieszistą bryję! Ale w smaku była genialna. Kluchów nigdy nie obdarzałam sympatią, zjadłam, bo apetyt mam tu zawrotny. Michał znowu wytrząsał się nad moim plecakiem, który zostawiłam pośrodku namiotu przez zwykłe zapomnienie. Michał mógłby sobie darować tę służebność w stosunku do mnie. Kiedy mu to powiedziałam po południu, usiłował mi tłumaczyć, że przede wszystkim obowiązuje go sprawiedliwość i przestrzeganie porządku, bo inaczej mielibyśmy tu śmietnik, a nie obóz, Michał narzeka, że w ogóle ma dużo kłopotów, bo trudno mu jest utrzymać w garści chłopaków. Ale przecież ja nie jestem chłopak, tylko spokojna dziewczyna, która zapomniała, że miejsce plecaka jest na stojaku. Michał przesadza.

Czekam na swoją wartę, nie kładę się spać, bo mam służbę od dwunastej do pierwszej w nocy. Wkładam dres, bo noc jest dziś chłodna. I wiatr. Nie ma nawet księżycy, który mógłby

mi towarzyszyć w moich nocnych zmaganiach z niewidzialnymi duchami, bo te, chociaż bezcielesne, obskoczą mnie na pewno zaraz po wyjściu z namiotu!

Lilka mnie woła. Bogowie, miejcie w opiece biedną Martę, jej trwogę i rozpacz!

140

5 lipca

Och, dzisiejszy dzień był pełen wrażeń. Zaczęło się to już o dwunastej w nocy. Kiedy Lilka śmignęła do namiotu i zostałam sama... uff... mężnie obeszłam cały obóz dookolotka. Najpierw rzuciłam okiem na nasze namioty, potem przeszłam obok namiotu komendy i ruszyłam w ciemność, żeby sprawdzić, czy u chłopców też wszystko jest w porządku. Kiedy szłam oświetlając sobie dróżkę latarką, nagle coś miauknęło. Stałam jak wryta. Nie, nie! Nie było to żadne męstwo! Po prostu, ze strachu nie miałam siły uciekać! I znowu miauknięcie jedno, drugie, trzecie! Po chwili zorientowałam się, że to chłopcy z zastępu „Renów”. Dopiero wtedy odzyskałam władzę w nogach, wsunęłam głowę do ich namiotu i ochrzaniłam na czym świat stoi! Ale im bardziej wymyślałam, tym bardziej byli zachwyceni. Wreszcie stwierdziłam lakonicznie, że powinni zmienić miano z „Renów” na „Osły” i czym prędzej zawróciłam do naszej części obozu, bo tam czułam się bezpieczniej. Przycupnęłam sobie na brzegu pomostu i wlepiłam wzrok w flagę, przymocowaną do masztu. Ta flaga jest tu czymś ogromnie ważnym i chyba by mi głowę ukręcili, gdybym jej nie ustrzegła przed czyhającym na nią agresorem o bliżej nieokreślonej postaci.

I taką skuloną zastał mnie Michał.

— Masz w tej chwili iść do namiotu! — zawołałam, kiedy się zbliżał. — Nikt tu nie ma prawa plątać się po nocy!

— Ja jestem uprawniony. — Rozsiadł się wygodnie obok mnie. — Bałaś się?

— Jak diabli!

— Tak myślałam, wiesz? Tymi mniej więcej słowami: Martunia tygrys nie jest, trzeba by ją psychicznie podeprzeć. Piękna noc, prawda?

— Piękna, ale przyznam ci się, że przed paroma minutami wydawała mi się szczególnie obrzydliwa!

— Przeczujęm widać...

Oparłam głowę o jego ramię, ale służbiście wpatrywałam się w maszt. Siedzieliśmy tak sobie i gadali, aż w pewnej chwili jakiś cień przebiegł za namiotem „Zawilców”. Michał podniósł się i skierował w tamtą stronę mocne światło swojej latarki. Nikogo nie było.

141

kilku koło mnie, ale żaden nie wydaje mi się porywający! Michał od razu wydał ci się porywający?

*

Z Jarki byłaby świetna dziewczyna dla Patryka. Muszę koniecznie poznać ich ze sobą.

Jutro nasz zastęp ma służbę. Na obiad będziemy gotowały kartoflanę, na drugie makaron z mięsem konserwowym. Najbardziej boję się szorowania zakopconych kociołków i nocnej warty. Wszystkie zastępy, które do tej pory miały służbę, nocne warty organizowały tak, że dziewczęta czuwały po dwie przez dwie godziny. Katarzyna uparła się, że u nas będzie inaczej: każda będzie miała jedną godzinę. Boję się piekielnie, to takie samotne łożenie po nocy wcale mi się nie podoba i obawiam się, że umrę ze strachu już po piętnastu minutach! Wykrzyknik! Oczywiście wykrzyknik!

4 lipca

Kartoflanę rozgotowałyśmy na uroczą, zawiesistą bryję! Ale w smaku była genialna. Klucho w nigdy nie obdarzałam sympatią, zjadłam, bo apetyt mam tu zawrotny. Michał znowu wytrząsał się nad moim plecakiem, który zostawiłam pośrodku namiotu przez zwykłe zapomnienie. Michał mógłby sobie darować tę służebność w stosunku do mnie. Kiedy mu to powiedziałam po południu, usiłował mi tłumaczyć, że przede wszystkim obowiązuje go sprawiedliwość i przestrzeganie porządku, bo inaczej mielibyśmy tu śmietnik, a nie obóz, Michał narzeka, że w ogóle ma dużo kłopotów, bo trudno mu jest utrzymać w garści chłopaków. Ale przecież ja nie jestem chłopak, tylko spokojna dziewczyna, która zapomniała, że miejsce plecaka jest na stojaku. Michał przesadza.

Czekam na swoją wartę, nie kładę się spać, bo mam służbę od dwunastej do pierwszej w nocy. Wkładam dres, bo noc jest dziś chłodna. I wiatr. Nie ma nawet księżycy, który mógłby mi towarzyszyć w moich nocnych zmaganiach z niewidzialnymi duchami, bo te, chociaż bezcielesne, obskoczą mnie na pewno zaraz po wyjściu z namiotu!

Lilka mnie woła. Bogowie, miejcie w opiece biedną Martę, jej trwogę i rozpacz!

140

5 lipca

Och, dzisiejszy dzień był pełen wrażeń. Zaczęło się to już o dwunastej w nocy. Kiedy Lilka śmignęła do namiotu i zostałam sama... uff... mężnie obesłam cały obóz dookolotka. Najpierw rzuciłam okiem na nasze namioty, potem przeszłam obok namiotu komendy i ruszyłam w ciemność, żeby sprawdzić, czy u chłopców też wszystko jest w porządku. Kiedy szłam oświetlając sobie dróżkę latarką, nagle coś miauknęło. Stałam jak wryta. Nie, nie! Nie było to żadne męstwo! Po prostu, ze strachu nie miałam siły uciekać! I znowu miauknięcie jedno, drugie, trzecie! Po chwili zorientowałam się, że to chłopcy z zastępu „Renów”. Dopiero wtedy odzyskałam władzę w nogach, wsunęłam głowę do ich namiotu i ochrzaniłam na czym świat stoi! Ale im bardziej wymyślałam, tym bardziej byli zachwyceni.

Wreszcie stwierdziłam lakonicznie, że powinni zmienić miano z „Renów” na „Osły” i czym prędzej zawróciłam do naszej części obozu, bo tam czułam się bezpieczniej. Przycupnęłam sobie na brzegu pomostu i wlepiłam wzrok w flagę, przymocowaną do masztu. Ta flaga jest tu czymś ogromnie ważnym i chyba by mi głowę ukręcili, gdybym jej nie ustrzegła przed czyhającym na nią agresorem o bliżej nieokreślonej postaci.

I taką skuloną zastał mnie Michał.

— Masz w tej chwili iść do namiotu! — zawołałam, kiedy się zbliżał. — Nikt tu nie ma prawa plątać się po nocy!

— Ja jestem uprawniony. — Rozsiadł się wygodnie obok mnie. — Bałaś się?

— Jak diabli!

— Tak myślałam, wiesz? Tymi mniej więcej słowami: Martunia tygrys nie jest, trzeba by ją psychicznie podeprzeć. Piękna noc, prawda?

— Piękna, ale przyznam ci się, że przed paroma minutami wydawała mi się szczególnie obrzydliwa!

— Przeczujęm widać...

Oparłam głowę o jego ramię, ale służbiście wpatrywałam się w maszt. Siedzieliśmy tak sobie i gadali, aż w pewnej chwili jakiś cień przebiegł za namiotem „Zawilców”. Michał podniósł się i skierował w tamtą stronę mocne światło swojej latarki. Nikogo nie było.

141

Zostałam na pomoście, a Michał pobiegł w stronę magazynu, gdzie musiał się ukryć tajemniczy ktoś. Po chwili usłyszałam spokojną rozmowę, ale nie rozumiałam słów.

— To Pijanowski! — wyjaśnił Michał wracając na pomost.

— Czego szukał?

— A, tak łąził. On też ma prawo kontrolować warty.

— Nie wiedział, że tu jesteś?

— Nie zwierzałem mu się! — Michał uśmiechnął się do mnie, ale minę miał skwaszoną.

— Jesteś zły, że nas zastał razem? — domyśliłam się. — A co to komu szkodzi?

— Mnie szkodzi! Bo właśnie dziś wieczorem miałem długą mowę do chłopaków, że za dużo płaczą się u was, a za mało robią u siebie. Nie wykonaliśmy jeszcze żadnej z tych rzeczy, które zaplanowane były na pierwszy tydzień. Kontakty z miejscową ludnością, pomoc przy budowie domu kultury w Jabłonce... Oni mi się rozłają, rozumiesz, każdy sobie. Ten obóz jest

zlepiony z kilku drużyn, i tak Bogiem a prawdą, to zupełnie nie znamy większości chłopaków, ani ja, ani Pijanowski! Z dziewczętami jest lepiej. Psia nędza, że też Pijanowski musiał się tu przyturlać — przypomniał sobie nagle.

— Przecież sam mówiłeś, że kontrolowanie wart należy do twoich obowiązków.

— Kontrolowanie wart, ale nie przesiadywanie z babką na pomoście i obejmowanie ramieniem jej giętkiej kibici — roześmiał się Michał ironicznie.

— Widzisz, a to jest właściwie jedyna rzecz, której mi tu brak. Niby jesteśmy razem, a w gruncie rzeczy widzujemy się bardzo mało. Ty wiecznie masz coś na głowie, ciągle się spieszysz, a ja...

— Mówiłaś, że jest ci dobrze u Katarzyny?

— Tak! Ale to głupio tęsknić za kimś, kto jest dwa kroki ode mnie.

Michał spojrzał na zegarek.

— Kogo budzisz?

— Jarzę.

— Już czas!

Podnieśliśmy się z pomostu i wolno ruszyliśmy w stronę namiotu.

142

— Marta, jeżeli chcesz, powiem Katarzynie, żeby cię wzięła ze sobą do Nidzicy. Ona będzie dziś rano załatwiać zezwolenie na wycieczkę do Zamku Krzyżackiego. Widziałaś Zamek, jak jechaliśmy tutaj? No! Więc ten Zamek jest teraz zamknięty na cztery spusty i Kaśka musi wydusić zezwolenie od konserwatorów. Chcesz pojechać z nią?

— Dobra! Pojadę!

— Kupisz mi pastę do zębów?

— Pewnie, że kupię.

Michał poszedł do namiotu komendy, ja obudziłam Jarzę.

— Działo się coś? — zapytała od razu przytomna.

— Nie.

— To szkoda! Zwiększa się prawdopodobieństwo, że może się dzieć na mojej warcie.

Z samego rana pojechałam z Katarzyną do Nidzicy. Ale o tym napiszę później, bo przyleciała Lilka i będziemy malowały afisze. Uroczyste zaprosiny mieszkańców na nasze ognisko.

6 lipca

Dziś od rana leje deszcz i tak się objamamy jedna o drugą, że aż żal patrzeć! Korzystam więc z okazji, żeby opisać pobyt w Nidzicy, bo przecież obfitował we wrażenia.

Rozstałyśmy się z Katarzyną przed piekarnią. Ona pognęła szukać odnośnych władz rządzących Zamkiem, a ja wtargnęłam do piekarni, żeby uciszyć swój żołądek, który domagał się stawy w postaci drożdżowych ciastek. Dwa pulchne z makiem wcisnęłam do torby, niech ten mój fantastyczny, cudowny — też ma jakąś realną korzyść z mojego wypadu. Potem poszłam do Samu, żeby zdobyć kilka drobiazgów, których kupno obiecałam dziewczętom. Ale pasty, o którą prosił Michał, w Samie nie było i zaczęłam błąkać się w poszukiwaniu jakiejś drogerii. Drogerii nie znalazłam, ale na ulicy prowadzącej w stronę dworca spotkałam się nos w nos z Patrykiem.

— Wyglądasz jak stary, doświadczony tramp! — zawołał na mój widok. — Co też ideologia może zrobić z porządnego człowieka! — zakpił.

143

- Nawet nie ideologia. Wiesz przecież, że do harcerstwa mam zupełnie platoniczny stosunek. Trafiły mi się cudowne wakacje, możesz sobie drwić z mojego wyglądu, bo to i tak niczego nie zmieni. A ty? Jesteś u wuja?

— Tak. Nawet nieźle mi się dzieje.

— Masz jakieś towarzystwo?

— Z tym gorzej. Zresztą nie szukam.

Nagle przypomniała mi się Jarka. „Ależ to wspaniała okazja, żeby ich poznać!” — pomyślałam i zanim dokładnie zastanowiłam się nad tym, co robię, zaproponowałam Patrykowi:

— Przyjechałbyś do nas. Morowo jest, nie masz pojęcia! Jest tam jedna babka, która pasuje do ciebie jak ulał!

— Wiem o tym — powiedział — bardzo dobrze o tym wiem. I wcale nie muszę daleko jechać, żeby ją mieć przy sobie. Wystarczy mi powiedzieć: Marto, zapraszam cię na lody!

— Eh, dałbyś spokój! — zachnęłam się. — Nie wiesz, gdzie tu można dostać pastę do zębów?

— W tym kiosku. — Wskazał palcem kiosk przy rogu ulicy.

— Pójdiesz na lody, Marto?

Miałam jeszcze czas, a co ważniejsze, miałam i piekielną ochotę na lody.

— Dobrze. Kupimy pastę i możemy gdzieś pójść. Ale ja nie mam dużo czasu. Umówiłam się przy przystanku autobusowym o jedenastej, musimy się pospieszyć.

Więc zaczęliśmy się spieszyć i o mało nie wpadłam pod samochód, który wiózł butelki do wytwórni wina.

— Gdzie się podziała twoja elegancja i umiarkowane gesty?

— śmiał się Patryk, kiedy wystraszona stanęłam na chodniku.

— Jesteś przezabawna w swoim nowym wydaniu!

Kierowca ciężarówki mamrotał mocne słowa pod moim adresem. Patryk wziął mnie pod rękę i zaprowadził do lodziarni.

— Tu nie ma gdzie usiąść, ale lody pierwszorzędne!

— Nie cierpię jeść na ulicy! — jęknęłam.

— O! Więc jednak zostało ci trochę z wielkomiejskich upodobań?

— Nieco! Ale zbyt mało na to, żebym odmówiła sobie największej porcji lodów na świecie.

144

Potem usiedliśmy z Patrykiem na ławce przed Samem. Lody, chociaż cudowne w smaku, rozpuszczały się szybko, ciekły mi po palcach i nie mogłam sobie z nimi dać rady.

— Masz chustkę, Marto! — zaofiarował mi Patryk swoją, widząc, że bezskutecznie grzebię w otchłaniach torby.

— No, jak? Wybierzesz się na nasze ognisko? — zapytałam.

— Kiedy?

— Dziesiątego.

— Michał będzie wściekły, jak mnie zobaczy.

Patryk ma rację. Michał na pewno będzie wściekły. Ale chodzi mi o Jarkę. Jestem przekonana, że będą sobą zachwyceni i może to uspokoi wreszcie Michała.

— Przyjedź koniecznie! Proszę cię! — namawiałam Patryka. Minę miał niewyraźną, ale jestem pewna, że przyjedzie. Jarce nic

nie powiedziałam. Nie chcę, żeby wyobrażała sobie Bóg wie co, bo wtedy może się zawieść. Michałowi również nie zwierzyłam się ze spotkania z Patrykiem. Nawet jeżeli przyjedzie,

Michał może sądzić, że Patryk dowiedział się o ognisku z afiszy, które chłopcy rozlepili także i w Nidzicy. Nasz zastęp wystąpi z kilkoma piosenkami. Mam nadzieję, że wszystko się uda, bo na próbach śpiewamy bardzo dobrze.

8 lipca

Nie powinnam pisać, bo łyżką mi ciurkiem na brulion i zupełnie nie potrafię zebrać myśli. Jest tak pięknie na dworze, a siedzę w namiocie, bo nie chcę obnosić pomiędzy wszystkimi swojego rozgoryczenia.

Dziś raniutko Katarzyna posłała mnie do namiotu komendy, żebym zaniosiła listy, które dziewczęta napisały do domów. Fredek Rębacz jechał do Wykna i miał wstąpić na pocztę. W komendzie akurat kończyli śniadanie, Michał nalał mi kawy i usiadłam razem z nimi przy stole.

— Wielki to dla mnie zaszczyt pić kawę z generalicją — zażartowałam.

— Jak tak, to dostaniesz jeszcze kawałek chleba z marmoladą — zdecydował Antek. — Naszykuj jej, Michał, niech dziewczyna ma radość.

145

Michał ukroił pajdę chleba, posmarował grubo marmoladą i wręczył mi uroczyście. Potem obejrzał z obrzydzeniem swoje lepkie Palce.

— Ale się upaćkałem... Nie ma który chustki? Uprałem swoje i olokre wiszą na sznurku.

I wtedy ja, idiotka, wyjęłam z kieszeni spódnicy wielką białą chustkę i podałam ją Michałowi. Gwizdnął.

— Ależ to całe prześcieradło! Popatrzcie, zacni druhowie! Taka to starczy na całą zakichaną drużynę!

Michał wyprostował chustkę i spojrzał na nią z uznaniem. Potem uśmiech znikł z jego twarzy i Michał nie odrywał wzroku od narożnika chusteczki, na którym czerwonym kordonkiem wyhaftowane było wyrażenie: Patryk.

Chłopcy zauważyli zaskoczenie Michała i natychmiast rzucili się, żeby ustalić przyczynę tej nagłej zmiany w jego nastroju.

— Patryk — odczytał głośno Pijanowski.

— Ho, ho — mruknął Fredek Rębacz. — Patryk! ?— O la la! — śpiewnie zawołał Antek. — Patryk!

— Patryk? — zdziwił się Mietek. — Jest jakiś Patryk na obozie? Mam to po swojej babce, że w momentach zdenerwowania ogarnia

mnie morderczy apetyt. Jadłam swój chleb z marmoladą, jakby tylko to było ważne. Michał zgniótł chustkę w rękę i rzucił mi ją z pasją na kolana.

— Schowaj! — powiedział obrzydliwym tonem. — To już szczyt wszystkiego dawać mi chustkę Patryka!

Wsunęłam ją do kieszeni i ze spokojem, który nie wiem skąd mi się wziął, kończyłam swój chleb.

Fredek schował wszystkie listy do torby.

^— Jadę! A wy się tu nie pozabijajcie o tego Patryka, bo to obóz, nie Kobra!

-- Szkada! — mruknął Michał, ale tak, że wszyscy słyszeli.

Wolałbym, żeby to była Kobra.

^— Pięknie dziękuję za miłe śniadanie — powiedziałam wstając od stołu.

Wyszłam z namiotu komendy i wolno szłam w stronę naszego. w°lno, bo nogi miałam jak z waty. Po chwili dogonił mnie Michał.

146

— Chodź — powiedzi»1 — chodź ze mną na pomost! Wyrwałam mu rękę.

— Nigdzie nie pójde! Czepiasz się i czepiasz byle czego!

— Kiedy Patryk tu był? — zapytał Michał ciągle tym tonem, którego nie mogłam znieść-

— W ogóle go tu nie było!

— Nie wmówisz we ^aie> *> przywiozłaś z Warszawy jego chustkę! Chyba masz dosyć swoich?

— Nie przywoziłam jeg° chustki z Warszawy! Spotkałam Patryka w Nidzicy i pożyczył mi, bo mi się lody rozpuściły i nie miałam w co wytrzeć palców! Tyś też przed chwilą chciał pożyczyć chustkę, bo nie miałaś swojej pod ręką! -" broniłam się.

__Dlaczego mi nie powiedziałaś, że widziałaś się z Patrykiem w Nidzicy?

— Żebyś się wściekał?

__Wiedziałaś że się będę wściekał, tak? Wiedziałaś, że każde

twoje spotkanie z nim doprowadza mnie do szewskiej pasji! A jednak powlokłaś się z nim na lody. Jak gdyby nigdy ??? ? uważasz, że jesteś w porządku? Nie mogłaś wyrzec się dla mnie takiego drobiazgu? To już było za trudne?

— Wiktor! — powiedziałam.

— Co Wiktor?

— Mówisz jak Wiktor'

— To ma być obelga?

— A ty miałaś nadzieję» ze komplement? Jesteś głupio zazdrosny

i jeszcze czekasz na

komplementy?

Michał odwrócił się na pędzie i odszedł w stronę namiotu komendy. Obejrzałam się, bo chciała**1 g° zawołać i wygarnąć, co myślę o jego braku zaufania do mnie i • tych bezsensownych awanturach o Patryka. Ale nie zawołałam Michała, bo w odległości zaledwie kilku kroków ode mnie, przy wejściu do namiotu, stali: Pijanowski, Mietek i Antek. Fredek Rębacz siedział już na rowerze, ale jedną nogę oparł na ziemi, jakby czekał na koniec interesującego widowiska.

Podniosłam głowę i szybko odeszłam. Dopiero tu, w namiocie, rozkleiłam się kompletnie i dług° beczałam leżąc z twarzą schowaną w poduszce. Na próżno Katarzyna chciała wydusić ze mnie powód

147

tego płaczu, na próżno Jarka przykucnęła obok mnie i powtarzała cichutko:

— Nie płacz... no, nie płacz... Marta, słyszysz? Nie płacz... Wreszcie zostawiły mnie w spokoju i poszły na brzeg jeziora, bo

akurat zbliżała się godzina naszej kąpieli i wycieczki kajakami na wyspę. Wycieczkę ma prowadzić druha ratownik. Dziękuję, wolę się utopić we własnych łzach, niż skorzystać z pomocy druha ratownika!

9 lipca

Tylko tyle:

„Bądź tak uprzejma, Marto, i podaj mi kolejność piosenek, które będziecie śpiewać na ognisku. Jarka mówi, że masz u siebie spis. Jest mi potrzebny do konferansjerki.”

— Tylko tyle...

11 lipca

Już po wszystkim. Po ognisku i po mojej miłości szczęśliwej... Dziś cały obóz pomaszerował do Jabłonki pomagać przy budowie domu kultury. Zostały tylko „Zawilce”, jako zastęp służbowy, i ja, bo powiedziałam Katarzynie, że czuję się podle i nie stać mnie na fizyczny wysiłek. Wylądowałam więc w namiocie komendy i pilnuję sztandaru drużyny.

Chociaż nasze ognisko naznaczone było na dość późną godzinę, zjawili się masę ludzi. Nie tylko młodzież, bo i dorośli nie pogardzili harcerską, godziwą rozrywką. Byliśmy w pełnej gali, nawet mnie odziano w popielatą spódnicę Lilki, żebym nie wyróżniała się zbyt od reszty dziewcząt z naszego zespołu. Michał w swoim instruktorskim mundurze dwoił się i troił, żeby tylko wszystko grało jak trzeba. No i grało. Nawet pogoda dopisała, bo wieczór był ciepły, bez wiatru. Nasi goście rozlokowali się wokół stożkowo ułożonych gałęzi, które zaraz miały zapłonąć wesołym ogniem. Michał podszedł i — to jego specjalność! — podłożył jedną, jedyniutką zapałkę pod stos suchych drewnienek. W głębokiej ciszy słychać było trzask zajmujących się ogniem gałęzi. I wtedy zaczęliśmy śpiewać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej:

148

...Ukochany kraj, umiłowany kraj! Ukochane i miasta, i wioski. Ukochany kraj, umiłowany kraj! Ukochany, jedyny nasz polski!...

Wysoko buchnęły płomienie ogniska. Zakończyłyśmy stonowanym mruczaniem. Michał wyprostował się, ogarnął wzrokiem całe swoje audytorium i rozpoczął gawędę. O pięknie i gościnności ziemi mazurskiej i o naszej do niej miłości. Michał mówił ładnie i bardzo po prostu, a czerwony odbłask płomieni oświetlał jego twarz, co w pewnym sposób dodało uroku całej tej chwili i spotęgowało znaczenie zwyczajnych słów. Później Mirka Kozakówna powiedziała dwa wiersze Gałczyńskiego i pomału zaczęliśmy przechodzić do bardziej rozrywkowej części naszego programu. Kiedy śpiewaliśmy kolejną piosenkę, dostrzegłam Patryka. Stał oparty o drzewo i wpatrywał się we mnie uparcie. Może to spojrzenie ciągnęło mój wzrok w jego stronę? Nie wiem. Patryk pomachał mi ręką i uśmiechnął się z wyraźną aprobatą.

Wreszcie Michał zapowiedział Fredka Rębacza w parodiach polskich piosenkarzy. Była to perła naszego programu i Michał spokojnie wycofał się na zaplecze, gdzie stałyśmy także i my.

— No jak, Kaśka — zwrócił się do Katarzyny — dobrze to wypada, co?

— I masa ludzi! Widziałeś Patryka? — zapytała nieświadoma niczego. — Patryk też przyjechał z Nidzicy na rowerze.

— Nie zauważyłem.

- Stoi pod drzewem obok Michalaka, pogadaj z nim!
- Nie mam Patrykowi nic do powiedzenia — odparł Michał sucho i po sekundzie dorzucił:
- To może raczej Martę zainteresuje!

Ale nawet nie spojrzał w moją stronę. Katarzyna wzruszyła ramionami i powiedziała swobodnie:

- Marta, Patryk przyjechał! Słyszysz? Nawet nie wiedziałam, że znasz Patryka.
- Owszem, znam! Ile mamy czasu do następnej piosenki? Michał spojrzał na program.
- Jakies piętnaście minut.

149

— W takim razie urywam się. Wrócę za kwadrans. Przeszłam obok Michała i omijając naszych gości ubawionych

wyglupami Fredka, dotarłam pod drzewo.

- Patryk — powiedziałam i pociągnęłam go za rękaw.
- Jesteś — ucieszył się — a ja już myślałem, że się nie zdołasz urwać stamtąd! Michał wściekły?
- Zbyt wściekły na to, żebym się tym mogła przejąć — powiedziałam zimno.

A przecież to była nieprawda! Tylko dlatego stałam obok Patryka, tylko dlatego tu przyszłam, że tak bardzo bolała mnie Michała zawziętość.

— Widziałeś tę czarnulkę obok mnie? To właśnie Jarka, ta o której ci mówiłam, pamiętasz?

Ktoś syknął, bo byłam zdenerwowana i nie mogłam nawet mówić po cichu, nie mogłam w ogóle panować nad sobą.

— Chodź, staniemy gdzieś z boku — zaproponował Patryk. Skinęłam głową i wyszliśmy z kręgu ludzi otaczających ognisko.

— Marta, bardzo tu u was przyjemnie, ale ja przyjechałem z równie ciekawą propozycją. Piętnastego jest zabawa w Wyknie. Marta, urwij się stąd!

Nie odpowiedziałam. Byłam zła na Michała, ale urywać się z Patrykiem na tańce w Wyknie to już za silna rzecz.

— Przyjechałbym tutaj autobusem z Nidzicy, a potem moglibyśmy popłynąć kajakiem do Wykna. Wyobrażasz sobie? Wieczorkiem przez jezioro?

— Nie, Patryk. To wykluczone! Po pierwsze, ja nie mam na to ochoty, po drugie Michał nie dałby kajaka za żadne skarby.

— Akurat bym się pytał!

— Oszalałeś chyba? Brać kajak bez pozwolenia Michała? Ty wiesz, co to znaczy? A zresztą sprzęt jest zabezpieczony.

— To byśmy go odbezpieczyli. Ja świetnie pływam, Marta, możesz być spokojna.

— Nie o to chodzi.

Szliśmy z Patrykiem ścieżką wzdłuż jeziora.

— Co to jest? — zapytał, kiedy dotarliśmy do pomostu.

— Nasze molo.

150

Pomału zbliżaliśmy się do brzegu. Patryk podszedł do karłowatej sosny, której pień owiązany był ściśle ciężkim łańcuchem.

— To się nazywa zabezpieczenie? — parsknął pogardliwie. — Komedia!

Łańcuch przewlekało się przez zaczepy wszystkich kajaków. Patryk wziął do ręki kłódkę i oglądał ją przez chwilę.

— Prosty zamek. Palcem da się otworzyć.

— Nie zwracaj głowy, Patryk! — rozłościłam się. — Chyba nie mówisz tego wszystkiego poważnie?

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Nie! Oczywiście, że nie mówię poważnie! Przyjadę po ciebie wieczorem i pójdziemy do Wykna piechotą. No, jak? To ci bardziej odpowiada?

— Powiedziałam już, że mi nie odpowiada! Ta cała wyprawa do Wykna mi nie odpowiada, zrozum!

— Jak chcesz! Ja w każdym razie przyjadę tu piętnastego. Może się namyślisz. Piętnastego o ósmej będę czekał na ciebie... no, gdzie? Może tam? — Patryk wskazał ręką tysięjącą pod lasem wydawkę.

Odwrociłam się odruchowo, ale mój wzrok nie powędrował na wydmę. Z daleka zobaczyłam nad naszą polaną czerwoną tunę ogniska i w tej samej chwili usłyszałam śpiew naszego zastępu.

...Ukochany kraj, umiłowany kraj! Ukochane i miasta, i wioski...

Ta piosenka, którą otwieraliśmy program, była zaplanowana także jako ostatnia. Ale ja nie śpiewałam! Stałam z Patrykiem nad brzegiem jeziora. Nie chciałam, żeby to wyszło aż tak paskudnie, i Michał... Och, już wtedy wiedziałam dokładnie, że tego Michał nie wybaczy mi tak łatwo!

— Rób teraz, co ci się żywnie podoba! — krzyknęłam. — Ja lecę do naszego namiotu i udaję, że byłam tam przez cały czas!

Zostawiłam Patryka na brzegu, a sama pobiegłam ścieżką za magazynem. Stamtąd miałam już tylko parę kroków. Ale kiedy wpadłam do namiotu, napotkałam ramiona Michała. Zderzyliśmy się w biegu.

151

— Czego tu szukasz? — spytałam zadyszczonym głosem, bo biegłam szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

— Szukałem, ale nie znalazłem — powiedział Michał stojąc bokiem, tak żebym mogła przesunąć się do środka. — A szkoda...

Chciałam go zatrzymać. Nie, nie po to, żeby coś tłumaczyć, przeproszać, wyjaśniać. Chciałam go zatrzymać za wszelką cenę, bo wiedziałam, że jeżeli odejdzie stąd zaraz, natknie się na Patryka. Ale zanim wydobyłam z siebie głos, zanim wyciągnęłam rękę, Michał odwrócił się i odszedł.

Nawet nie zapaliłam świecy. Po ciemku znalazłam swoją piżamę, przebrałam się i wsunęłam pod koc. Później słyszałam gwar rozchodzących się gości, śmiechy i komentarze naszych dziewcząt, jeszcze długo stojących przed namiotami. Później wszystko zaczęło przycichać i wreszcie siedem „Sofinetek” wróciło do siebie.

— Zapalcie świecę! — wołała Lilka, która piekielnie bała się ciemności.

Ona weszła pierwsza. Za nią Jarka z płonąca zapałką w ręku. Potem Katarzyna. Podniesionym głosem, wyraźnie wzburzona, mówiła do Grażyny:

— Nie wytłumaczysz mi tego, Grażka! Michał zachował się paskudnie! Ja tam nie wiem, co między nimi jest, ale tak się nie robi! Zawołałam Michała, słyszałaś przecież. I on już szedł w moją stronę, kiedy nagle zobaczył Patryka stojącego obok mnie. Spojrzał na niego tak, jakby miał ochotę dźgnąć go nożem i z miejsca zawrócić! Zapytaj Pijanowskiego, niech ci powie, jak to wyszło. Antek też widział. Zapytaj Antka. A przecież Patryk był naszym gościem.

— Gość nie gość — Jarka stanęła w obronie Michała — jeżeli Michał nie chciał z nim rozmawiać, to nie potrzebował. Nie rozumiem, dlaczego robicie takie wielkie halo! Kto to jest ten Patryk? Skąd go znasz?

— Z Warszawy. Ja nie wiem, zawsze mi się zdawało, że są z Michałem w przyjaźni... O, Marta! A więc jest tak, jak myślałam. Tyś się źle poczuła, prawda? Widziałam, że jesteś zielona.

— Uhm — mruknęłam.

— Co ci jest? — zapytała Katarzyna nachylając się nade mną. — Nie jesteś przypadkiem chora?

152

Stanęły dookoła mnie z zatroskanymi minami.

— Marta — usłyszałam głos Jarki. Nie otworzyłam oczu.

— Powiedz, co ci się stało? — nalegała Katarzyna.

— Nic mi nie jest. Boli mnie głowa i to wszystko. Odwróciłam się do nich plecami. Odeszły. I właśnie wtedy, kiedy

odeszły, zrozumiałam, że znowu stały mi się obce. Dziś rano wyczułam już ten wyraźny dystans, który się między nami wytworzył, bo nawet z Jarką, nawet z nią, nie potrafię teraz rozmawiać tak swobodnie, jak dawniej! Nie dla nich tu przyjechałam. A jednak muszę wytrwać do końca, chociaż tak bardzo, tak przeraźliwie nie chce mi się żyć z Michałem pod niebem jednego obozu! Zbyt trudno patrzeć, jak z naszej miłości zostaje jedynie popiół, podobny do tego, który został po wczorajszym ognisku.

13 lipca

Całe dni spędzam na plaży i chociaż tyle mam z pobytu nad jeziorem, że jestem opalona jak nigdy dotąd. Dziś, w czasie kąpieli dziewcząt, podszedł do mnie Pijanowski.

— Marta, tyś wczoraj za daleko odpływała — powiedział. — Nie

powtarzaj tego numeru, bo będziemy zmuszeni kazać ci wyjść z wody. Co prawda, jest nas tu dwóch ratowników, Michał i ja, ale was też cała gromada i to cholernie denerwujące, kiedy nie stosujecie się do naszych rozporządzeń.

— Dobrze, Pijanosiu, będę uważać — obiecałam mu solennie i to widać skłoniło go do szczerości.

— Marta, wiesz, z tym Patrykiem to ty się pohamuj! Po co ci on

był na ognisku, powiedz? Mało było ci draki o tę głupią chustkę? A wieczorem kiedy już się wszyscy rozeszli, siedzieliśmy w namiocie i tak gadało się o wszystkim. Między innymi Fredek coś zaczął o tobie. Że nie śpiewałaś ostatniej piosenki, tylko urwałaś się z Patrykiem. Wtedy Michał tak się wściekł, że aż nie panował nad własnym językiem. „Ja mu mordę skuję,

chamowi, jak on się tu jeszcze raz pokaże!" - powiedział. Powtarzam ci to, bo w razie czego, rozumiesz sama... Wiesz przecież, jaki z Michała nerwus. Po co ci draka?

153

Wierciłam piętą dziurę w piachu. Pijanowski, którego nigdy specjalnie nie lubiłam, mówi zupełnie do rzeczy.

— Dziękuję, Andrzej, chyba masz rację — burknęłam w odpowiedzi, ale dość niemrawo, bo mi się nie chciało dłużej gadać z nim o tych sprawach.

Pływałam przy samym brzegu, pod czujnym okiem Pijanowskiego. Michał pilnował innej grupy, z drugiej strony pomostu. Mam nadzieję, że Patryk nie przyjedzie piętnastego, bo przecież nie umówiliśmy się ostatecznie.

15 lipca

Kontrola porządku to jakieś hobby Michała!

— Na tyle mojego gadania u was zawsze piekielny bałagan! — powiedział dziś stojąc pośrodku naszego namiotu. — Lilki trampki na pryczy! Czyś ty oszalała, dziewczyno? Jarki pościel do złudzenia przypomina cygański barłóg! Wszystkie bety skotłowane! Marty plecak, oczywiście, wybebeszony pośrodku namiotu! Jeszcze ani razu nie widziałem twojego plecaka na stojaku, Marta! Dosłownie, ani razu! Ja nie wiem, ale to jest przecież zupełnie elementarna rzecz na obozie i nawet zuchy potrafią jej przestrzegać! Weź, sprzątnij ten plecak! Marta, słyszysz, o co cię proszę?

Udawałam, że szukam czegoś na półce z mydłami.

— Marta! — zawołał Michał głośniej.

— Mówiłeś coś do mnie? — odwróciłam się.

— Powtórz jej, Katarzyna. — Klepnął Fredka Rębacza po plecach. — Idziemy dalej, stary.

A więc teraz będziemy rozmawiać przez pośredników. Może to i lepiej.

Po południu zebrałam nasze listy, żeby je zanieść do komendy. Chciałam się przekonać, jak Michał mnie przyjmie. Siedział przy stole i układał razem z Zużką, zastępową „Pliszek”, jadłospis na jutrzejszy dzień.

— Przyniosłam listy — powiedziałam informacyjnym tonem i położyłam koperty obok niego.

— Dziękuję. Proponujesz pomidorową, Zużka? Dobrze! Wpisuj pomidorową. Co chcesz do tego? Makaron czy ryż?

154

- Makaron! — powiedziałam.
- Ryż! — zawołała w tej samej chwili Zuzia.
- Dobrze, wpisuję ryż.

Wyszłam z namiotu. Jest teraz godzina siódma wieczorem i przysięgam: jeżeli Patryk zjawi się dziś na łysej wydmie, pójdę z nim do Wykna!

Rozdział VI

Andrzej Pijanowski przyjechał do Warszawy późnym wieczorem. Pikap Komendy Ośrodka zatrzymał się na placu Zamkowym. Kiedy Andrzej wysiadł, Czesiek wysunął głowę przez boczne okno szoferki i zawołał:

— Hej, Pijanosiu, słuchaj! Jeżeli jutro chcesz się zabrać z nami, musisz być na Konopnickiej punktualnie o dziesiątej! Jedna minuta spóźnienia będzie cię kosztowała bilet kolejowy do Nidzicy! Ciao, ciao, aniele! Dobrych snów!

Czesław odjechał w kierunku Miodowej, Pijanowski podbiegł do stojącego na przystanku autobusu. Był zmęczony i głodny. Autobusem mógł dojechać pod sam swój dom i Andrzej przez chwilę walczył z chęcią znalezienia się we własnym łóżku.

„Tylko bez uproszczeń — pomyślał — tylko bez uproszczeń...”

I wysiadł przy Świętokrzyskiej. Zapleczem Nowego Świata ruszył w stronę Baczyńskiego. Właściwie nie miał żadnej gwarancji, że zastanie tam Michała, było to jednak prawdopodobne, bo Andrzej wiedział, że Weronika Soroko wyjechała na miesiąc do Londynu. Miał w kieszeni list do Michała, ten który nadszedł w dwa dni po całej historii. Początkowo zamierzał nawet użyć go jako pretekstu, ale szybko spostrzegł, że byłby to wręcz śmieszny pretekst., Sprawę z Michałem musiał załatwić bez ogródek — kawę na ławę. Po męsku. List można oddać przy okazji, ale motyw przyjazdu Andrzeja musi

być dla Michała przejrzysty. Trudno. Pijanowski szedł po schodach noga za nogą, to było absurdalne, bo o niczym innym nie marzył, tylko o tym, żeby jak najszybciej mieć za sobą całą tę rozmowę. Drzwi otworzyła Anna Soroko.

— Czy zastałem Michała?

— Owszem — odparła i obrzuciła Andrzeja niechętnym spojrzeniem. — Tak, Michał jest, ale...

— Czy mógłbym się z nim zobaczyć?

— On już leży! Czy to doprawdy coś ważnego? Może jutro?

— Przyjechałem z obozu specjalnie po to, żeby spotkać się z Michałem. Moje nazwisko Pijanowski.

Anna ściągnęła brwi.

— Pijanowski... — powtórzyła. — Zaraz powiem Michałowi. Wpuściła Andrzeja do przedpokoju.

— Chwileczkę.

Anna nie wróciła już, Michał sam zjawił się w korytarzu.

— Cześć! — powiedział i przyglądał się Pijanowskiemu badawczym wzrokiem.

— Cześć, Michał. Przyjechałem.

— Widzę właśnie, że przyjechałeś.

— Tak. Chciałem z tobą pogadać.

— Możemy pogadać — zgodził się Michał bez entuzjazmu — ale w kuchni, bo ja tam rezyduję.

— Może być w kuchni, nie gra roli.

— No to włącz.

Michał przyrzucił kocem zasłane już łóżko.

— Siadaj, Andrzej.

Sam oparł się o lodówkę i patrzył, jak Andrzej grzebie w plecaku.

— Przywiozłem ci list od matki.

— Dziękuję. — Michał włożył kopertę do kieszeni.

— Oczywiście, nie tylko po to przyjechałem, żeby ci doręczyć list — wydusił z trudem Pijanowski.

— Ja myślę, że to by nie miało większego sensu.

— Małego sensu też by nie miało. Michał, co tu dużo gadać... chciałem cię przeprosić i powiedzieć, że jest mi przykro i głupio.

157

- Ja myślę, że jest ci przykro i głupio — powtórzył Michał lodowatym tonem.

— Nie powtarzaj ciągle „ja myślę”, bo to mnie, stary, cholernie mrozi! A chciałbym ci wyjaśnić kilka rzeczy!

-- Mnie nic nie trzeba wyjaśniać, ja wszystko wiem. Strzeliłeś głupstwo i teraz ci łyso!

— łyso mi, to fakt — przyznał Pijanowski — ale widzisz, byłem straszliwie zdenerwowany! I jak oni zaczęli pytać...

— Oni wcale nie zaczęli pytać! — przerwał Michał ostro. — Ty sarn z siebie strzeliłeś! Oni ciebie tylko zapytali, kto jest odpowiedzialny za sprzęt! Tyś powiedział, że ja, i do tego miejsca jesteś w porządku! Ale oni wcale ciebie nie nakłaniali do tych dalszych wynurzeń, Andrzej! Jeżeli już mamy rozmawiać, to rozmawiajmy po ludzku!

— Wyrwało mi się! — przyznał Pijanowski i spuścił głowę.

— O! W to mogę uwierzyć! Wyrwało ci się! I wiesz, ja od początku sądziłem, że tobie się wyrwało! Po prostu przez myśl ci nie przeszło, że w sumie może to przynieść jakieś określone konsekwencje!

— Właśnie! Michał, ja wiem, że niczego już się nie zmieni, ale musisz wiedzieć...

— Ech, dajmy temu spokój! — zachnął się nagle Michał.

— To się tak mówi: dajmy temu spokój! Ale ty wiesz, stary, tak samo dobrze, jak ja, że jest inaczej... Możemy o tym mówić, ale to się już zawsze będzie pamiętało.

Michał sięgnął po zapałki, podszedł do maszynki i nastawił wodę.

— Głodny jesteś? Jak przyjechałeś?

— Pikap z Komendy Ośrodka jechał po koce dla kolonii zuchowej. Maluchy im marzną.

— A na naszym obozie wszystko gra?

— Jakoś leci.

— Zupy z obiadu zjadłbyś, Andrzej?

— Chory nie jestem! Chorego pytają. O Patryku wiesz?

— Wiem. Ligota wczoraj wieczorem przyjechał z Nidzicy i dziś wezwał mnie do siebie.

— I co? Bo my wiemy tylko tyle, że on się jakoś z tego wygrzebie. — Odzyskał przytomność. Ligota mówi, że rozmawiał z nim

krótko, ale zupełnie z sensem.

158

— A czoło?

— Czoło jest podobno cholernie rozjechane. Co ty chcesz, tak zaryć głową w okucie! Widziałeś zresztą, jak to wyglądało.

— Widziałem. Jak Fredek Rębacz przywlókł go do brzegu, robiło to wrażenie, że Patryk jest gotów.

— I on byłby gotów, gdyby nie Fredek! Ja w ogóle nie wiem, co by się stało, gdyby nie Fredek.

Michał stał pośrodku kuchni z garnkiem w ręku.

— Oni by się potopili, nie ma o czym gadać! I Patryk, i Marta!

— A jak Marta?

— Dobrze. Jutro wraca do domu. U niej to tylko szok i jakiś marny stan ogólny. Długo była niedotleniona, bo minęło przecież sporo czasu, zanim złapała dech. A jeszcze Anna uparła się, żeby ją koniecznie przywieźć do Warszawy, to też nie było najlepsze posunięcie i Marcie pogorszyło się po tej drodze. Ale wiesz, Andrzej, nie ma co wracać do tego wszystkiego.

Michał przelał zupę do talerza i postawił na stole.

— Siadaj, zaraz ukroję ci chleba. Przylepkę chcesz?

— Może być.

Andrzej jadł zupę w milczeniu. To racja, nie ma co wracać do niektórych spraw. Lepiej nie mówić o nich. Ale czy można znaleźć inny temat, jeżeli myśli ciągle krążą i krążą wokół jednego?

— Ligota przyjechał natychmiast. Podobno był w dwie godziny po otrzymaniu wiadomości, że już może rozmawiać z Patrykiem. Pilno mu było.

— To ty nie zdajesz sobie sprawy z faktu, że jedynie zeznania Patryka mogły mnie uwolnić od konkretnego zarzutu usiłowania zabójstwa? Andrzej, zastanów się. To coś ty powiedział zaraz po wypadku, że być może zrobiłem to naumyślnie, inni potwierdzili, prawda? Poszło jakimś

owczym pędem! Fredek Rębacz na przykład powiedział, że kiedy dołynął do nas swoją jedyką, ja ratowałem tylko Martę, a Patryka zostawiłem jego własnej doli, tak? To była prawda, on nie mógł zeznawać inaczej! Ale przecież, ja wiem?... Zająłem się Martą pewnie dlatego, że była mi bliższa! Skąd mogłem wiedzieć, że Patryk będzie szedł na dno jak kłoda? Że z punktu stracił przytomność? Myślałem, że potrafi wygrzebać się sam. Nie wiem

159

zresztą! Po prostu zająłem się Martą! Jedno jest pewne: gdyby Fredek nie odbił od brzegu zaraz po mnie i nie znalazł się obok w parę minut po całym wypadku, to i mnie by tu nie było!

Andrzej przerwał jedzenie i przez chwilę mieszał zupę łyżką.

— Czy to prawda, że Patryk trzasnął ciebie wiosłem? Dlaczego on to zrobił?

— Bo złapałem ręką za ich kajak i kazałem Patrykowi wracać. Kiedy uderzył, nie puściłem. Nie puściłem, rozumiesz, tylko zagroziłem Patrykowi, że sam zawrócę i wezwę milicję. Wtedy on uchylił się w moją stronę, krzyknął: „Miliq'ę? Na kolegę?” I chciał uderzyć drugi raz. Stracił równowagę, uderzył Martę, nie mnie. Kiedy wyleciała, Patryk runął do przodu i trzasnął głową prosto w to cholerne okucie! To chyba było już wtedy, kiedy ty gnałeś do Ośrodka, żeby zawiadomić o tym, co się dzieje.

— Nie mogłem inaczej! Z punktu zorientowałem się, że Patryk nie zawróci.

— Wiem. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Zwłaszcza że właśnie przy tobie przypomniała mi się nie zamknięta kłódka! Ty pomyśl, Andrzej! Gdybym sobie nie uprzytomnił, że zostawiłem ten cały majdan nie zamknięty, oni najprawdopodobniej popłynęliby do Wykna, wrócili z Wykna — i nic!

— A co Patryk powiedział kapitanowi?

— O to byłem spokojny. Wiedziałem, że jeżeli Patryk będzie mógł mówić, powie tak, jak było i nie obciąży mnie żadną winą. On może jest narwany, ale uczciwy! Kapitanowi te zeznania absolutnie wyjaśniły sprawę. Byłem u niego dziś rano i już wiem, że akt oskarżenia przeciwko mnie dotyczyć będzie jedynie odpowiedzialności za nie zabezpieczony sprzęt. Ty nie masz pojęcia, Andrzej, jak mnie to żarło.

— Wyglądasz niekławo.

— Też byś tak wyglądał.

— Słuchaj, stary! Cieszę się, żeś mi to wszystko opowiedział, wiesz? Bo jakoś różnie... Jak tyle gadałeś, to chyba nie masz do mnie żalu, co?

— Miałem — przyznał Michał — to ci mówię otwarcie, miałem! Ale już dziś rano, po rozmowie z Ligotą, wszystko przestało mi się

wydawać takie paskudne. I jeszcze teraz, jak popatrzyłem dłużej na tę twoją gębę, do której bądź co bądź przywykło się, to mi dużo odeszło.

— A jak jest między wami po tym wszystkim? — zapytał Pijanowski cicho.

— Nijak. Nie byłem u niej.

— Ale!

— No, nie byłem, słowo daję!

— Czemu, Michał?

— A, jakoś tak... Czekałem, aż się coś niecoś wyjaśni. Zresztą w końcu nic przecież nie wiem. Bo ona jednak zdecydowała się jechać do Wykna z Patrykiem. Może jej zbrzydło wszystko? Czort wie?

— Więc co? Rezygnujesz?

— Ja? Coś ty! Tego nie powiedziałem! — obruszył się Michał. — Ale nie będę się pchał na siłę tam, gdzie mnie nie chcą! Owszem, ojciec namawiał mnie, żebym z nim poszedł do Marty. Ale co ojciec tu ma do gadania? Ona go ani razu nie prosiła, żeby mi przekazał choćby dwa słowa! I swojej matki też nie prosiła! Może nie chce? Jutro wróci, zobaczymy, jak to się będzie układać. Ale nie, ja nie rezygnuję, znasz mnie chyba na tyle!

— Nie rozumiem tych zahamowań, Michał. Ani twoich, ani Marty. Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, obojętne! Mogliście chyba pogadać ze sobą, nie? Przecież Marta знаła stan faktyczny i wie, że nie usiłowałaś utopić Patryka!

— Ona nie może tego wiedzieć z całą pewnością. Wleciała do wody pierwsza i nie wie, co było dalej. Ligota też zdawał sobie z tego sprawę i dlatego nie przywiązywał wagi do jej zeznań. W gruncie rzeczy... posłuchaj, Pijanosiu... nikt nie wie, jak było! Patryk wpadł do jeziora już nieprzytomny, prawda? Więc skąd on może wiedzieć, czy potem nie przytrzymałem go za głowę, żeby napił się trochę więcej wody?

— Michał... no, ale przecież tyś tego nie zrobił!

— Skąd masz tę pewność? Skąd ci się nagle wzięła? Michał przechylił się w stronę Andrzeja i mówił gwałtownie: — Dlaczego raptem jesteś przekonany, że nie mógłbym tego zrobić? Tydzień temu to samo wydawało ci się zupełnie prawdopodobne?

— No, bo nie zrobiłeś tego, Michał, nie wygłupiaj się! — Andrzej był wyraźnie speszony, odwrócił głowę, jakby chciał uciec przed spojrzeniem Michała.

— Nie — roześmiał się Michał — nie zrobiłem tego! Oczywiście, że nie mógłbym zrobić czegoś podobnego.

Andrzej odetchnął.

— Rany! Nie lubię takiego gadania!

Michał podszedł do szafki, wyjął z niej dwie szklanki, sięgnął po imbryczek z esencją. Kiedy nalewał, ręka drżała mu tak silnie, że wąski strumień herbaty trafiał chwilami na spodek. Bo Michał pamiętał, nie mógł zapomnieć chwili, kiedy wyskakując z kajaka, żeby ratować Martę, poczuł pod swoją dłońią głowę Patryka. I tamtej myśli nie mógł zapomnieć, która mu jak błysk przeleciała przez świadomość.

Nie zrobił tego, to fakt. Ale myśl była.

Minęło już wiele nocy od tamtego wieczoru, a każda z nich przynosiła Michałowi tylko jedno pytanie:

-- Czy to się liczy?

* * *

— Wiktorze, na was chyba już czas? Dochodzi dziesiąta! — zawołała Anna stukając do łazienki. — Piękny dzień, wiesz? Wymarzony na powroty!

— Jestem już w pełnej gali, kochanie! Wytworny i uroczysty! A ty jak? Nie zdecydujesz się pojechać z nami?

— Nie... zaczekam na was w domu, tak będzie lepiej. Marta wie, że tylko wy przyjdziecie po nią. Michale! Tatuś jest gotów, a ty?

— zawołała w stronę kuchni.

— Jeszcze chwilę, Anno! Sekundę, dosłownie.

— Spójrz, Wiktor... Wybiegłam dziś rano i kupiłam te kwiaty, ładne, prawda?

— ładne.

— U Marty w pokoju postawiłam takie same.

— Właściwie myśmy powinni o tym pomyśleć. Michał albo ja.

— Wiktor spojrzął w lustro. — Posiwałem — stwierdził, przyglądając włosy na skroniach.

— Ale jak ci z tym ładnie — powiedziała Anna przytulając się do jego ramienia.

— Wolałbym jednak siwieć z innych powodów, wiesz?

Ajuia przymknęła oczy.

-^ . ^raz to się wszystko zmieni, przekonasz się! Marta zmądrzała. Wczoraj rozmawiałam z nią bardzo długo. Jest taka przejęta, wiesz? Taka pełna dobrej woli, zrozumienia... Zobaczysz, że teraz stosunki między wami będą zupełnie inne.

—i. ^wątliwie.

— Wifc widzisz? Widzisz, Wiktorze?

— Wi<*z?! Widzę w tej chwili w lustrze twoją buzię, Anno, taką zmordow*0^' zmalretowaną! Widzę, że nawet nie miałaś dość energii, żeby umalować się porządnie, tylko tak ciach-mach. Widzę twoje zapadnięto ??2?-1 z takim trudem, nie wyobrażasz sobie, z jak wielkim trudem przychodzi mi darowanie tej zawieruchy, którą stworzyli wokół nas-

— ??? w końcu przycichło.

— ^y!^śnie! To jest jedyne określenie: przycichło!

— ? jednak nic nie zdołało naruszyć naszej miłości, Wiktorze, i to jest najwa^"e!Sze ~" powiedziała Anna.

Ale ^icdnąła. tak samo dobrze, jak Wiktor, że oboje kryją przed sobą ^???? niedomówień, wzajemnych pretensji i żalów o to, co się stało.

— ???, to jest najważniejsze — zgodził się Wiktor, bo tak samo jak i Añlj? miał nadzieję, że wszystko uda się naprawić zapomnieniem.

2 kuchm wyszedł Michał, niepewnym ruchem poprawiając krawat.

— Do&y węzeł, tato? Wiktor sPOJrzał uważnie.

— Kj"#ywo- Dlaczego zawsze zawiązujesz krzywo? Tyle razy ci poka2ywałem.

Stanął **a wprost Michała, rozluźnił krawat na jego szyi i pomału, z uwagą poprawiał zbyt mocno zaciśnięty węzeł. Anna przyglądała im s'e bac]aw-?zo. Stawali się coraz bardziej podobni do siebie, a tego d^a, obydwaj starannie ubrani, wyglądali szczególnie przystojnie. Takich zobaczy ich Marta, kiedy wejdzie do poczekalni szpitala. Stanie pomiędzy nimi, być może Wiktor weźmie ją pod rękę i wyjdą we troje n& słoneczny dziedziniec, gdzie czekać będzie na nich octavia pana Karłowskiego.

— Nie — roześmiał się Michał — nie zrobiłem tego! Oczywiście, że nie mógłbym zrobić czegoś podobnego.

Andrzej odetchnął.

— Rany! Nie lubię takiego gadania!

Michał podszedł do szafki, wyjął z niej dwie szklanki, sięgnął po imbryczek z esencją. Kiedy nalewał, ręka drżała mu tak silnie, że wąski strumień herbaty trafiał chwilami na spodek. Bo Michał pamiętał, nie mógł zapomnieć chwili, kiedy wyskakując z kajaka, żeby ratować Martę, poczuł pod swoją dłonią głowę Patryka. I tamtej myśli nie mógł zapomnieć, która mu jak błysk przeleciała przez świadomość.

Nie zrobił tego, to fakt. Ale myśl była.

Minęło już wiele nocy od tamtego wieczoru, a każda z nich przynosiła Michałowi tylko jedno pytanie:

— Czy to się liczy?

* * *

— Wiktorze, na was chyba już czas? Dochodzi dziesiąta! — zawołała Anna stukając do łazienki. — Piękny dzień, wiesz? Wymarzony na powroty!

— Jestem już w pełnej gali, kochanie! Wytworny i uroczysty! A ty jak? Nie zdecydujesz się pojechać z nami?

— Nie... zaczekam na was w domu, tak będzie lepiej. Marta wie, że tylko wy przyjedziecie po nią. Michale! Tatuś jest gotów, a ty?

— zawołała w stronę kuchni.

— Jeszcze chwilę, Anno! Sekundę, dosłownie.

— Spójrz, Wiktor... Wybiegłam dziś rano i kupiłam te kwiaty, ładne, prawda?

— ładne.

— U Marty w pokoju postawiłam takie same.

— Właściwie myśmy powinni o tym pomyśleć. Michał albo ja.

— Wiktor spojrzął w lustro. — Posiwiątem — stwierdził, przygładzając włosy na skroniach.

— Ale jak ci z tym ładnie — powiedziała Anna przytulając się do jego ramienia.

— Wolałbym jednak siwieć z innych powodów, wiesz?

Anna przymknęła oczy.

— Teraz to się wszystko zmieni, przekonasz się! Marta zmartwiała. Wczoraj rozmawiałam z nią bardzo długo. Jest taka przejęta, wiesz? Taka pełna dobrej woli, zrozumienia... Zobaczysz, że teraz stosunki między wami będą zupełnie inne.

— Niewątpliwie.

— Więc widzisz? Widzisz, Wiktorze?

— Widzę! Widzę w tej chwili w lustrze twoją buzię, Anno, taką zmordowaną, zmalretowaną! Widzę, że nawet nie miałaś dość energii, żeby umalować się porządnie, tylko tak ciach-mach. Widzę twoje zapadnięte oczy. I z takim trudem, nie wyobrażasz sobie, z jak wielkim trudem, przychodzi mi darowanie tej zawieruchy, którą stworzyli wokół nas.

— Ale w końcu przycichło.

— Właśnie! To jest jedyne określenie: przycichło!

— A jednak nic nie zdołało naruszyć naszej miłości, Wiktorze, i to jest najważniejsze — powiedziała Anna.

Ale wiedziała tak samo dobrze, jak Wiktor, że oboje kryją przed sobą wiele niedomówień, wzajemnych pretensji i żalów o to, co się stało.

— Tak, to jest najważniejsze — zgodził się Wiktor, bo tak samo jak i Anna miał nadzieję, że wszystko uda się naprawić zapomnieniem.

Z kuchni wyszedł Michał, niepewnym ruchem poprawiając krawat.

— Dobry węzeł, tato? Wiktor spojrzał uważnie.

— Krzywo. Dlaczego zawsze zawiązujesz krzywo? Tyle razy ci pokazywałem.

Stanął na wprost Michała, rozluźnił krawat na jego szyi i pomału, z uwagą poprawiał zbyt mocno zaciśnięty węzeł. Anna przyglądała im się badawczo. Stawali się coraz bardziej podobni do siebie, a tego dnia, obydwaj starannie ubrani, wyglądali szczególnie przystojnie. Takich zobaczy ich Marta, kiedy wejdzie do poczekalni szpitala. Stanie pomiędzy nimi, być może Wiktor weźmie ją pod rękę i wyjdą we troje na słoneczny dziedziniec, gdzie czekać będzie na nich octavia pana Kaniewskiego.

163

— Idziemy, Anno. Za pół godziny postaw wodę na herbatę. Shimmy, wyglądasz uroczo z tą czerwoną kokardą! — Wiktor pochylił się i pogłaskał psa. — Twoja pani wraca, wiesz?

— To już najwyższy czas, tato — powiedział Michał. — Musimy wychodzić.

Anna jeszcze przez chwilę stała w przedpokoju. Słyszała ich kroki po schodach i odgłos zamykanych na dole drzwi.

* * *

25 lipca

Jest mi bardzo trudno wrócić myślami do tamtej chwili, w której dostrzegłam Patryka stojącego na tysej wydmie. Spróbuję jednak, bo pamiętam przecież. Zawróciłam do namiotu i przez chwilę rozważałam, co włożyć na nogi? Zdecydowałam w końcu, że pójdę do Wykna w tenisówkach, a białe sandały wezmę do torebki, żeby zmienić je, kiedy będziemy na miejscu.

Nie mam już białych sandałów. Leżą na dnie Jeziora Osobliwości jako jeszcze jeden niezwykleksponat.

— Więc jednak przyszłaś! — powiedział Patryk i w jego wzroku było chyba tyle samo radości, co niedowierzania. Miał prawo sądzić, że dokonałam wyboru i pewnie dlatego sięgnął po moją rękę i przytulił ją do swojego policzka. Szliśmy brzegiem jeziora, żeby dojść do przesięku leśnego, który prowadził prawie do samego Wykna.

— Spójrz, Marto — powiedział Patryk, kiedy przechodziliśmy obok pomostu — spójrz tylko, jak Michał zabezpieczył wasz sprzęt!

Nachylił się i uniósł do góry leżący łańcuch.

— To chyba jakieś zrzędzenie losu! Nie gardzi się takimi przypadkami.

Pociągnął w stronę brzegu naszą wysłużoną dwójkę. Zapadał zmierzch, spojrzałam na pomarszczoną wodę jeziora. Pięknie było, a do Wykna tak niedaleko.

— Patryk! — próbowałam przeciwstawić się i jemu, i sobie — to nie ma sensu. Jeżeli Michał zauważy...

— Akurat będzie liczył!

Kajak chybotął się na wodzie, Patryk wszedł i podał mi rękę. Położyłam swoją torebkę z sandałami na dnie i sięgnęłam po wiosło.

164

— W tobie najcudowniejsze jest to, że nadajesz się do wszystkiego

— pochwalił mnie Patryk entuzjastycznie.

Kilka ruchów wiosłami i zaczęliśmy się z wolna oddalać od brzegu jeziora. Wiał lekki...

W dwie godziny później

Podszedł do mnie Michał i wyjął mi z ręki długopis.

- Co robisz? — zapytał.
- Rachunek sumienia.
- Dopiero teraz? — zdziwił się.
- Nie, zrobiłam go już dawniej!
- A teraz co? Ustawiasz swoje grzechy w alfabetycznym porządku? — roześmiał się. — Nie rób tego.
- Muszę.
- A jeżeli poproszę o to? Jeżeli bardzo oficjalnie poproszę: Marto, nie rób tego.

Stał za moimi plecami i z dużym wysiłkiem odwróciłam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Chyba po raz pierwszy tego dnia nasze spojrzenia się spotkały, bo do tej chwili patrzyliśmy na wszystko, co nas otacza, ale nie na siebie. Kiedy mówiłam do Michała, patrzyłam na jego krawat, a kiedy on odzywał się do mnie, widział jedynie czerwone korale, które dziś noszę. Więc odwróciłam głowę i zobaczyłam tuż nad sobą, nareszcie, jego oczy.

- Nie rób tego, dobrze? — poprosił znowu. Skinęłam głową.
- Dobrze, jeżeli ci jeszcze na tym zależy, Michał.
- Ani na chwilę nie przestało mi zależeć... pomimo wszystko!
- Wyprostował się gwałtownie i powiedział szybko: — Anna i ojciec czekają z kolacją. Mam powiedzieć, że zaraz przyjdiesz?
- Pójdę z tobą. — Wstałam z krzesła i zamknęłam swój brulion. Podeszłam do niego i położyłam mu ręce na ramionach.
- Michał...
- Hm?
- Michał...
- No, co Marto? — zapytał bardzo cicho.
- Przepraszam.

165

Objął mnie, oparł brodę na mojej głowie i kołysał mną w takt niesłyszalnej melodii. I czułam w sobie jakąś przeogromną pustkę, w której nie było żadnych wspomnień, ani dobrych, ani złych, pustkę, którą wypełnić może jedynie to, co nadejdzie.

— Musimy już iść — powiedziałam po chwili. — Czekają. Po ruchu brody Michała poznałam, że przecząco kręci głową. Kiedy wreszcie przeszliśmy do drugiego pokoju, zastaliśmy mamę i Wiktora siedzących przy stole. Ale nie jedli, czekali na nas. Mama przerzucała szybko wzrok z mojej twarzy na twarz Michała, a Wiktor spokojnie palił fajkę.

Usiadłam na swoim miejscu i przysunęłam szklanę. Herbata była zimna. Wiktor nie znosi zimnej herbaty.

— Należę ci gorącej, Wiktorze — powiedziałam. — Mamo, zostawiłaś wodę na gazie?

— Tak.

Kiedy zbliżyłam się do niego, żeby wziąć szklanę, pogładził mnie po ręku.

— Dziękuję, Marto! — powiedział tak, jak się dziękuje komuś za serdeczny gest.

To pewnie była i prawda. Chciało mi się nalać Wiktorowi herbaty, chciało mi się w pewien szczególny sposób.

— Michał, nałóż sobie sałatki. Sama robiłam majonez — usłyszałam za sobą głos mamy.

Po chwili dźwięk. Charakterystyczny dźwięk, który wprost zaświ-drował mi w uszach! To Wiktor uderzał fajką w popielniczkę. Odwróciłam się gwałtownie. Wiktor podniósł głowę i spojrzał na mnie pytająco.

— Co ci się stało, Marto?

— Nie, nic — odparłam — nic ważnego!

Pewnie, że nic ważnego. Kilka stuknięć drzewem o szkło. Małeńki sygnał, że życie zaczyna toczyć się dalej w naszym mieszkaniu przy ulicy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

SPIS TREŚCI

Rozdział I	5
Rozdział II	32
Rozdział III	53
Rozdział IV	83
Rozdział V	134
Rozdział VI	156